

CENCKIEWICZ UJAWNIA:

Człowiek Kiszczaka za kulisami
zamachu na rząd Olszewskiego



Tajemnice śmierci
Andrzeja Leppera

TYGODNIK LISICKIEGO

DO
RZECZY

CENA 6,90 ZŁ (W TYM 8% VAT)
NR 23/225 5-11 CZERWCA 2017

GDZIE SIĘ LECZYĆ
– RANKING SZPITALI

Horubała kontra
religia Holocaustu



Czy PiS to współczesna sanacja

Ostry spór: Ziemkiewicz kontra Gociek





PWPW

POLSKA WYTWÓRNA
PAPIERÓW WARTOŚCIOWYCH

www.pwpw.pl

NASZ NARODOWY WYTWÓRCA



Przykładowe zabezpieczenia banknotu 500 zł



filigran
jednotonowy znak wodny



SPARKLIVE®
farba optycznie zmienna



wielotonowy
znak wodny
eprasa.pl/f6d3097c4e

NAJWYŻSZY NOMINAŁ
NAJNOWSZY BANKNOT
NAJLEPSZE ZABEZPIECZENIA



PAWEŁ LISICKI

W RZECZY SAMEJ

Bohaterowie **naszych** czasów

W rozmowie z telewizją Onet Jan Klata, dotychczasowy dyrektor Starego Teatru w Krakowie, stwierdził, że obecna władza jest władzą okupacyjną, jakobińską i rewolucyjną, która niszczy całą tradycję polskiej kultury. Nawet jeśli w słowach tych brzmia żal i uraza – Klata nie został wybrany ponownie na dyrektora w konkursie rozpisany przez Ministerstwo Kultury – to pokazują one, sędzę, powszechny dość stosunek wielu reżyserów, aktorów i ogólnie artystów, ze szczególnym uwzględnieniem celebrytów, do rządów prawicy. Po prostu takie rządy, ich zdaniem, nie miały prawa się zdarzyć. To, co nastąpiło w 2015 r., nie było – uważają – zwykłą w każdej demokracji wymianą władzy, ale wybrykiem losu, jakąś niedającą się zrozumieć ani wyjaśnić eksplozją szaleństwa, dziwowiskiem i kataklizmem. Jest to coś, co jednak szybko przeminie, jak zły sen, koszmar, jak nieznanego pochodzenia dolegliwość.

Rzeczywiście nie wiadomo, jak tę erupcję innego i nowego okieł-

nać: przecież po 1989 r. z bardzo krótkimi przerwami cała władza i wszystkie ośrodki propagandy były w rękach ludzi właściwych, odpowiedzialnych, oświeconych i postępowych. Nasz Adam mówił, co myśleć, i było dobrze. A tu nagle taki pasztet. A tu nagle okazało się, że mimo tylu lat bombardowania Polaków pedagogiką wstydu, mimo przekonywania ich, że w drodze ku przyszłości należy zapomnieć o tym, co najbardziej obciacho- we i ograniczające, o Kościele, katolicyzmie, własnych zmarłych i bohaterach, owi niewdzięczni i nierozumni wąsaci janusze (w języku współczesnych mędrków to jest to straszne 19 proc. ludu, który miał prawo głosu i oddał go na PiS) przeszczep europejski i postępowy odrzucili. Że młodzi ludzie zamiast biec z radością na Paradę Schumana lub, jeszcze lepiej, tańczyć na Paradach Równości, głosząc światu pochwałę lesbijek, homoseksualistów, transwestytów i reszty nieznającej jeszcze swej płci i tożsamości osobników, woleli krążyć po cmentarzach, odkrywając szczątki

poległych żołnierzy antykomunistycznego podziemia i maszerować 11 listopada po ulicach Warszawy z okrzykiem „Polska” na ustach. I to tak bezwstydnie, szczerze, z całą siłą i bez żenady. Młodzi ludzie, którzy w innych państwach Unii są zwykle kołem zamachowym postępu i rewolucji obyczajowej, w Polsce woleli wybrać na patronów powstańców lub wyklętych. Co za parszywy to musi być kraj, w którym zamiast Justina Trudeau, a choćby i Roberta Biedronia, wygrywa Jarosław Kaczyński.

Nic zatem dziwnego, że co poniektórym nerwy puszcza. Okopali się na stanowiskach, które dostali od poprzedniej władzy, i udają, że spadli z księżycą, a ich wcześniejsza nominacja nie ma nic wspólnego z ich poglądami europejskimi, słusznymi i pod każdym względem właściwymi. Są jedynie artystami, a sztuka, jak mówią, ma i mieć będzie zawsze lewicowe oblicze, bo sztuka musi być przeciw władzy i przeciw establishmentowi, musi być buntownicza i śmiała, wątpliwa i radykalna. Piękne to wszystko, tylko że w tych opowieściach o lewicowej i kontrkulturowej wrażliwości jest sama hipokryzja. Dziwne jakoś, że tak skorzy do nonkonformizmu artyści nie potrafią zaatakować żadnej z realnych potęg tego świata. A niechby zamiast do Kościoła zabrali się do Anti-Defamation League albo do wszędobylskiego George’a Sorosa lub do którejś z licznych terroryzujących świadomość ludzi Zachodu grup LGBT (itd.). Jakoś nie słyszę ani nie widzę chętnych.

Ich protest jest bowiem ściśle reglamentowany, a odwaga doskonale wyważona, tak żeby tylko nie podpaść salonom tego świata. Co innego napluć na Kościół czy ksenofobiczny polski ludek – za to będą laury i pochwały. W najgorszym razie poza męczennika i otwarte drzwi do kariery poza Polską. ©

RYСУNEK TYGODNIA





TEMAT TYGODNIA

16 RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ
CZEGO SANACJA NAUCZYŁA PIS?
Lekcja historii

19 PIOTR GOCIEK
PIS TO NIE SANACJA

KRAJ

22 AGNIESZKA NIEWIŃSKA
SĄD KONTRA PREZYDENT
Sędziowie cenzurują głowę państwa

26 ROZMOWA Z PAWŁEM MUCHĄ
POLACY ZDECYDUJĄ O KONSTYTUCJI

28 MARCIN MAKOWSKI
BEATA SZYDŁO SUPERSTAR

30 PIOTR SEMKA
NOŻYCE SIĘ ROZWIERAJĄ

33 KRZYSZTOF MASŁOŃ
MIETEK FOGG TO BYŁ FAJNY GOŚĆ

36 MACIEJ PIECZYŃSKI
NACJONALIZM Z LUDZKĄ TWARZĄ?

39 ROZMOWA Z MARKIEM KAMIŃSKIM
POLSKA MNIE OBCHODZI

42 WOJCIECH WYBRANOWSKI
„PRZYSZLIŚMY ZROBIĆ SAMOBÓJSTWO”?

KULTURA

46 ANDRZEJ HORUBAŁA
GŁUPIO SIĘ BAWICIE
Warszawska premiera „Malowanego ptaka”

49 ŁUKASZ ZBORALSKI
ŻEGNAJ I PŁAĆ

52 WOJCIECH ENGELKING
„HOUSE OF CARDS”
– KONIEC EPOKI ROZUMU

NIE PRZEGAP

54 NASZ PRZEWODNIK
FILMY, KSIĄŻKI, PŁYTY, OPERA, GRA

OPINIE

60 ŁUKASZ WARZECHA
SMOLEŃSK: TRZY OPowieŚCI
Tragedia osadzona w polityce

64 MARCIN BARTNICKI
KRZYWE SŁUPKI

HISTORIA

66 SŁAWOMIR CENCKIEWICZ
KŁOPOTLIWY ŚWIADEK
FIKCYJNEGO ZAMACHU
Kariera gen. Wejnera

69 WITOLD ORZECZOWSKI
WYGRAŁ POLSKĘ NA FORTEPIANIE

72 ROZMOWA Z WACŁAWEM SIKORSKIM,
ŻOŁNIERZEM AK

MÓJ KAT MA SIĘ ŚWIETNIE

ŚWIAT

76 TOMASZ P. TERLIKOWSKI
BRACIA EUTANAZIŚCI
Śmierć na życzenie w zakonnych szpitalach

78 WITOLD REPETOWICZ Z IRAKU
HATRA ODBITA

81 SZEWACH WEISS
NIE DAJMY SIĘ TERRORYSTOM

EKONOMIA

82 JACEK PRZYBYLSKI
SAMOCCHODY NA MINUTY
Carsharing – komu to się opłaca?

86 STEFAN SĘKOWSKI
ANI KROWA, ANI ODCISK

88 TOMASZ WRÓBLEWSKI
CHIŃSKA AMERYKA POŁUDNIOWA

RANKING SZPITALI 2017

91 LIDERZY LECZENIA



Jak pochowano ofiary katastrofy smoleńskiej

Aż w dziewięciu trumnach ofiar katastrofy smoleńskiej odkryto szczątki innych osób – poinformował w ubiegłym tygodniu zastępca prokuratora generalnego Marek Pasionek. Do tej pory śledczy przeprowadzili 27 ekshumacji. Do końca czerwca odbyć ma się jeszcze sześć, a do końca roku w sumie jeszcze 26.

Po ujawnieniu w mediach pierwszych informacji okazało się, że przeprowadzenie ekshumacji – krytykowanych wcześniej przez opozycję i część rodzin jako niepotrzebne – miało sens.

Pierwsze wstrząsające wyniki badań ujawnił „Fakt”. Okazało się, że w trumnie gen. Bronisława Kwiatkowskiego były jeszcze szczątki siedmiu innych osób. Żona generała, która uczestniczyła w wielogodzinnej sekcji, opowiedziała też dziennikarzom, w jaki sposób został pochowany jej mąż: fragmenty ciała w trumnie umieszczone były w worku z czarnej folii, zawiązanym sznurkiem.

Potem okazało się, że części ciała czterech innych osób spoczywały też w trumnie gen. Włodzimierza Potasińskiego. Tam doliczono się

zwłok sześciu innych ofiar katastrofy rządowego samolotu.

To informacje wstrząsające, również politycznie – ówczesne władze, m.in. Ewa Kopacz (PO), zapewniały, że dochowano staranności przy identyfikacji ofiar. I zapewniały, że mają do prowadzących ekshumacje Rosjan całkowite zaufanie. Tymczasem wyniki ekshumacji prowadzonych w Polsce pokazują, że prace wykonano nierzetelnie.

Część dziennikarzy próbowała ten bałagan z pochówkami tłumaczyć skalą katastrofy z 2010 r. Udowodniano m.in., że przy dużym rozczłon-

kowaniu ciała trudno było o sytuację, w której jakieś małe szczątki nie zostaną złożone przypadkiem nie w tej trumnie co trzeba. Temu tłumaczeniu przeczą jednak choćby informacje żony gen. Kwiatkowskiego. Powiedziała ona dziennikarzom, że w trumnie jej męża były części ciała innych osób: części głów, dodatkowe kończyny z biodrami i miednicą oraz dodatkowa ręka.

Oprócz dodatkowych fragmentów ciała w trumnach generałów podczas ekshumacji odkryto też ciała dwóch innych osób w trumnie prezydenta Lecha Kaczyńskiego. Z kolei w trumnie bp. Mirona Chodakowskiego znajdowały się pół jego ciała i pół ciała bp. Tadeusza Płoskiego. W grobie Natalii Januszko były szczątki pięciu osób. W trumnie Aleksandry Natalli-Świat – szczątki innej osoby. ©©

Łukasz Zboralski

REKLAMA

5 MIĘDZYNARODOWY
**KONGRES
MORSKI**

8-9
CZERWCA 2017
SZCZECIN

JEDYNY TAKI KONGRES W EUROPIE

ZAREJESTRUJ SIĘ JUŻ DZIŚ NA WWW.KONGRES-MORSKI.PL

ORGANIZATORZY
ORGANISERS:



Fundacja
**KONGRES
MORSKI**



FUNDATORZY
FOUNDERS



MGMIŻS
Ministerstwo Gospodarki Morskiej
i Żeglugii Śródlądowej

WSPÓŁORGANIZATORZY
COORDINATORS:



Klaster Morski
Pomorza Zachodniego



Szczecin



PORT SZCZECIN-SWINOUJŚCIE

Droży Czytelnicy,

Sporym echem odbił się nasz dodatek poświęcony obaleniu rządu Jana Olszewskiego. Oto niektóre z krytycznych głosów. Za błędy w podpisach fotografii – rzecz jasna – przepraszamy.

Kierownicy ministerstw

Ciekawy dodatek „Do Rzeczy” poświęcony rządowi J. Olszewskiego na stronie XI wydania skład rządu. Niestety, nie znalazło się tam trzech członków rządu w randze kierowników resortów. Chodzi o ministrów gospodarczych, m.in. Andrzeja Lipkę, kierownika Ministerstwa Przemysłu i Handlu, Andrzeja Rusina, kierownika Ministerstwa Łączności, i piszącego te słowa Tomasza Gruszeckiego, kierownika Ministerstwa Przekształceń Własnościowych.

Notabene faktyczny wicepremier, śp. Jerzy Eysymont, też był oficjalnie kierownikiem CUP, tyle że w randze ministra.

Użycie nazwy „kierownik ministerstwa” nie było przypadkowe, miało swój głęboki cel. Chodziło o podkreślenie tymczasowości tych urzędów, które miały być zlikwidowane.

Podobnie było z Ministerstwem Przekształceń Własnościowych, powołanym zaraz w pierwszym rządzie premiera Mazowieckiego. MPW miało być zlikwidowane i zastąpione Urzędem Skarbu Państwa.

Otóż, będąc jeszcze doradcą L. Balcero-wicza w latach 1989–1991, opracowałem koncepcję prawną Skarbu Państwa jako organu wykonującego uprawnienia właści-cielskie [...].



Dlatego J. Olszewski, zaznajomiony z moimi poprzednimi pracami, postanowił w końcu 1991 r. – właśnie aby zachować miejsce dla późniejszego Skarbu Państwa – mianować ministrów przemysłu i łączności tylko w randze kierownika. Te ministerstwa wówczas, jak to się nazywało, „nadzorowały” przedsiębiorstwa państwowe, co często praktycznie było wykonywaniem uprawnień właściciela. [...]

Z poważaniem
stały czytelnik
prof. dr hab. Tomasz Gruszecki
kierownik MPW w rządzie J. Olszewskiego

Fotografie

Z wielką satysfakcją przeczytałem artykuł prof. Sławomira Cenckiewicza pt. „Obalić ten rząd!” w tygodniku „Do Rzeczy” 22/2017. Niestety, zdjęcia mu towarzyszące zostały błędnie opisane:

1. Na zdjęciu opisanym: „Członkowie gabinetu premiera Jana Olszewskiego po zaprzysiężeniu” nie towarzyszą p. premierowi członkowie jego rządu. Proszę to porównać ze zdjęciami zamieszczonymi na stronie XI, gdzie znajdują się zdjęcia większości ministrów rządu Jana Olszewskiego (większości – bo nie ma tam np. ministra obrony narodowej, ministra finansów, szefa KBN ani jeszcze dwóch lub trzech osób).

2. Zdjęcie podpisane: „Premier u prezydenta Lecha Wałęsy [...]” przedstawia personalia osób widocznych na zdjęciu. Jednak miejsce i okoliczności podano błędnie. To Lech Wałęsa jest gościem Jana Olszewskiego. Widać to zresztą w uwiecznionym gościu premiera. Tak zachowuje się gospodarz, a nie gość. Poza tym proszę zwrócić uwagę na wygląd ściany. Tak udekorowana była sala obrad Rady Ministrów, a nie sala Belwederu czy Pałacu Prezydenckiego.

Z wyrazami szacunku
Jerzy Kropiwnicki, minister pracy i polityki
socjalnej w rządzie J. Olszewskiego

Sama martyrologia

W ciekawym dodatku o okolicznościach nocy teczek zabrakło mi krytycznej opinii na temat gabinetu premiera Olszewskiego. Sama martyrologia. Według mojej pamięci był to rząd, który upadłby i tak, bez względu na lustracyjne sprawy. Rozdrobniony Sejm (dzięki za infografikę pokazującą paranoję wczesnych lat naszej demokracji) nie był w stanie wyłonić stabilnej większości, a nierzadko przypadkowi ministrowie irytowali swą nieudolnością. Również temperament premiera nie czynił z niego charyzmatycznego lidera na trudne czasy.

Roman Michał

PS [...] zaś na stronie XVIII Państwa dodatku w podpisie fotografii przedstawiającej kierownictwo Porozumienia Centrum, nie wiedzieć czemu, nie wymieniono Andrzeja Anusza ani Sławomira Siwka.



ADRES: TYGODNIK DO RZECZY
Batory Office Building II
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 529 12 00, fax: +48 22 529 12 01
e-mail: listy@dorzeczy.pl, www.DORZECZY.PL

REDAKCJA:
Redaktor naczelny: Paweł Lisicki
I zastępca redaktora naczelnego: Piotr Gabryel
Zastępca redaktora naczelnego: Andrzej Horubała, Piotr Zychowicz

Z ZESPOŁEM:
Sekretariat redakcji: Jacek Przybylski (I sekretarz redakcji),
Łukasz Zboralski (II sekretarz redakcji), Andrzej Dziekan, Radosław Wojtas
Kolegium komentatorów:
Cezary Gmyz, Piotr Gociek, Waldemar Łysiak, Krzysztof Masłoń,
Piotr Semka, Łukasz Warzecha, Rafał A. Ziemiakiewicz

Stali współpracownicy i felietoniści: Kamila Baranowska, Olivier Bault,
Joanna Bojańczyk, Grzegorz Brzozowicz, Sławomir Cenckiewicz,
Wiesław Chelminiak, Dominika Coś (Bruksela), Krzysztof Czaibarski,
Roman Graczyk, Piotr Gursztyn, Edyta Hodyńska, Katarzyna, Jacek Komuda,
Sławomir Koper, Piotr Kowalczyk (Rzym), Jakub Kowalski, Tomasz Lenczewska-
Ewa Łosińska, Łukasz Majchrzyk, Marcin Makowski, Karolina Marchlewska-
Trzmiel, Agnieszka Niewińska, Maciej Pieczyński, Katarzyna Pinkosz,
Anna Piotrowska, Jan Pospieszalski, Witold Repetowicz, Agnieszka Rybak,
Krzysztof Rybiński, Stefan Sękowski, Artur Szeremeta, Tomasz P. Terlikowski,

Błażej Toraniński, Matthew Tymand, Paweł Wawrzyński, Szewach Weiss,
Piotr Włoczyk, Marcin Wojski, Tomasz Wróblewski, Wojciech Wybranowski,
Igor Zalewski

DoRzeczy.pl redaguje
Antoni Trzmiel (także dziennikarz Telewizji Polskiej) z zespołem:
Zofia Magdziak (zastępca), Anna M. Piotrowska, Małgorzata Puzy,
Damian Cygan, Karol Gac
Współpraca: Miłosz A. Lodowski

Studio graficzne: Mariusz Daruk-Skarbek (szef studia),
Wojciech Niedziółko (grafik prowadzący),
Jacek Nadratowski, Anna Sobieska-Wójcik, Włodzimierz Zakrzewski
Fotoredakcja: Edyta Bortnowska, Przemysław Traczyk
Korekta: Jadwiga Marczulewicz-Olaś, Anna Zalewska, Marzena Dobosz
Rysownicy: Andrzej Krauze, Cezary Krzysztopa, Mirosław Owczarek
Okładka: Michał Woźniak/East News, Wikipedia, opr. graf. JAN

WYDAWCA: Orle Pióro sp. z o.o.
Batory Office Building II
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 347 50 00, fax: +48 22 347 50 01

Wydawca tytułu, spółka Orle Pióro, wchodzi w skład Grupy Kapitałowej PMPG
Polskie Media SA, notowanej na GPW



Prezes Zarządu PMPG SA: Michał M. Lisiecki
Zarząd Spółki Orle Pióro: Katarzyna Gintrowska, Paweł Lisicki

BIURO REKLAMY:
Michał Staszewski (kierownik marketingu i sprzedaży) reklama@dorzeczy.pl;
tel. +48 692 46 40 80

PUBLIC RELATIONS:
Anna Pawłowska-Pojawa (PR manager), pr@pmpg.pl
DYSTRYBUCJA I PRODUKCYJA: Adam Borzęcki (kolportaż);
Karolina Olchownik (prenumerata wydawnicza),
prenumerata@pmpg.pl, tel.: +48 22 529 12 10

ISSN 2299-8500
Nr indeksu 288829
Nakład 109 tys. egzemplarzy

DRUK: LSC COMMUNICATIONS EUROPE
Sprzedaż egzemplarzy aktualnych i archiwalnych po cenie innej niż cena detalicznej
na ustaloną przez wydawcę jest zabroniona i grozi odpowiedzialnością karną.

PRENUMERATA:
Prenumerata realizowana przez RUCH SA:
Zamówienia na prenumeratę w wersji papierowej i na e-wydania można
składać bezpośrednio na stronie www.prenumerata.ruch.com.pl

Ewentualne pytania prosimy kierować na adres
e-mail: prenumerata@ruch.com.pl lub kontaktując z Centrum Obsługi
Klienta „RUCH” pod numerami: 22 693 70 00 lub 801 800 803 – czynne
w dni robocze w godzinach 7–17. Koszt połączenia wg taryfy operatora.

Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń ani nie zwraca materiałów
niezamówionych. Zastrzegamy sobie prawo do skracania i adiacji tekstów oraz
zmiany ich tytułów. Na podstawie art. 25 ust. 1 pkt 1b prawa autorskiego wydawca
wyraźnie zastrzega, iż dalsze rozpowszechnianie materiałów opublikowanych
w tygodniku „Do Rzeczy” jest zabronione.

© © Wszystkie materiały w tygodniku chronione są prawem autorskim.
Wszelkie prawa zastrzeżone. Dalsze rozpowszechnianie artykułu tylko za
zgoda wydawcy. Regulamin i warunki licencjonowania materiałów prasowych
na www.dorzeczy.pl/regulamin/



„Dżihad” Lisickiego na Węgrzech

Ożywioną dyskusję wzbudziły wydana na Węgrzech książka Pawła Lisickiego „Dżihad i samozagłada Zachodu” oraz związane z tym spotkania autorskie.

„Obrazoburcza, bardzo prowokacyjna i idąca pod prąd poprawności politycznej” – tak węgierski dziennik „Magyar Nemzet” określa książkę Pawła Lisickiego. Gazeta publikuje też rozmowę z redaktorem naczelnym tygodnika „Do Rzeczy”, w której pyta m.in. o przyjmowanie przez kraje europejskie uchodźców z krajów islamskich i wiarę przywódców UE w to, że imigranci przyswoją sobie europejskie wartości. Gazeta mocno podkreśla odpowiedź: „Coraz więcej osób wśród europejskich polityków zaczyna rozumieć, że

nowa fala imigracji do Europy wiąże się z niebezpieczeństwami i weryfikuje swoje dotychczasowe poglądy. Najlepszym przykładem jest duński rząd, który oświadczył, że nie przyjmie więcej migrantów z krajów muzułmańskich” – mówi Lisicki.

Wiele uwagi sprawie poświęca też węgierski portal „Demokrata”, który komentując publikację Pawła Lisickiego, dopytuje, czy zagrożenie terroryzmem islamskim może doprowadzić do umocnienia chrześcijaństwa w naszym regionie Europy, portal dziennika „Magyar Hírlap” podkreśla zaś, że polski dziennikarz i publicysta ostrzega przed niebezpieczeństwami niekontrolowanej, masowej migracji wyznawców islamu

do Europy Zachodniej. Portal cytuje też obszerną rozmowę z autorem „Dżihadu”, w której dziennikarz dopytuje m.in. o sytuację krajów Grupy Wyszehradzkiej wobec zjawiska multi-kulti i nacisków na relokację uchodźców. Paweł Lisicki był jednym z kilku obok m.in. Andrzeja Sapkowskiego i Ignacego Karpowicza polskich autorów uczestniczących w zorganizowanym w Budapeszcie 24. Międzynarodowym Festiwalu Książki. Imprezę odwiedziło ponad 60 tys. widzów. W trakcie festiwalu zorganizowano ponad 30 programów, spotkań i dyskusji promujących polską kulturę.

Polski program został przygotowany wspólnie przez Instytut Książki i Instytut Polski w Budapeszcie. (ww) ©©

POLSKI KOMITET DS. UNESCO MA NOWYCH CZŁONKÓW

W ubiegłym tygodniu redaktor naczelny tygodnika „Do Rzeczy” Paweł Lisicki został powołany do grona członków Polskiego Komitetu ds. UNESCO.

Oprócz Pawła Lisickiego do komitetu powołano też m.in. byłego prezesa PAN prof. Michała Kleibera, prof. Mieczysława Chorażego i prof. Andrzeja Rottermunda, wieloletniego dyrektora Zamku Królewskiego w Warszawie.

„Cieszę się zarówno z tej nominacji, jak i z tego, że znalazłem się w tak znacym gronie. Polska jest zresztą jednym z pierwszych krajów, które taki komitet powołały” – komentował Paweł Lisicki w rozmowie z portalem DoRzeczy.pl. (ww) ©©

REKLAMA

JEAN-MICHEL JARRE

ELECTRONICA WORLD TOUR

SOBOTA, 8 LIPCA 2017 GDAŃSK/SOPOT ERGO ARENA

NIEDZIELA, 9 LIPCA 2017 KRAKÓW TAURON ARENA

JEANMICHELJARRE.COM | BILETY NA LIVENATION.PL

LIVE NATION SONY MUSIC COLUMBIA CODEX AERO PRODUCTIONS



PIOTR SEMKA

NA PIERWSZY OGIEŃ

Był „Zbig”

Jeden Polak jest Papieżem / Drugi stoi przy Carterze / Trzeci przed Breżniewem / Kłęczy / Reszta się w kolejkach męczy” – ten wierszyk usłyszałem jeszcze w podstawówce. Musiał być rok 1978 lub 1979, bo mowa była już o Janie Pawle II, a jeszcze rządził kłęczący przed Breżniewem Edward Gierek. Przy prezydencie USA stał Zbigniew Brzeziński – jego doradca

– w nonszalanckiej kurtce wojskowej przygląda się karabinowi maszynowemu, który podaje mu pakistański oficer. Kąśliwy podpis gierkowskiego tygodnika głosił: „Niebezpieczne zabawy”. I to też było dla nas coś nowego i krzepiącego zarazem. Ze zdjęcia biła jakaś wyzywająca pewność siebie gościa z Waszyngtonu, który nie krępował się rzucać wyzwania starcom na Kremlu.

prawach człowieka tu mówić? Kraje za żelazną kurtyną to inny świat, gdzie obowiązują inne zasady”. Carter odrzucił tę logikę, a w postaci Brzezińskiego u jego boku pojawił się ktoś, kto rozumiał sposób myślenia Kremla i nie dawał się zmylić peanami na cześć pokoju.

Dla nas, Polaków, najważniejszy w karierze Brzezińskiego był grudzień 1980 r. To jego determinacja i koordynowanie działań z Janem Pawłem II spowodowały, że Sowieci odłożyli najazd na Polskę. To prawda, że rok później Solidarność rozjechały czołgi Jaruzelskiego, ale przez ten, wywołany m.in. przez Brzezińskiego, rok działania tego wielkiego ruchu narodowego Polaków Solidarność na tyle okrzepła, że przetrwała długie osiem lat rządów epoki Jaruzelskiego. Przez ten czas Brzeziński wpłynął jeszcze na ugruntowanie się antysowieckiej polityki Reagana i doczekał się upadku komunizmu.

W latach 90. i w nowym stuleciu „Zbig” dał się zagospodarować obozowi III RP, jako patron polskiej transformacji i „wchodzenia Polski do Europy”. Jego późniejsze wywody bywały irytujące, np. ten, kiedy upominał Polskę, by pokornie uznała dominację Niemiec w Europie, bo jest to stan rzeczy, który błogosławi wielka Ameryka. Ten późny Brzeziński, oblewany lukrem na łamach „Wyborczej” i wypytywany na kłęczkach w TVN przez Katarzynę Kolendę-Zaleską, przesłonił z czasem tego demiurga z Białego Domu, do którego wdychali Polacy w epokach Gierka i Jaruzelskiego.

No cóż, każdego polityka warto cenić za najlepszy okres w jego życiu. Był „Zbig”. I trafił do centrum polityki światowej w czasie dla Polski niezwykle ważnym. Chwała za to Bogu. ©©



FOT. ANDRZEJ IWANCZUK/REPORTER

ds. bezpieczeństwa, który zmarł 26 maja br. Ten wierszyk oddawał nastrój, który po dekadach szarżyzny PRL był wtedy czymś nowym. Oto dwaj Polacy na dwóch różnych kontynentach byli współkreatorami historii. Przestaliśmy być tylko pionkami na szachownicach wielkich tego świata.

Kolejne wspomnienie to wiosna 1980 r. Na szkolnym korytarzu kolega pokazuje PRL-owski tygodnik „Perspektywy”, a w nim zdjęcie Brzezińskiego na granicy Pakistanu i Afganistanu. „Zbig” – jak nazywano go w Stanach

Teraz, po śmierci Brzezińskiego, przeglądam fora internetowe i po prawej stronie widzę raczej lekceważące głosy. „Po co emocjonować się Brzezińskim, to był taki Nałęcz u boku amerykańskiego Komorowskiego – Cartera”. No cóż, ja pamiętam to inaczej. Jimmy Carter, owszem, nie był tytanem woli ani czynu, ale prostolinijność tego pastora z Georgii kazała mu serio postawić w rozmowach z Sowieciami kwestię praw człowieka. Jego poprzednicy – Richard Nixon i Gerald Ford – wzruszyliby pewnie ramionami: „O jakich

ODLICZAMY CZAS DO OTWARCIA!

14 LIPCA 2017

-25%

na rezerwacje dokonane
do 15.06.2017

340 PRZESTRONNYCH POKOI Z WIDOKIEM NA MORZE
RESTAURACJE I BARY Z MORSKĄ SCENERIĄ ZA OKNEM
BASEN Z ILUZJĄ NIESKOŃCZONOŚCI NA DACHU
AQUAPARK Z PIERWSZĄ W POLSCE SZTUCZNĄ FAŁĄ DO SURFINGU
SALA BALOWA NA 1 000 OSÓB
50 M OD PIASZCZYSTEJ PLAŻY

Radisson Blu Resort, Świnoujście

al. Baltic Park Molo 2

+ 48 91 40 40 700

reservations.swinoujscie@radissonblu.com

eprasa.pl/f6d3097c4e



RAFAŁ A.
ZIEMIAKIEWICZ

PŁYWANIE W KISIELU

Salon barbarzyńców

Pan „Dżanus” Głowacki już pisze w pośpiechu nową wersję swojej „Antygony w Nowym Jorku”. Wersja poprzednia przyniosła mu sławę i pieniądze, ale życie postawiło przed scenarzystą „Wałęsy” nowe wyzwanie. Jest pilna potrzeba zredefiniowania mitu i rewizji archetypów, więc w nowej wersji bohaterka prześladowana będzie

dyskomfort i zawraca kontrafałdę, bo przecież trup jest trup, nieważne, gdzie leży i w jakim stanie, byle się „czisto”, czyli sztuka, zgadzało. Teatr Powszechny już gotów do premiery, potem się jakoś „zapgrejduje” do nowej wersji starość Sofoklesa.

Jeszcze nie? No to do roboty, „Dżanus”, bo w poprzednim kształcie kompletnie się rozmyjać z jedynie słuszną linią. Wydawać by się mogło, że taka makabra, jaka odkrywa prokuratorskie śledztwo w każdej kolejnej trumnie smoleńskich ofiar, powinna wstrząsnąć przynajmniej niektórymi z tych, którzy – chcąc wierzyć, że w większości z durnoty i zaciętrzewienia, choć dyrygenci tego chóru niewątpliwie wiedzieli, dlaczego nie mogą do ekshumacji dopuścić – rechotali w czerskim chórkę wyszydzającym „wykopki w grobach” jako „nekrofilskie zabawy Kaczyńskiego”. Ci ludzie są jednak stuprocentowymi barbarzyńcami, wykorzenionymi

nie tylko z polskości, lecz także z podstaw europejskiej, śródziemnomorskiej kultury. Trwają dzielnie przy swoim. Obrzydliwe wpisy z forum Gazeta.pl, gdzie komentowano odkrycia prokuratury „jajami” o „smoleńskiej mielonce” czy znajdowaniu w trumnach „baby z dwoma ch...”, powinien sobie redaktor Michnik oprawić w ramki, na dowód sukcesu swej wieloletniej cywilizacyjnej misji. Po to wszak przechwycił gazetę Solidarności, by wychować nowego Polaka – i, jak widać, mu się udało.

Pozostaje pytanie: Jak „inteligencje” środowisko, które latami epatowało nas swymi profesorami, noblistami, laureatami światowych nagród i sznytem „crème de la crème”, zdołało się z nienawiści i strachu o utratę wpływów doprowadzić do aż takiego zbydlęcenia? Przyszli historycy mają materiał na świetną i pouczającą, acz przerażliwie smutną książkę. ©©

Dyrygenci tego chóru niewątpliwie wiedzieli, dlaczego nie mogą do ekshumacji dopuścić

przez oszałałego prokuratora, który chce sprawę śmierci jej brata wyjaśnić, a przynajmniej godnie go pochować – ona zaś będzie się opędać, bronić i brać widownię na świadków, że w ten sposób narusza się jej żalobę, powoduje psychiczny



PIOTR KOWALCZUK
Z RZYMU

PIECZEŃ RZYMSKA

0 harcach moralnej busoli

We Włoszech wypominanie przewin lewicy w krwawych czasach Czerwonych Brygad przestało być naiwnym myśleniem ahistorycznym. Stało się chuligaństwem.

W 1971 r. policja aresztowała podejrzanego o zamach anarchistę. Ten wyskoczył przez okno i zginął. Lewica oskarżyła o defenestrację prowadzącego śledztwo komisarza Calabresiego, którego przy tragedii nie było. Lewicowy tygodnik „L'Espresso” w kilku kolejnych wydaniach publikował list otwarty, w którym czołówka intelektualna lewicy zachęcała do linczu. Podpi-

sało się 800 osób, w tym Umberto Eco, Dario Fo, Primo Levi i Eugenio Scalfari. Niebawem lewacki szwadron śmierci zastrzelił komisarza.

Minęła właśnie 45. rocznica mordu, obchodzona z wielkim nabożeństwem przez... włoską lewicę. Vittorio Feltri, naczelny „Libero”, napisał, że to szczyt cynizmu i taniac na grobie ofiary. Przypomniał, że tylko dwóch sygnatariuszy się pokajało, a wszyscy zrobili kariery. Scalfari co tydzień w swojej „La Repubblica” naucza o moralności, nie stroniąc od sądenia innych za myśli i czyny. Kaznodzieja niesłychanie się oburzył i stwierdził, że takie były czasy. Sugerował

nawet, że dzięki skierowaniu listem otwartym gniewu ludu (sic!) na komisarza udało się uniknąć liczniejszych ofiar (sic!). Feltriego nazwał dziennikarskim chuliganem. Postępowcy przyklasnęli. I w ten sposób sytuacja się wyklarowała: czerwoni brygadziści, rzecznicy gniewnego ludu, byli towarzyszami, którzy pobładzili, podjudzający ich intelektualści – ludźmi trudnych i mądrych wyborów, a wypominający im przeszłość – ulicznikami.

Ostatnim razem słyszałem coś podobnego, gdy Aleksander Kwaśniewski przemawiał nad grobem Wojciecha Jaruzelskiego. ©©

Autor jest korespondentem Polskiego Radia.



ŁUKASZ WARZECHA

NOTATNIK MALKONTENTA

Ryzykowne zabawy prawem

Andrzej Duda łamie konstytucję! – brzmiał przekaz dnia powielany przez polityków PO, gdy Sąd Najwyższy orzekł, że prezydenckie ułaskawienie może dotyczyć jedynie osób skazanych prawomocnym wyrokiem, a więc nie mogło objąć Mariusza Kamińskiego. Przekaz był absurdalny, ponieważ sprawa ułaskawienia Kamińskiego była precedensowa i dopiero uchwała SN zinterpretowała konstytucję pod tym względem. Trudno więc uznać, że Andrzej Duda konstytucję złamał, skoro – jak zresztą w wielu innych punktach – była ona tu całkowicie niejasna.

Tym samym znaleźliśmy się jednak w nielichym chaosie prawnym i politycznym. Sąd Najwyższy zajął się prerogatywą prezydenta, bo tak wynikało z drogi prawnej, którą przyjął proces Mariusza Kamińskiego. Natychmiast jednak politycy PiS stwierdzili, że SN w ogóle nie ma kompetencji, żeby w tej sprawie wydawać opinie. Z wypowiedzi przedstawicieli prezydenta można wywnioskować, że nie przyjmują oni uchwały do wiadomości. Skończyć się może na pytaniu skierowanym do Trybunału Konstytucyjnego.

Z kolei dla Mariusza Kamińskiego teoretycznie może to wszystko oznaczać, że jego sprawa –

umorzona po ułaskawieniu przez prezydenta – wróci do sądu. W takiej sytuacji Kamiński nie mógłby teoretycznie pozostawać ministrem koordynatorem służb specjalnych. To jednak wcale nie jest oczywiste, skoro przedstawiciele prezydenta twardo twierdzą, że wyrok nie miał prawa zapaść. Co więc się zdarzy? SN, rozpatrując na niekorzyść Kamińskiego kasację osób występujących w jego procesie jako pokrzywdzeni, zdecyduje o zwrocie sprawy do sądu okręgowego (który ją już umorzył), sąd okręgowy sprawę podejmie, a wtedy Kamiński... No właśnie – co? Nie stawia się? Nie uzna wyroku? Czy odejdzie ze stanowiska?

Można było tego ambarasu uniknąć, gdyby prezydent zdecydował się poczekać, aż uprawomocni się wyrok – kuriozalny – w sprawie Kamińskiego. Tyle że Kamiński potrzebował ułaskawienia szybko, żeby objąć służby.

Jak z tej kabały wyjdą Andrzej Duda, Mariusz Kamiński, obóz władzy i najważniejsi sędziowie w kraju – nie mam pojęcia. Wiem, że to bardzo niebezpieczne zabawy. Paradoksalnie natomiast SN, broniący obecnej konstytucji jak prawa objawionego, sam dowiódł, jak źle jest ona skonstruowana. Zawsze to jakaś korzyść. ©©



USA WYCOFAŁY SIĘ Z POROZUMIENIA KLIMATYCZNEGO

45. prezydent USA Donald Trump spełnił kolejną przedwyborczą obietnicę i wypowiedział paryskie porozumienie klimatyczne. Trump uznał zawartą w 2015 r. umowę – którą podpisał jeszcze Barack Obama – za „bardzo niesprawiedliwą dla Stanów Zjednoczonych” i szkodliwą dla amerykańskiej gospodarki. Zapowiedział jednocześnie możliwość renegeacji paryskiego porozumienia.

Decyzja prezydenta USA wywołała ogromne kontrowersje. Zadowoleni są republikanie, którzy byli przeciwni porozumieniu paryskiemu. Protestują demokraci, którzy przekonują, że decyzja Donalda Trumpa prowadzi do izolacji Ameryki, podważa jej przywództwo w świecie i stawia USA w jednym szeregu z takimi krajami jak Syria i Nikaragua – one również nie poparły paryskiego traktatu. Decyzję prezydenta USA skrytykowali przedstawiciele Kanady, Wielkiej Brytanii, Niemiec, Włoch, a także Francji. – Nie ma planu B, bo nie ma planety B – oznajmił prezydent Emmanuel Macron. (jap) ©©

REKLAMA

Więcej domen na stronie: bluberries.com/08adomains4sale.html

WYPRZEDAŻ DOMEN

agencjareklamowa.com
baltona.com
budynki.com
dodomu.com
dopolski.com
edytor.com

eurokarta.com
europejczyk.com
fotoagencja.com
gielda.com
informacje.com
kawiarenka.com

kinopolskie.com
kupbilety.com
lataj.com
lekarze.com
megastacja.com
nowydom.com
piwosz.com
pocztapolska.com

polityka.com
poradnik.com
przewozy.com
rachunki.com
relaks.com
rezerwacje.com
skieuro.com
spozyczy.com

sprzedaj.com
szkola.com
trade-stocks.com
wawel.com
wypadki.com
wypadki.net
wysylki.com
zaplac.com



FOT. PAWEŁ GRODZIAK

JESTEM SZALONA

Projektantka Joanna Przetakiewicz uznała, że aby utrzymać swoją popularność na salonach, musi być aktywna w mediach społecznościowych. Sam Facebook już nie wystarczy, więc wkręciła się bardzo w Instagram, gdzie regularnie publikuje swoje zdjęcia i krótkie filmiki dokumentujące jej luksusowe życie. „Dostaję mnóstwo szczerych i spontanicznych wiadomości. Nawiązałam dialog z followersami. Zawsze odpisuję na każdą wiadomość!” – wyznała ostatnio jednemu z plotkarskich portali. Zdradziła także:

– Zakochałam się w InstaStories, które robię prawie codziennie, wrzucam po 13 filmików, szaleję. Moi znajomi biznesmeni, adwokaci, założyli sobie Instagram, żeby śledzić moje InstaStories – chwali się Przetakiewicz. Ktoś złośliwy mógłby szepnąć, że zrobili to dla beki. Jednak po co robić przykrość pani Joannie?

APOLITYCZNY JAK STUHR

Myśleliśmy, że aktor Maciej Stuhr na temat tego, jak bardzo nie lubi PiS, obecnego rządu i prawicy w ogóle, powiedział już chyba wszystko, ale widać ciągle mu mało, bo nieustannie udziela jakichś wywiadów. – Tak już jest, że sporo rzeczy mnie wkurza w życiu politycznym, ale nie potrafię ugryźć się w język – stwierdził ostatnio na antenie Radia Zet. – Z marszami KOD-u jest tak, że staram się być na nich jako osoba prywatna, ale nigdy nie mówię nic do mikrofonu, bo nie widzę się w roli przywódcy walczącego. Nie popieram oficjalnie żadnej partii politycznej, bo aktorzy nie są od tego – dodał. Jasne, po 488. wywiadzie o polityce naprawdę trudno się domyślić, kogo lubi i kogo nie lubi Stuhr. To nie koniec, bo aktor w ramach swojej apolityczności skomentował też sytuację w TVP. – Denerwuje mnie to, że Maryla Rodowicz fotografuje się z Jackiem Kurskim, ale to nie przekreśla tego, iż od 30 lat słucham jej piosenek – powiedział. – W TVP pewnie nie pojawię się prędko – zadeklarował. Zatem jeśli ktoś dotąd nie miał powodu, by włączyć TVP, to przynajmniej jeden już ma.

MATEUSZ KONTRA PATRIOTYZM

Jeszcze à propos apolityczności aktorów. Głos na temat tego, co się dzieje w Polsce i jak się dzieje źle, postanowił zabrać także aktor Mateusz Damięcki. Opowiedział o tym, jak bardzo boi się fanatyzmu i nietolerancji, które jego zdaniem szerzą się w Polsce. – Wraca

strach, z którym nie chciałbym mieć w wolnym świecie nic wspólnego. Strach dotyczący braku tolerancji i ignorancji, niewiedzy, która w głowach pewnych ludzi będzie w stanie doprowadzić nas do tragedii. Bardzo się boję, że ludzie zaczną dla jakiegoś urojonego wyższego dobra dokonywać rzeczy, których nie cofniemy. Mam taki tęczyowy ręcznik na siłowni, mam go od 15 lat i teraz zacząłem się zastanawiać, czy nikomu to nie będzie przeszkadzało. Coś jest na rzeczy. Patriotyzmu w czasach pokoju nie powinno się uprawiać – stwierdził w rozmowie z telewizją WP. Tak, my też czytaliśmy to ostatnie zdanie kilka razy, bo nie dowierzaliśmy. I musimy przyznać, że jeśli chodzi o ignorancję, to pan Mateusz może spokojnie robić za autorytet.

SYREN CZY ELF

Pamiętacie, jak w studiu „Dzień dobry TVN” gościł syren Ariel (dla tych, którzy nie widzieli – facet z rybim ogonem, którego wniesiono do studia oraz położono na kanapie i który w takiej pozycji opowiadał o swoim hobby, czyli pływaniu z ogonem). Wszystkich niedowiarków, którzy myśleli, że nic nie jest w stanie tego przebić, informujemy, iż oto w telewizji śniadaniowej właśnie wystąpił mężczyzna elf. I to zagraniczny! Argentynczyk Luis Padrón ma 25 lat i za pomocą operacji plastycznych próbuje upodobnić się do



FOT. LUIS PADRON/CATERS NEWS / FORUM

elfa. – Zawsze interesowałem się fantastyką. Zaczęłam farbować włosy, gdy miałem dziewięć lat, w wieku 14 lat zaczęły się operacje plastyczne. W szkole byłem prześladowany. Elfy są dla mnie uosobieniem perfekcji, one troszczą się o całą planetę, są wojownikami miłości. Zoperowano mi nos i szczękę, pięć razy zmieniałem kolor oczu. Za miesiąc zostanie pierwszą osobą na świecie, która będzie miała fioletowe oczy. Jest dużo ludzi, którzy chcą wyglądać tak jak ja – opowiadał przed kamerami. Jeśli nie człowiek syren, to człowiek elf. Aż strach rano włączyć telewizor.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

MŁODZI WYKSZTAŁCENI I Z WIELKICH OŚRODKÓW



Kochani, Internet kipi ze słusznego świeckiego oburzenia na Andrzeja Dudę, który okrył ten kraj wieczną hańbą i wstydem, iż pozując do zdjęcia, uśmiechnął się jak janusz do „500+” i pokazał oba (!!!11) kciuki, co w niektórych kręgach kulturowych może być zinterpretowane jako wulgarny gest o zabarwieniu seksualnym, a w innych kręgach kulturowych – jako straszliwy gest kompromitujący ten kraj i delegitymujący całą prezydenturę.

Pomijając już lekceważący stosunek Dudy do innych kultur i wrażliwości, nie rozumiemy, jak prezydent tego kraju może zachowywać się w podobny sposób. Duda, nigdy nie będziesz Obamą – nie masz tyle luzu, ruszasz się jak wóz z węglem. A przydałoby się trochę polotu, nie? A polot właśnie miał Oba-

ma – kiedy uśmiechał się albo pokazywał okejkę, widać było, iż to wyluzowany mąż stanu, taki wychillowany pomimo ciężkiej na nim odpowiedzialności za cały ten świat.

A Duda? Ani tej lekkości w snuciu narracji jak Osobobronek, ani taka dusza towarzysztwa

nym. W ten sposób rząd miałby pod kontrolą całą społeczność LGBTQWERTY tego kraju!!!! Co prawda to news na razie niepotwierdzony, frendziary ani kolega-gej nie byli na 100 proc. pewni, że dobrze zrozumieli, ale na wszelki wypadek musimy o tym głośno powiedzieć!!!!!!

Z zainteresowaniem czekamy na kolejne formy protestu szwedzkich feministek. Może następnym razem będą przemierzały Sztokholm za pomocą żabich skoków lub pęłały niczym osobowężę?

(w sensie świeckim i przenośnym) jak Osobokwachu, ani tym bardziej taka legenda Wałęsa. Wstyd go pokazać za granicą, cała Europa i NATO patrzyły i myślały sobie: „Ale creepy Duda”.

Byliśmy z kolektywem z korpo ostatnio na wieczornym piwku ze sprajtem i mamy sad news (pol. smutną wiadomość), którą przyniósł nam kolega-gej. Ale po kolei.

Otóż, jak wiecie, w tym kraju istnieje ciche przyzwolenie na przemoc domową, a w niektórych kręgach funkcjonuje wręcz pochwała takiego zachowania – dobrze wiecie, kto w ramach szerzenia patriarchy namawia wąsatych januszów do bicia żon kablami od akumulatora, końcówką z polonezem.

Co prawda istnieje tzw. Niebieska Karta zakładana w przypadkach przemocy w rodzinie (najczęściej tradycyjnej, wielodzietnej i wąsatej), ale NO WŁAŚNIE.

Kolega-gej opowiedział, iż jego frendziary-lesbijki z wegepozytywnej komuny dowiedziały się, iż podobno nieoficjalnie i być może od któregoś tam roku rząd wprowadzi Tęczowe Karty, które będzie zakładał szczęśliwym neorodzinom nieheteronormatyw-

Słyszeliście, iż szwedzkie feministki w ramach walki z patriachatem postanowiły przegalopować przez Sztokholm niczym osobokonie? Chodzi otóż o to, iż w Sztokholmie jest za dużo pomników osób fallusododatnich kosztem pomników waginoosób, w dodatku te fallusoosoby siedzą na pomnikach na konioosobach. Stąd ten galop.

Nasuwa się jednak pytanie: Czy na pewno nie można było galopować niczym osobokłacz? Dlaczego szwedzkie feministki w tym przypadku nie dochowały czujności i nie ogłosiły wszem wobec, iż ich protest jest waginoosobą? W dodatku w ten sposób uhonorowałyby wszystkie w historii Szwecji osobokłacze, które nie doczekały się swoich pomników.

Z zainteresowaniem czekamy na kolejne formy protestu szwedzkich feministek. Może następnym razem będą przemierzały Sztokholm za pomocą żabich skoków lub pęłały niczym osobowężę? Wszak walka z patriarchalnym uciskiem wymaga od nas symulowania sposobów poruszania niczym osoby animalne. ©©

FASHYISM NIE PRZEJDZIE! BĄDŹ Z NAMI OSOM NA FEJSIKU: FB.COM/MWIZWO





FOT. ROBERT CARZJŃSKI

Wakacje idą. Czas wyjazdów. Niekiedy niespodziewanych. Były minister ochrony środowiska Stanisław Gawłowski podobno nie rozstaje się ze szczoteczka do zębów. Polecał nawet z ozorem do zaprzyjaźnionego dziennikarza „Newsweeka”, by mu się wypłakać w rękaw. Nic dziwnego, Stasiu na bieżąco jest informowany, kogo CBA i prokuratura wzywają na przesłuchania w sprawie melioracji. I Stasiowi układa się to w spójną całość. Pociaszamy jednak Stasia. Niech się nie wygłupia z tą szczoteczka. Ma przecież immunitet. Na razie.

Apropos szczotczek. Czy nikomu nie wpadło do głowy, że faktury fakturami, ale po kaczystowskich zmianach w prawie alimentacyjnym trudno byłoby Wielkiemu Kucowi Kijowskiemu kierować KOD, gdyż w więzieniach jest utrudniony dostęp do Facebooka? Całkowicie więc rozumiemy jego decyzję o godnym wycofaniu się z walki o hotel szefa KOD.

Wracając do podróży. Niektóre nie przynoszą satysfakcji. Na przykład Renata Grochal

z „Lisweeka” udała się do Sycowa, by wytropić niebezpieczne związki Beaty Kempy z policjantami-sadydami z Wrocławia. By je zdemaskować, udała się po informacje do miejscowego fryzjera. Niestety, została stamtąd przegoniona. Takie jest życie reportera – same przeciwności. Wojna, głód, pragnienie, fryzjer.

Na łamach lokalnej prasy jeden z policjantów oskarżanych o awans dzięki znajomości z Kempą wybrał oryginalną drogę obrony. „Gdybym miał jakiekolwiek kontakty z Beatą Kempą, to żona wygoniłaby mnie z domu” – oświadczył. I my się w sumie nie dziwimy.

Dawno nie pisaliśmy niczego o fartuszkach, ale à propos ostatniej uchwały Sądu Najwyższego o niedobrym prezydencie Andrzeju Sebastianie przypomniały się nam historie związane z powoływaniem się na wpływy w owym sądzie. Jeden z głównych bohaterów tej afery, sędzia Moraczewski, kumpel sędziego SN, jest nadal wpływowym członkiem łoży o wdzięcznej nazwie Le Droit Humain. I jakby tu rzec, fartuszkowych w togach jest dużo więcej.

Żli ludzie przy tej okazji (znaczy sądenia niedobrego Andrzeja Sebastiana oraz jego decyzji w sprawie ułaskawienia Mariusza Kamińskiego) zastanawiają się, jak to możliwe, żeby członkowie Sądu Najwyższego zapomnieli o takiej zasadzie „nemo iudex in

causa sua”. Tak się bowiem składa, że ludzie Krwawego Mariusza łazili właśnie za sędziami SN. Nie takie jednak harce i hołubce potrafili już wykrecać podwładni sędzi Marii Gersdorf. Nawiasem mówiąc – byłej prawniczki TVN.

Nasz ulubieniec Bartek „Haribo” Misiewicz formalnie jest nikim. Są jednak państwo w mylnym błędzie. Młody nadal pojawia się w resorcie. Też chcielibyśmy być takim nikim, przed którym pułkownicy i generałowie trzaskają obcasami, aż echo niesie się między Klonową, Rakowiecką a aleją Niepodległości.

Patron „Haribo”, czyli Krwawy Antoni, wrażliwy jest na szczegóły. I jego oko spoczęło na takim szczególe jak kasyno w Akademii Sztuki Wojennej (dawniej AON). No i wprowadził taką zasadę: wstęp do kasyna mają tylko żołnierze i oficerowie w służbie czynnej. Niby drobiazg, ale przez to weterani WSI ze stowarzyszenia SOWA nagle nie mają gdzie się spotykać.

Pamiętacie, jak w zeszłym roku Krwawy Antoni na oczach amerykańskich sojuszników demonstracyjnie wywoził z akademii sowiecki szmelc, czyli zabytki rozstawione przez generała Packa? W tym roku będzie jeszcze gorzej. Nasi amerykańscy bracia zostaną zindoktrynowani wystawą o płk. Kuklińskim, wypożyczoną z jego Izby Pamięci.

Wsłużbach kończy się przegląd tzw. zbioru zastrzeżonego. Ci, którzy mówią, że nie było w nim nic ciekawego, mogą poczuć się zawiedzeni. Do zbioru jawnego mają trafić m.in. teczki nielegalów. Czyli takich Hansów Klosów z Departamentu I. Nie bez kozery wspominamy bohatera „Stawki większej niż życie”, bo największych zaskoczeń doznają właśnie Niemcy.

Tymczasem na Śląsku. W sali Sejmu Śląskiego, w atmosferze uroczystej jak przemówienia Andrzeja Rzeplińskiego, katowiccy radni przegłosowali uchwałę w sprawie złożenia wniosku o utworzenie związku metropolitalnego w województwie śląskim. Co, oczywiście, jest wielkim sukcesem demokracji. Gdyby bowiem metropolię zrobić z Warszawy, to byłyby to: faszyzm, kacyzm i kłeska demokracji. Zrozumiano?

Bardzo nam się podobało, jak wszyscy na Śląsku podkreślali przy tej okazji, że to historyczna chwila. Śląsk na takie chwile zasługuje. W odróżnieniu od Warszawy, która zasługuje najwyżej na Hankę Gronkiewicz-Waltz. Tak przynajmniej dwa razy zdecydowali warszawiacy, których w związku z tym ani trochę nam nie żal.

Apropos Hanki. Pamiętacie, że to ważna figura PeŁo? Partii, która piętnuje PiS za to, że programem „500+” przekupił wyborców i że rujnuje budżet rozrzutnym rozdawnictwem? Chyba ją wyrzucą z partii za łamanie linii partyjnej, bo strasznie się ostatnio zrobiła rozrzućna. Dzieci przekupuje darmowymi biletami komunikacji miejskiej, a rodziców obniżkami cen tychże. Nie wierzymy złym ludziom, według których może to mieć coś wspólnego z nadchodzącymi wyborami samorządowymi.

Tymczasem w Warszawie nasilają się działania ekoterrorystów. Przed Ministerstwem Środowiska niezna-
na ręka bohaterskiego antyszyszkow-

nika namazała nocą różowym sprayem: „MAMY PRAWO DO LASU”. Jak widać, rządy PiS oprócz wielu innych rzeczy popsęły też ekoterrorystów. Za Tuska włązili na kominy, na dachy, wieszali wielkie transparenty, a teraz tylko to. Jak żyć?



PiS w ogóle psuje wszystko. Nie opłaca się już nawet karmić postów w restauracji sejmowej, więc właściciele zamierzają się wyprowadzić. Podpytaliśmy postów, gdzie jadają obiady. Postowie koalicji twierdzą, że w takim bistro na rogu, ale nie chcą powiedzieć na którym rogu. Posłowie Eine

Totalopposition mówią, że w kamienicy Czytelnika.

Nie zmartwi nas likwidacja sejmowej restauracji. Wreszcie będzie miejsce, żeby zrobić żłobek, którego domagała się kiedyś posłanka PeŁo Agnieszka Pomaska. Nie możemy już doczekać się chwili, kiedy w kolejce po odbiór dzieciaka będą stali obok siebie Marcin Kierwiński, Piotr Apel i Tomasz Rzymkowski. Pomaska nie będzie stała, bo jej dziecko już wyrosło. Od czasu rzucenia przez nią pomysłu żłobka minęło bowiem siedem lat. Czyli właściwie standard, jeśli chodzi o obietnice Platformy.

Na koniec odrobina kultury. Ze wzruszeniem przyjęliśmy skład oficjalnej delegacji PISF i Polski na 70. Festiwal Filmowy w Cannes. Lech Wałęsa, Dominika Kulczyk, Krystyna Janda, Agnieszka Holland i wielu innych. Dobra zmiana w kulturze ma się świetnie. „Żeby było, jak było” – to w sumie dobre hasło i dla Cannes. Kiedyś wyświetlano tam lepsze filmy. ©©

REKLAMA



TAURON LIFE

FESTIVAL OŚWIĘCIM / 2017

NAKREĆCA: MAŁOPOLSKA

23-24.06.2017

SCORPIONS

LP * SHAGGY

KASIA KOWALSKA JULIA PIETRUCHA LAO CHE * MESAJAH BISQUIT * LESKI * BEMY MALEO REGGAE ROCKERS

BILETY: WWW.EVENTIM.PL
WWW.LIFEFESTIVAL.PL



ORGANIZATOR



PARTNER

GOSPODARSTWA

OŚWIĘCIM

MIĘDZYGOSPODARSTWA

MAŁOPOLSKA

MAŁOPOLSKA

MAŁOPOLSKA

MAŁOPOLSKA

MAŁOPOLSKA

MAŁOPOLSKA

MAŁOPOLSKA

MAŁOPOLSKA

MAŁOPOLSKA

MAŁOPOLSKA

MAŁOPOLSKA

MAŁOPOLSKA

MAŁOPOLSKA

MAŁOPOLSKA

MAŁOPOLSKA

MAŁOPOLSKA

MAŁOPOLSKA

MAŁOPOLSKA

MAŁOPOLSKA

MAŁOPOLSKA

MAŁOPOLSKA

MAŁOPOLSKA

MAŁOPOLSKA

MAŁOPOLSKA

MAŁOPOLSKA

MAŁOPOLSKA

MAŁOPOLSKA

MAŁOPOLSKA

MAŁOPOLSKA

MAŁOPOLSKA

MAŁOPOLSKA

MAŁOPOLSKA

MAŁOPOLSKA

MAŁOPOLSKA

MAŁOPOLSKA

MAŁOPOLSKA

MAŁOPOLSKA

MAŁOPOLSKA

MAŁOPOLSKA

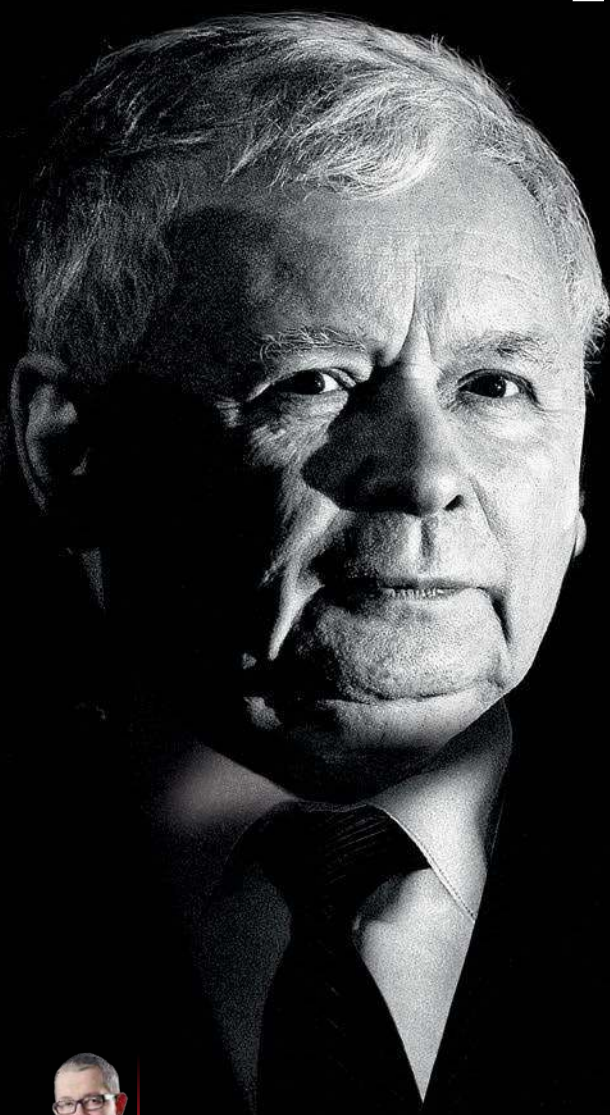
MAŁOPOLSKA

MAŁOPOLSKA

MAŁOPOLSKA

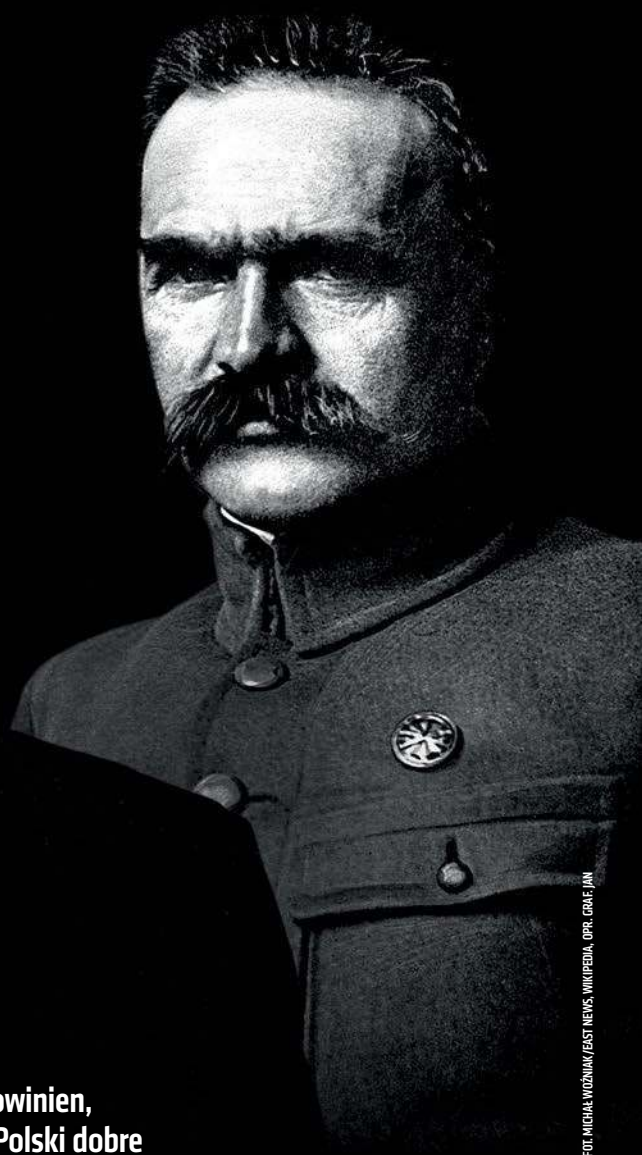
MAŁOPOLSKA

Czego sanacja nauczyła PiS?



Rafał A. Ziemkiewicz

PiS nauczył się od Piłsudskiego akurat tego, czego nie powinien,
a nie wyciągnął nauki, którą powinien, bo byłoby to dla Polski dobre



FOT. MICHAŁ WODNIAK / EAST NEWS, WIKIPEDIA, OPR. GRAF JAN

Nie dbał nigdy o poparcie większości, ale o zwartość i dyscyplinę swojej grupy” – napisał o Józefie Piłsudskim Stanisław Cat-Mackiewicz. Zacytowałem te słowa na antenie pewnego radia, opatrując je komentarzem: „Czyli, mówiąc współczesnym językiem, Marszałek obsługiwał tylko swój żelazny elektorat”. „Czy każda rozmowa musi od razu schodzić na współczesną politykę?” – odparł na to prowadzący. Nawet nie pytałem, dlaczego uznał to zdanie za komentarz do spraw bieżących i który ze współczesnych polityków skojarzył mu się z zasadą poświęcania uwagi przede wszystkim cementowaniu swoich oddanych zwolenników, a lekceważeniu oczekiwań innych. Przecież i tak wszyscy to wiemy.

Porównywanie rządów PiS z przedwojennymi „rządami pomajowymi” to koncept publicystyczny tak częsty, że aż – można powiedzieć – zdarty. Sam cytowałem na tych łamach żart jednego z posłów Kukiza, że PiS to taka grupa rekonstrukcyjna sanacji, opatrując go uwagą, iż na dodatek w grupie tej widać wyraźną nadreprezentację rekonstruktorów Felicjana Sławoja Składkowskiego. Nazywanie Jarosława Kaczyńskiego „naczelnikiem” bądź „komendantem” to już żart tak banalny, że nieśmieszny.

PIŁSUDSKI DLA KAŻDEGO

W istocie jednak wpływ sanacji na politykę III RP jest znacznie szerszy, obejmuje nie tylko tych, którzy się do kultu Piłsudskiego odwołują otwarcie i wieszają sobie jego podobiznę na ścianach. Także tych, którzy instrumentalnie przywołując figurę „ojcowskiego opiekuna Polaków”, głoszą hasła z jego patriotycznym i romantycznym dziedzictwem najdoskonalej sprzeczne – że polskość to nienormalność, przeżytek, że państwa narodowe to dziś anachronizm, a patriotyzm to forma rasizmu. A nawet ci, którzy – tak jak ruchy narodowo-radykalne – otwierają tradycję Piłsudskiego odrzucają. Wszyscy oni, cała polityka III RP, wzięli się z tradycji sanacyjnej, bo innej tradycji państwa, poza PRL, nie mieliśmy – pięć lat polskiej demokracji pomiędzy przyjęciem konstytucji w marcu 1921 r. a jej podeptaniem w majowym zamachu stanu w 1926 r. zostało z polskiej pamięci wycięte, ośmieszone i sprowadzone do karykaturalnej wizji „partyjnego burde-

lu, serdelu i pierdelu” oraz „konstytuty-prostytuty”.

Ponieważ wydałem niedawno książkę traktującą ten temat szerzej, zmuszony jestem zastrzec, że w niniejszym tekście nie powtarzam niczego, co byłoby w niej zawarte – jakkolwiek oczywiście tezy książki, jeśli czytelnik zechce na nią, mam nadzieję, zerknąć, są z przedstawionymi tutaj komplementarne.

Tak jak każdy mocno upowszechniony i zakorzeniony mit, tak i mit dobrego Marszałka ma wiele odmian – można rzec, że każde środowisko ma swojego Piłsudskiego. Piłsudski Jarosława Marka Rymkiewicza i PiS diametralnie różni się od Piłsudskiego „Gazety Wyborczej”, która – acz, powtórzę, instrumentalnie – bardzo chętnie sięga po tę ważną dla polskiego myślenia postać, by np. pompować kult Wałęsy albo dyskredytować „endecki ciemnogród”, choć obaj mają mniej więcej tyle samo wspólnego z historycznym pierwowzorem. Tylko że Piłsudski PiS przefiltrowany został przez wojenną martyrologię i straceńcze powstanie warszawskie (choć rację ma moim zdaniem Piotr Zychowicz, że gdyby Marszałek wojny dożył, ani nie pozwoliliby nam wejść do niej w pierwszym rzucie w akcie poświęcenia interesom „parszywieńkiego” Zachodu, ani nie dałby zgody na szałenstwo planu „Burza”), natomiast Piłsudski michnikowszczyzny, przefiltrowany przez międzywojenny liberalny salon, to Piłsudski oglądany oczyma Słonimskiego czy Tuwima – oświecony dyktator, który wziął za pysk „ciemnogród”, a „morderców Narutowicza” kazał ku pokłaskowi wspomnianego salonu represjonować, bić i wsadzać do Berez.

Ponieważ jednak michnikowszczyzna jest obecnie zjawiskiem schyłkowym, a PiS rządzi i rządy jego zapowiadają się na więcej niż jedną kadencję, przynajmniej dopóty, dopóki ma taką jak obecnie opozycję, zajmijmy się tym, co najważniejsze. Czego formacja rządząca dziś państwem i wobec intelektualnego wyjąłowania oraz immanentnej głupoty lewicowo-liberalnego salonu stopniowo przejmująca także „rząd dusz” nauczyła się od sanacji? A czego się nie nauczyła?

OJCOWSKA RĘKA

Niestety, można rzec, PiS nauczył się od Marszałka akurat tego, czego nie powinien, a nie wyciągnął nauki, którą

powinien, bo byłoby to dla Polski dobre. Przejął to, co dla współczesnego obrazu „twórcy państwa polskiego” fundamentalne – że prawo do przewodzenia narodowi płynie nie ze zwycięstwa wyborczego, ale z wyższości moralnej, że zarządzanie dobrem wspólnym, z grecka zwane „polityką”, jest – odwraca się tu klasyczna formuła Clausewitza – przedłużeniem wojny, prowadzonej tylko innymi, pokojowymi środkami, oraz że Polacy jako zbiorowość nie są zdolni do tworzenia republikańskiej, obywatelskiej wspólnoty i ktoś musi ich dopiero do zdolności tej doprowadzić. Innymi słowy, że niezbędna jest nam silna ojcowska ręka, taki właśnie „ojcowski opiekun”, który zerkając z moralnych wyżyn na bieg spraw, czuwa, nadzoruje i zaingeruje, gdy coś idzie nie tak, w oczekiwaniu, aż „naród się odrodzi”.

Z tego ostatniego płyną oczywiste wnioski: że jest ta część narodu, która w procesie odradzania się (to skądinąd fundamentalne pojęcie w całym dyskursie i dziedzictwie Marszałka, przesuwające całą „Sprawę Polską” z regionów praktycznych w sferę moralną i pozwalające lekceważyć cele praktyczne) jest bardziej zaawansowana, i ta, która od stanu postulowanego jest bardzo daleko, a wręcz potrzeby narodowego odrodzenia nie rozumie. Oczywiście jest zatem, że ta pierwsza część winna nad drugą dominować i naprowadzać ją na właściwą drogę, nie krępując się przy tym, gdy trzeba w tym celu coś nagiąć, naciągnąć albo docisnąć kolanem. W końcu do tradycyjnych prerogatyw ojca należy też prawo, by czasem, gdy uzna, że trzeba, przyłożył pasem. Wielki cel wiele usprawiedliwia.

Oczywiście raz jeszcze trzeba powtórzyć – nie można przyznać PiS monopolu na takie rozumienie polityki prowadzonej z wyżyn moralnej wyższości. Identycznie wyglądała filozofia „reform” i „prowadzenia Polaków do Europy” przez obóz dominujący w pierwszym 25-leciu po Okrągłym Stole.

Profesor Nowak w polemice z owym obozem odwoływał się swego czasu publicznie do słów Marszałka: „J...ł was pies, Polska takich nie potrzebuje”, a oddając dość wiernie mentalność PiS w wersji pop „Gazeta Polska” z lubością powtarza przypisywane Marszałkowi słowa o jego politycznych pryncypiach: „Jaki program? Najprostszy z możliwych: bić

„k... i złodziei!”. Niestety, nie jest to tylko retoryczna swada, ale wyraz myślenia głęboko zakorzenionego w „PiS-owskim rozumie”.

Co z tego wynika w praktyce? Otóż o ile Piłsudski miał rzeczywiście możliwości, by tych, których uznał za „k... i złodziei”, bić, a także stosowną do tego kadrę, karną i uzbrojoną, w której oprócz oddanych intelektualistów było miejsce i dla zbirów od mokrej roboty, i wreszcie sprzyjał mu „duch czasów”, w których cała Europa zatraciła wiarę w prawa człowieka i obywatela oraz demokrację, o tyle PiS jest tylko jedną z partii politycznych, konkurujących o głosy wyborców według zasad, których nie jest w stanie znacząco zmienić bez zasadniczego obniżenia strategicznego bezpieczeństwa Polski. Jeśli Piłsudski był dla Polaków takim ojcem, który rzeczywiście miał pas i mógł nim wymusić posłuch, to Kaczyński jest takim ubezwłasnowolnionym przez „niebieską linię”.

JAK W WOJSKU

Co było istotą piłsudczyzmu i sanacyjności? W moim przekonaniu – wojskowość. Marszałek, który rzeczywiście był wybitnym wodzem i w tej kwestii jego zasługi oraz podobieństwo do Napoleona, na którym się wzorował, są niekwestionowane, po to zniszczył rządzącą się polską republikę, by narzucić jej jedyny znany mu i jedyny przezeń poważany wzorzec – wojskowy. On oraz jego następcy całe państwo i społeczeństwo zamieniali w armię, rządzoną przez kadrę oficerską (w najbardziej dosłownym stopniu, bo oficerowie, czynni lub byli, piastowali większość kluczowych stanowisk), utrzymywaną w nieustającym pogotowiu bojowym. Służyły temu propaganda mocarstwa, stale podgrzewane przygotowania do wojny, która przyniesie Polsce wielkość, a trzeba też rzec, iż bez wątpienia sprzyjała takiemu modelowi rządzenia ówczesna sytuacja międzynarodowa.

O takiej militarystyce i jakiegokolwiek społecznej legitymizacji dla niej nie sposób dziś nawet myśleć. A mimo to PiS w sposób cywilny odtwarza wojskowy model zarządzania i polityki kadrowej, nie bacząc na diametralną zmianę świata. Do Jarosława Kaczyńskiego, uformowanego duchowo przez tradycję piłsudczykowską, a politycznie przez fascynację gen. de Gaulle'em

i gaullizmem, nie ma nawet co startować z rozumieniem państwa nie jako „armii dobrej sprawy”, ale swego rodzaju korporacji, produkującej bezpieczeństwo i dobrobyt, konkurującej na światowym rynku z korporacjami zbudowanymi przez inne narody. Myślenie menedżerskie jest partii rządzącej, uformowanej w boju – pokojowym, ale boju – o imponderabilia, najgłębiej obce. Oczywiście nie da się uniknąć nadzoru nad gospodarką, ale w ramach ogólnej polityki kadrowej prowadzonej według kryterium zasług dla Polski. Nic nie ujmując talentom ani wiedzy Mateusza Morawieckiego – czy mógłby on stać się „Kwiatkowskim Kaczyńskiego”, zyskałby jego zaufanie i stał się depozytariuszem tak wielkich nadziei, gdyby nie był synem „tego” Morawieckiego?

Zastosowanie sanacyjnego, wojskowego wzorca do polityki prowadzonej w innych zupełnie czasach, gdy nie ma ani możliwości urzędowania „totalnej

Rządzenie państwem nie polega na „biciu k... i złodziei”, choć oczywiście zaprowadzanie sprawiedliwości należy do obowiązków władzy

opozycji” Brześcia i Berezy, ani szanse uzyskania dla rozstrzygnięć siłowych akceptacji, skazuje obóz rządzący na nieusuwalną antynomię. Nie mogąc słuszności narzucić siłą, musi odwoływać się do „suwerena”. Dla sanacji tym suwerenem był jednak Piłsudski, który mianował się nim sam – dla funkcjonującego w teraźniejszości PiS musi nim być wyborca. Jednak – tu właśnie owa nierozwiązywalna sprzeczność – jak może nim być, skoro „naród się niestety nie odrodził”, skoro „naród wspaniały, ale ludzie k...”, skoro tak mniej więcej połowa mieszkańców Polski jest wykończona z polskości. PiS musi jednocześnie czcić większość jako suwerena i nucić jej słowa „Pierwszej Brygady” „j... was pies”, łącząc dumne bycie ponad werdykt wyborców (ważny, gdy wygrywamy my, będący tylko skutkiem ośłupienia i oszukania mas przez propagandę, gdy wygrywają oni) z zabieganiem o nich przez rozdawanie „500+” i innych

zasiłków. I to już nie ma nic wspólnego z Piłsudskim, który wieszał psy na posłach i Sejmie, ale też, konsekwentnie i szczerze, mówił wysokiej izbie: „Jest mi całkowicie obojętne, czy dostanę od was trzy głosy, czy trzysta”.

Najgorsze jest to, że czerpiąc wzorce z sanacji – tak jak wszyscy inni, raczej instynktownie, nawykowo niż w sposób jakkolwiek przemyślany – zupełnie nie zauważa PiS podstawowej nauki, jaka z niej wynika. Otóż tą nauką jest: sanacyjny model państwa na nas działa! Nie działał już nawet w sprzyjających mu latach 30.

Rządzenie państwem nie polega na „biciu k... i złodziei”, choć oczywiście zaprowadzanie sprawiedliwości należy do obowiązków władzy, bo jeśli nie zmienia się systemu, to na miejsce pobitych przychodzą nowe, jeszcze gorsze, bo własne (warto zerknąć we wspomnienia międzywojennego pracownika NIK, o których niedawno na naszych łamach pisaliśmy). Zasób kadrowy oparty na lojalności, posłuszeństwie wobec Komendanta i „sprawdzeniu się w boju” także nie gwarantuje sukcesu, a wręcz przeciwnie – pułkownicy, mianowani prezesami banków czy szefami resortów, nawyrządzali tam nieopisanych szkód. Co wreszcie chyba najbardziej istotne, taka próba pójścia na skróty, postawienia się ponad nudnymi i niepewnymi procedurami demokracji, nie buduje bynajmniej społecznej tkanki ani nie przybliża oczekiwanego narodowego „odrodzenia”, które było słowem kluczem sanacji, czy też, by sięgnąć po słowo analogiczne w dyskursie PiS, „przebudzenia”. Oddala je.

Wokół Komendanta zawsze tworzą się bowiem koterie i sitwy, kamaryle i grupy interesu, walczące o dostęp do jego ucha oraz głowy i czekające, aż Geniusz opadnie z sił. Proces „dekompozycji sanacji” po śmierci Piłsudskiego to straszliwa przestroga dla wszystkich, którzy wierzą w patriarchalną, dobrotliwą dyktaturę, obojętną, czy oczekującą od „ojcowskiego opiekuna” autorytaryzmu patriotycznego, czy „oświeconego”. Procesu „dekompozycji PiS”, gdy kiedyś z jakiegokolwiek powodu przestanie w nim nad wszystkim trzymać pieczę i o wszystkim rozstrzygać Jarosław Kaczyński, lepiej sobie nawet nie wyobrażać. W każdym razie nie przed snem, bo przyśnią się koszmary.



Piotr Gociek

Barwne porównania w polityce zwykle służą nie przybliżeniu prawdy, lecz wygodnemu ustawieniu sobie chłopca do bicia. Tak jest z porównaniem PiS do rządów sanacyjnych II RP

Nie doszła do władzy w wyniku zamachu stanu, nie wsadza do więzień politycznych przeciwników, nie stosuje cenzury, nie wpisuje do konstytucji prymatu państwa nad narodem (przeciwnie – podkreśla rolę woli narodu w stanowieniu prawa i procesie naprawy kraju). Nie da się jej nazwać reżimem autorytarnym, nawet jeśli miałyby to być „łagodny autorytaryzm”. Nie jest quasi-soldateską, która próbuje symbiozy aparatu armijnego z urzędniczym. Jeśli chodzi o zarzuty niszczenia demokracji, to jej podwójna wygrana w roku 2015 jest dowodem na to, że demokracja w Polsce jeszcze istnieje, a nie że została zawieszona. Cóż więc z tej Zjednoczonej Prawicy za sanacją?

Mimo to porównywanie rządów PiS i jego koalicjantów (Polska Razem, Solidarna Polska) do rządów sanacyjnych z czasów II RP pojawia się zadziwiająco często. Publicystycznie wygodny chwyt, nic więcej, bo jednocześnie bałamutny. Bałamutne uproszczenia robią z reguły długie kariery. Tak jak chwytliwy slogan o tym, że Polską rządzą dwie trumny: Piłsudskiego i Dmowskiego. Czy nie bliższe oddaniu tego, co przydarzyło się Polsce w minionym ćwierćwieczu byłoby hasło: „Rządzą nią trumna Jaruzelskiego i teczka Wałęsy”?

GDZIE TE PODOBIENSTWA?

Co ciekawe, porównania z sanacją pojawiają się najczęściej po prawej stronie – główni polityczni przeciwnicy Zjednoczonej Prawicy wołają wołać, że to polscy orbanowcy, putiniści, bolszewicy i oczywiście faszysty. Zarzut „nowa sanacja” pojawia się zaś najczęściej w ustach tych, którzy uważają, że dominujący obecnie najsilniejszy nurt polskiej prawicy powinien mieć inny kształt. Że powinien to być – powiedzmy wprost – inny projekt polityczny. Z zarzutem tym

PiS to nie sanacja

■ (formułowanym przez tych, którzy sami mają z reguły jakiś własny projekt polityczny), jest tylko jeden kłopot – nikt nikomu nie zabrania wygrania wyborów z własnym programem, nie trzeba po-przestawać na szydzeniu z cudzego.

Libertarianie, republikanie, endecy, narodowcy mają pretensje do PiS, że jest za mało libertariański, republikański, endecki lub narodowy, zapominając jednocześnie o tym, że na taki, a nie inny PiS padła wystarczająca liczba głosów, by partia ta objęła władzę. „Wygrajcie wybory, to sobie wszystko przegłosujecie” – drwił z opozycyjnego PiS Stefan Niesiołowski. No to sobie PiS wygrał i realizuje swój program. Nie wątpię, że kiedy wybory wygra partia Korwin-Mikkego albo Endecja, to będzie realizować własny program, a nie program PiS. To zaś PiS wtedy będzie miał pretensje, że dominujący na scenie nurt prawicy ma (z punktu widzenia krytykującego) niewłaściwy kształt.

Barwne porównania w polityce zwykle służą nie przybliżeniu prawdy, lecz wygodnemu ustawieniu sobie chłopca do bicia. No, hajda! Jedziemy: Jarosław Kaczyński to nowy Piłsudski, Antoni Macierewicz to nowy marszałek Śmigły-Rydz, Witold Waszczykowski to inkarnacja Józefa Becka, Mateusz Morawiecki – Kwiatkowskiego. No i tak jak sanacja PiS zawłaszcza państwo. No i naczelnik kierujący wszystkim siedzi nie w Pałacu Prezydenckim ani kancelarii premiera, tylko w Sulejówku, to znaczy na Żoliborzu, albo w swoim neosanacyjnym biurze przy Nowogrodzkiej. No i jeszcze PiS buduje socjalizm. Sanacja też budowała etatyzm, czyli socjalizm, i lubiła jak państwo wtrąca się w gospodarkę. Czyli PiS to sanacja.

Tezy o reżimie autorytarnym Kaczyńskiego obronić się nie da, a jeśli chodzi o prześladowanie politycznych przeciwników, to jak dotąd najstraszniejszą szykaną wobec np. Komitetu Obrony Demokracji było sprawne zabezpieczenie jego marszów przez policję. Jeśli dowodem na sanacyjne praktyki mają być wzywanie niektórych polityków do prokuratury, żeby się tłumaczyli ze swoich grzeszków, i publiczne twierdzenie, że powinni trafić przed sąd albo Trybunał Stanu, to Zbigniew Ziobro czy Mariusz Kamiński przez osiem lat byli ofiarami sanacyjnego reżimu Tuska, który ciągał ich bez końca po prokuratorskich gabinetach i kazał tłumaczyć się z dętych zarzutów.

Jarosław Kaczyński nie jest premierem ani prezydentem, ale o wszystkim decyduje – mówią zwolennicy porównań z sanacją. Czyli jest jak za Piłsudskiego. Cóż, w odróżnieniu od Piłsudskiego w II RP Kaczyński nieustannie poddawał się w III RP demokratycznemu werdyktowi wyborców. Kiedy jego partia miała niktę poparcie, nie miał wpływu na nic. Kiedy miała duże – wygrywał wraz z nią wybory. Gdy zabrakło mu głosów, po prostu nie był posłem. Piłsudski albo sam dawał sobie władzę, albo przynosili mu ją w prezencie jego totumfaccy. Gdzie tu podobieństwo?

Jeśli chodzi o doktrynę wojenną i zbrojenia, to po klęsce wrześniowej sanacja obwiniana była o to, że przemysł zbrojeniowy był nieruchawy i nieudolny, a rozwijano go, by stworzyć synekury dla panów pułkowników oraz panów generałów. Po nowoczesną broń z zagranicy sięgnięto zbyt późno i w zbyt małym stopniu. Dzisiaj w obydwu sprawach PiS postępuje odwrotnie – zbrojeniówka ma być jednym z kół zamachowych gospodarki, eksportu i innowacji. Zakupy sprzętu z zagranicy na dużą skalę wkrótce ruszą. Jednak nie na podstawie przeczuć rubasznego wujaszka z wąsem siedzącego w Belwederze, któremu marzyło się mnóstwo czołgów (proszę sobie poczytać dawne wywiady z Komorowskim), lecz na podstawie rekomendacji ze Strategicznego Przeglądu Obronnego. Twarda obrona – miny, broń przeciwpancerna, pociski ziemia-powietrze, okręty podwodne, które mają utrudnić desant na polskim wybrzeżu, nowoczesne lotnictwo (w tym śmigłowce uderzeniowe). Wszystko, by uczynić zdobywanie polskiego terytorium wyjątkowo nieopłacalnym zajęciem.

Dokument ten po raz pierwszy po 1989 r. trzeźwo wskazuje i ocenia zagrożenia Polski, a wynikające z niego zalecenia to bardziej tworzenie Twierdzy Polska na wzór doświadczeń Finlandii z czasów konfrontacji z Sowietami oraz doświadczeń Izraela, który nie miał innego wyjścia, jak tylko w niesprzyjających warunkach geopolitycznych stać się zarówno prężnym wytwórcą broni, jak i jej aktywnym importem. Tymczasem armia II RP wyglądała tak, jak wyglądała w 1939 r., bo przygotowywano ją do poprzedniej wojny (z bolszewikami), czyli wielkich kawaleryjskich manewrów na Wschodzie, a nie do twardej obrony. Tworzenie Wojsk Obrony Terytorialnej,

które wywołało wściekłość w putinowskiej Rosji, to działanie wprost wcielaające w życie postulaty zaciekłych krytyków sanacji. Ksawery Pruszyński, zauważając, że Polska miała przed 1939 r. świetnych żołnierzy, żałował jednocześnie, iż „tym większa szkoda, że państwo nie umiało gospodarować tym wspaniałym materiałem, jaki otrzymało. Że nie umiało go ani nowoczesnie uzbroić, ani nowoczesnie wyszkolić”. Dzisiaj materiał pewnie gorszy, ale zbrojenie i szkolenie to oczko w głowie szefa MON.

Kolejna sprawa – sanacyjna polityka zagraniczna i jej błędy. Kwestia, którą łączyć należy z doktryną wojenną. Dzisiaj Polska nie jest samotnym graczem próbującym utrzymać ten sam dystans do wroga ze wschodu i wroga z zachodu. To oczywiste (i na to zwracają uwagę autorzy SPO), że przede wszystkim trzeba inwestować we własne zdolności obronne, ale równie ważne są właściwe sojusze. W odróżnieniu od bardzo ogólnikowych porozumień z Anglią i Francją sprzed II wojny światowej teraz Polska jest elementem wielkiego bloku obronnego, czyli NATO. I w odróżnieniu od czysto politycznego wymiaru tamtych porozumień, za którymi nie słyż pisanie planów ewentualnościowych i ustalenia sztabów, dziś jest odwrotnie: generałom państw NATO chyba współpracuje się nawet lepiej niż ich cywilnym zwierzchnikom. Wojska sojuszu znajdują się na terenie Polski, co, owszem, czyni ją znów krajem frontowym, ale nic w tym złego, o ile jest się po właściwej stronie frontu (wystarczy spojrzeć, jaki pożytek przyniosło to w czasach zimnej wojny Republice Federalnej Niemiec).

PODZIĘKUJECIE POPRZEDNIKOM

Kamień obrazy zostawiłem na koniec: gospodarka. PiS-owcy to socjaliści, etatyści, miłośnicy interwencjonizmu państwa, którym śni się nowy Centralny Okręg Przemysłowy. W kwestii COP – a co w tym złego? Jego powstanie ocaliło spory kawałek centralnej Polski przed losem Podlasia, które jeszcze przez długie dekady żyło tylko z tego, co krowa dała i co w lesie wyrosło. Jarosław Kaczyński mówiący o potrzebie reindustrializacji Polski nie powtarza zaklęć sanacji, tylko staje w centrum bardzo modnego obecnie na Zachodzie nurtu, którego wyraziciele głośno mówią: samymi usługami gospodarki rozpedzić się nie da. Ktoś musi budować statki, produkować

wać lodówki i samochody. Lepiej u siebie niż w Chinach. Wicepremier Mateusz Morawiecki nie marzy o stawianiu hut na Podkarpaciu, tylko chciałby swój „okręg przemysłowy” oprzeć na nowoczesnych usługach finansowych, innowacjach technologicznych i produkcji wysoko wyspecjalizowanych technologii. PiS-owski model interwencji państwa opiera się nie na doświadczeniach przedwojennej sanacji, ale powojennych Niemiec oraz Korei Południowej.

Sanacja podnosiła podatki, Zjednoczona Prawica tego nie robi, próbuje je za to obniżyć – na razie skromnie, zaczynając od CIT dla małych przedsiębiorstw i składek ZUS dla najmniejszych, ale w tej sprawie nie powiedziała jeszcze ostatniego słowa. Nie minęły jeszcze dwa lata rządów, poczekajmy na priorytety drugiej połowy kadencji. Też chciałbym, żeby zmieniano Polskę szybciej,

dobre dla Polski w czasach powracającego protekcjonizmu? Zamiast prowadzić akademicką dyskusję nad wyższością jednej doktryny nad drugą, zawsze trzeba się zastanawiać, w jakich warunkach jest ona wprowadzana. Przecież główny zarzut wobec gospodarki socjalistycznej (planowej) brzmiał: jest to gospodarka księżycowa, kompletnie oderwana od realiów. Po prawej stronie słusznie podobne zarzuty formułowane były wobec doktryny neoliberalnej, czyli tak naprawdę wprowadzania turbokapitalizmu w kraju bez kapitalistów, na czym korzystały podmioty domagające się absolutnej swobody w prowadzeniu działalności na polskim rynku, a odzegnujące się jednocześnie od jakiejkolwiek odpowiedzialności przed tymi, których eksploatują. Ten neoliberalny postkolonializm odpowiada za dzisiejsze zacofanie Polski, z tego uzależnienia Zjednoczona Prawica

pów i sposobów. I tu znowu interwencja państwa okazuje się nieodzowna. Państwa, które nie tylko musi dbać o własne interesy w starciu z innymi państwami, lecz także musi odpowiedzieć na wołanie wyborców: „Zróbcie coś wreszcie, przestańcie powtarzać, że wy, politycy, nic nie możecie”. Czyli nowy populizm.

Szalenie ważną rzecz powiedział wiosną ubiegłego roku w wywiadzie dla „Do Rzeczy” Paweł Kowal: „Gdyby się okazało, że to zjawisko nowego populizmu opłynie cały świat, to to, co obecnie dzieje się w Polsce, może być nawet najmądrzejszą odpowiedzią na te tendencje [...]”. Często zarzuca się Kaczyńskiemu, że jest odcięty od nowoczesnego świata, że nie korzysta z nowinek technicznych. To tylko jedna z moich hipotez, ale może dzięki temu Kaczyński lepiej wyczuwa to, co jest dominującą tendencją we współczesnym świecie? Że to inni, gdzieś między Facebookiem a Twitterem, trochę się gubią? A trend światowy jest właśnie taki – populistyczny-kolektywistyczny. I być może to, co się dzieje obecnie w Polsce, o wiele lepiej nas przygotowuje do zmierzenia się z tymi nowymi wyzwaniem niż rządy jakiegokolwiek innej ekipy?” („Do Rzeczy” 14/2016).

Jarosław Kaczyński nie jest premierem ani prezydentem, ale o wszystkim decyduje – mówią zwolennicy porównań z sanacją. Czyli jest jak za Piłsudskiego. Cóż, w odróżnieniu od Piłsudskiego w II RP Kaczyński nieustannie poddawał się w III RP demokratycznemu werdyktowi wyborców

lepiej, efektywniej, ale – jak kiedyś już zauważałem w „Do Rzeczy” – rządzący są dziś w sytuacji gościa, który jadąc na rowerze, próbuje jednocześnie ten rower rozkręcać i naprawiać. Dlaczego? Za to podziękujcie już poprzednim ekipom, ze szczególnym uwzględnieniem tej, która rządziła osiem lat.

Sanacja próbowała wyrównywać nierówności społeczne (na ile skutecznie, to inna sprawa), także czyni i PiS, dokładając do tego aktywną politykę demograficzną. Czy jednak można robić z tego zarzut? Jeśli tak, to miejmy pretensje do rządu Irlandii o zasiłki dla rodzin, do rządu Niemiec o budowanie tanich mieszkań do wynajęcia, do rządu Hiszpanii o zbyt hojne zasiłki dla bezrobotnych. Jak świat długi i szeroki słyhać dziś wezwania do wypracowania nowej umowy społecznej, do bardziej zrównoważonego rozwoju, uczciwszego podziału owoców wzrostu (szczególnie gdy wypracowano go wspólnym poświęceniem).

Pytanie, czy rozwiązania gospodarcze proponowane przez PiS są dla Polski dobre, powinniśmy rozszerzyć: Czy są

próbuję wydobyć kraj. Używa do tego jedyne go dostępnego jej środka – zerwała z dogmatem, że państwu jest zawsze i wszędzie wszystko jedno.

Do protekcjonizmu wracają kraje „starej Europy”, które zresztą nigdy z tego instrumentu nie zrezygnowały. Szermując hasłami o wolnym przepływie kapitału, inwestycji, siły roboczej, same zazdrośnie strzegły własnych rynków i własnych strategicznych działań gospodarki. Boleśnie przekonali się o tym Polacy czekający długo na możliwość swobodnej pracy w Unii Europejskiej, a dziś przekonuje się jeszcze boleśniej polska branża transportowa, którą jako zbyt taną, ekspansywną oraz skuteczną Francja i Niemcy chcą po prostu wyrugować z zachodnich rynków, zaostrzając przepisy regulujące delegowanie pracowników. Te same kraje alergicznie reagują na jakiejkolwiek próby ograniczenia swobody własnych inwestycji na polskim rynku. Nie my narzuciliśmy reguły tej gry, ale uczymy się w niej pomału odnajdywać. Kiedy bowiem kásają cię wilki, musisz się uczyć wilczych podstęp-

LUDZIE PREZESA

Aha, jeszcze jedna rzecz. To straszne, bo do tego wszystkiego, o czym wyżej pisałem, Jarosław Kaczyński, ów nowy Piłsudski, ów wódz nowej sanacji, zatrudnia swoich. Znaczących, którzy są zwolennikami jego partii albo z niej się wywodzą. Albo tych, którzy weszli z nią w koalicję. A nie apolitycznych fachowców. Oczywiście lepiej by mu szło reformowanie Polski, gdyby zatrudniał tych, którzy wywodzą się z PSL, SLD i Platformy Obywatelskiej, a apolitycznych fachowców wziął z Nowoczesnej. Co gorsza, ma zaufanie do tych, z którymi już pracował, a nie ma do tych, których nie zna. Szokujące. No i oczywiście ci, którym ufa, okazują się strasznymi partaczami. Właśnie rozpędzili PKB do 4 proc., zbili bezrobocie do 7 proc., uszczelnili system podatkowy, zyskując grube dziesiątki miliardów złotych jedną prostą dyrektywą „nie kradnij”, a kolejne (złośliwcy!) pomysły trzymają w zanadrzu. No i podwoili wpływy z działalności spółek Skarbu Państwa. Nawet te od węgla zaczęły przynosić zyski. Zaiste, prawdziwa druga sanacja prowadząca nas do drugiej klęski wrzesniowej. A może jednak nie nowa sanacja?

Sąd kontra



Agnieszka Niewińska

Niewykluczone, że niemal po dwóch latach od ułaskawienia Mariusza Kamińskiego i jego współpracowników z CBA sprawa wróci na wokandę. Sąd Najwyższy uznał prezydencki akt łaski za niebyły



Prawo łaski prezydent może stosować wyłącznie wobec osób, których winę stwierdził prawomocnym wyrokiem sądu – ogłosił Sąd Najwyższy. Uznał, że prezydent nie może wkroczyć w obszar wymiaru sprawiedliwości przed wydaniem prawomocnego wyroku. – Wtedy to już nie mamy wymiaru sprawiedliwości – mówił w uzasadnieniu podjętej przez SN uchwały sędzia Jarosław Matras. Sąd Najwyższy uznał także, że zastosowanie prawa łaski przed uprawomocnieniem się wyroku nie wywołuje skutków procesowych, czyli według SN jest tak, jakby prezydenckiego ułaskawienia w ogóle nie było.

Sędziowie wywołali burzę nie tylko prawną, lecz także polityczną, bo sprawa dotyczy Mariusza Kamińskiego – byłego szefa CBA, a obecnie koordynatora służb specjalnych – i jego współpracowników.

Chodzi o tzw. aferę gruntową. W 2007 r. CBA, podejrzewając korupcję w kierowanym przez Andrzeja Leppera resorcie rolnictwa, przygotowało akcję, w której ramach Piotrowi R. i Andrzejowi K. wręczono tzw. kontrolowaną łapówkę. Operacja CBA się nie udała ze względu na przeciek. Sprawa trafiła do sądu. W marcu 2015 r. sąd pierwszej instancji uznał, że Kamiński i inni funkcjonariusze CBA przekroczyli swoje uprawnienia. Kamińskiego i Macieja Wąsika (ówczesnego zastępcę szefa CBA)

skazał na trzy lata bezwzględnej pozbawienia wolności i 10-letni zakaz zajmowania stanowisk publicznych. Prezydent ułaskawił skazanych w listopadzie 2015 r. – zanim jeszcze uprawomocniły się wyroki.

Wygląda na to, że sprawa szefów CBA wróci na wokandę. – W świetle uchwały Sądu Najwyższego aktu łaski prezydenta w sprawie byłych szefów CBA nie ma – tłumaczył dziennikarzom rzecznik SN sędzia Michał Laskowski. I dodawał, że według niego proces wróci do sądu drugiej instancji. To dopiero orzeknie SN w składzie trzech sędziów, którzy mają podjąć decyzję kasacyjną. Kiedy prezydent zastosował bowiem prawo łaski, sąd drugiej instancji uchylił nieprawomocny wyrok skazujący

prezydent



Sędziowie Sądu Najwyższego uznali, że prezydenckie ułaskawienie nie nastąpiło FOT. JACEK TURCZYK/PAP

byłych szefów CBA i umorzył postępowanie. O kasację tej decyzji wnieśli pełnomocnicy oskarżycieli posiłkowych. Sędziowie SN, rozpoznając kasację, uznali sprawę za zbyt skomplikowaną i złożyli zapytanie do szerszego składu – siedmiu sędziów SN. I właśnie ubiegłotygodniowa uchwała jest wiążąca dla składu trzech sędziów SN, którzy mają podjąć decyzję w sprawie kasacji.

O tym, że sędziowie znów będą się zajmować sprawą Kamińskiego i innych funkcjonariuszy CBA, jest przekonany prof. Piotr Kruszyński, adwokat i karnista z Uniwersytetu Warszawskiego. – Wróci ona teraz do sądu okręgowego, który będzie musiał ją rozstrzygnąć. Może utrzymać wyrok pierwszej instancji, zmienić go

lub umorzyć sprawę – mówi „Do Rzeczy”. Zaznacza, że uchwałą SN jest zdziwiony. Już w 2015 r., kiedy prezydent ułaskawił Kamińskiego i jego współpracowników z CBA, prof. Kruszyński podkreślał, że Andrzej Duda miał do tego prawo. – Zdania nie zmieniłem, a uchwałę SN uważam za nietrafną, a nawet całkowicie niezrozumiałą. Trzeba rozróżniać dwa pojęcia. Ułaskawienie jest przewidziane w Kodeksie postępowania karnego i rzeczywistość dotyczy wyłącznie osób skazanych prawomocnym wyrokiem. Prawo łaski natomiast reguluje art. 139 konstytucji. Jest ono szersze i dotyczy także tych, którzy nie zostali jeszcze skazani. Mówimy wówczas o abolicji indywidualnej. To nie jest tylko

moje zdanie. Taką interpretację znajdziemy w niemal wszystkich komentarzach do Kodeksu postępowania karnego autorstwa wybitnych prawników, sędziów Sądu Najwyższego – choćby u Piotra Hofmańskiego, Andrzeja Murzynowskiego, Tomasza Grzegorzaka – wylicza prof. Kruszyński.

Żaden z poprzednich prezydentów nie skorzystał z prawa łaski wobec osoby, która nie została skazana prawomocnie. Decyzja Andrzeja Dudy była więc precedensowa i jeszcze w 2015 r. podzieliła środowisko prawników.

CZY SN MIAŁ PRAWO

Profesor Andrzej Zoll, były prezes Trybunału Konstytucyjnego, twierdził,

■ że prezydent Duda „ewidentnie naruszył konstytucję”. Profesor Zbigniew Cwiąkałski, karnista i były minister sprawiedliwości, dowodził, że kryteria co do prawa łaski ustala Kodeks postępowania karnego, który stanowi, iż ułaskawiać można osobę prawomocnie skazaną. Z kolei dr Ryszard Piotrowski, konstytucjonalista z Uniwersytetu Warszawskiego, twierdził, że choć prezydent mógł zastosować prawo łaski wobec Kamińskiego, to postępowanie karne powinno się nadal toczyć. Publicysta „Rzeczpospolitej” Marek Domagalski przypominał z kolei słowa karnisty prof. Stanisława Waltośa, z którego podręcznika „Proces karny” uczyło się wiele pokoleń prawników: „Prezydent może skorzystać z prawa łaski w każdej sprawie o przestępstwo i o wykroczenie, również jeszcze przed prawomocnym skazaniem, mimo że praktyka nie zna, jak na razie, wyjątków od ułaskawienia dopiero po uprawomocnieniu się wyroku skazującego; mówiąc inaczej, dopuszczalne jest ułaskawienie w postaci abolicji indywidualnej, skoro konstytucja nie czyni tu żadnych restrykcji”. Profesor Waltoś wyjaśniał, że wyjątków nie robiono ze względu na tradycję konstytucji przedwojennych. Nie przewidywały one abolicji indywidualnej, uznając, że byłaby ingerencją w wymiar sprawiedliwości.

Uchwałę SN z ubiegłego tygodnia odgrzała ten prawniczy spór. Profesor Waltoś, choć podtrzymał swoją opinię w rozmowie z TVN, zaznaczył, że w ostatniej swojej publikacji wyraził zdanie, iż abolicja indywidualna jest szkodliwa dla polskiego porządku prawnego. Jednak obecna polemika dotyczy także tego, czy Sąd Najwyższy miał prawo zabierać głos w sprawie.

Konstytucjonalistka prof. Genowefa Grabowska co do decyzji SN ma wątpliwości: – Zastanawia mnie, dlaczego Sąd Najwyższy w ogóle postanowił odpowiedzieć na pytanie prawne, które dotyczy zapisanych w konstytucji prerogatyw prezydenta. Chciałabym poznać podstawę prawną oraz uzasadnienie SN w tej sprawie – mówi. I wyjaśnia: – W sprawach sporów kompetencyjnych pomiędzy konstytucyjnymi organami państwa właściwy jest Trybunał Konstytucyjny. Taki charakter miał np. spór między premierem a prezydentem nazywany sporem o „krzesło w Brukseli”. I to nie Sąd Najwyższy się w tej sprawie wypowiadał, ale właśnie Trybunał Konstytucyjny w 2009 r.

Z kolei jeszcze w lutym tego roku prof. Andrzej Zoll na łamach „Rzeczpospolitej” mówił: „Nie ma organu, który mógłby

stwierdzić wadliwość decyzji prezydenta, wydaje się więc, że proces Kamińskiego jest już bezprzedmiotowy”.

Profesor Grabowska zwraca uwagę, że w konstytucji prawo łaski prezydenta, poza przypadkiem skazanych przez Trybunał Stanu, nie jest niczym ograniczone. – Głowa państwa może z niego korzystać wówczas, kiedy zostanie o to poproszona. Prawo łaski nie jest kodeksowym środkiem odwoławczym, ale nadzwyczajnym uprawnieniem głowy państwa, które nazywamy prerogatywą i żaden sąd (nawet Sąd Najwyższy) nie może go prezydentowi odbierać, i to niezależnie od tego, czy osoba obecnie sprawująca ten urząd nam się podoba, czy nie. Konstytucja nie wymaga, aby prezydent – przed zastosowaniem prawa łaski – musiał oczekiwać na wyczerpanie drogi sądowej. Owszem, w ramach dotychczasowej praktyki było tak, że zwracano się do niego wtedy, gdy ścieżka prawna została już wyczerpana, co jednak nie oznacza, że prezydent z prawa łaski nie może skorzystać w innym momencie – mówi prof. Grabowska.

Uchwałę SN skrytykowała Kancelaria Prezydenta. – Sąd Najwyższy nie może ingerować w sferę prerogatyw Prezydenta RP. Uchwała podjęta przez Sąd Najwyższy nie ma należytej podstawy prawnej – powiedział na konferencji prasowej Paweł Mucha, minister w Kancelarii Prezydenta. Prezydencki rzecznik Krzysztof Łapiński stwierdził z kolei, że Polska potrzebuje konstytucji, która będzie na tyle precyzyjna, żeby do interpretacji jej jednego zdania nie było potrzeba pracy kilku sędziów przez kilka miesięcy. – Rozbudowywanie przepisów konstytucji pod wpływem aktualnych sporów lub

na okoliczność hipotetycznych sporów konstytucyjnych nie ma sensu. Konstytucja nie może mieć przecież tysiąca artykułów – oponuje prof. Grabowska.

Decyzję SN krytykowali politycy PiS. – Sąd Najwyższy przekroczył swoje kompetencje i nadużył swoich uprawnień. Kompetencje do zajmowania się decyzjami prezydenta ma Trybunał Konstytucyjny, a nie Sąd Najwyższy – stwierdziła rzeczniczka PiS Beata Mazurek.

Triumfowali za to politycy Platformy. – Od samego początku PO podkreślała, że to działanie prezydenta stanowi złamanie konstytucji, wpisuje się w polityczny scenariusz działania PiS i – jak się okazało – PO w tym przypadku miała rację, co potwierdził dziś SN – mówił na specjalnie zwołanej konferencji poseł Borys Budka.

BOJKOT NIE POMOŻE

W sprawie głos zabrał sam Mariusz Kamiński. „Uważam, że w świetle obowiązujących przepisów prawa żaden sąd, w tym Sąd Najwyższy, nie ma uprawnień do oceny konstytucyjnych prerogatyw Prezydenta RP. Sąd Najwyższy wydając takie rozstrzygnięcie, sam stawia się ponad prawem” – napisał w oświadczeniu.

Profesor Kruszyński: – Mariusz Kamiński może uznać, że SN nie miał prawa wypowiadać się w kwestii prerogatywy prezydenta i bojkotować sprawy, ale będzie się ona toczyć przed sądem, nawet jeśli nie będzie się on stawiał na rozprawach – tłumaczy.

Pewne jest, że SN otworzył puszkę Pandory. Nasi rozmówcy nie mają wątpliwości, że czekają nas tygodnie polityczno-prawniczych przepychanek podobne do tych z czasów sporu wokół Trybunału Konstytucyjnego. © Wszelkie prawa zastrzeżone

Szarpanina i sięganie po broń w Sądzie Najwyższym

„Usunąć sędziów zbrodniarzy PRL” – taki transparent rozwinęła w ubiegłym tygodniu grupa kilkunastu osób, które pojawiły się w sali rozpraw Sądu Najwyższego, gdzie SN ogłosił uchwałę w sprawie prezydenckiego prawa łaski. Protestujący nie chcieli na wezwanie sądu zwinąć transparentów. Na polecenie sądu policjanci siłą próbowali wyprowadzić z sali protestujących, m.in. Adama Słomkę, działacza opozycji PRL, lidera KPN-Niezłomni. Doszło do szarpaniny z policją, podczas której młody mężczyzna najpierw zrzucił czapkę funkcjonariuszowi, a potem sięgnął po broń, którą ten miał w kaburze. Funkcjonariusz uderzył mężczyznę, a następnie wyprowadził go z sali. Policja zawiadzała zatrzymanego do aresztu. Sprawą zajmie się prokuratura.

Adam Słomka i KPN-Niezłomni od dawna organizują protesty, domagając się usunięcia z zawodu sędziów i prokuratorów, którzy w PRL osądzali działaczy opozycji demokratycznej, skazując ich na bezwzględne więzienie. Domagają się usunięcia z Sądu Najwyższego sędziego Mariana Bulińskiego, który w latach 80. skazywał opozycjonistów. **(anie)**



TYLKO U NAS!

WYWIAD Z EGZEKUTOREM AK, UCZESTNIKIEM AKCJI PRZECIWKO KOPPEMU

NAJNOWSZY NUMER JUŻ W SPRZEDAŻY!

HISTORIA
DO RZECZY



NAJCHĘTNIEJ CZYTANY
MIESIĘCZNIK HISTORYCZNY

Tomasz Konopka – **Badaniem szczątki Sikorskiego** / Piotr Zychowicz – **Co się stało z córką generała?** / Krzysztof Jasiewicz – **Sowiecki raj dla Żydów** / Eleanor Hancock – **Tajemnica nocy długich noży** / Sławomir Cenckiewicz – **Donosy Kiszczaka** / Marcin Bartnicki – **Polak, który chciał zabić Chruszczowa** / Mikołaj Iwanow – **Jak własowcy wyzwolili Pragę**

i wiele, wiele więcej

eprasa.pl f6d3097c4e

KAMILA BARANOWSKA: Co złego jest w obecnej konstytucji, że wymaga pilnej zmiany?

PAWEŁ MUCHA: Bezspornie przez 20 lat konstytucja zdezaktualizowała się w stosunku do zmieniającej się rzeczywistości. Konstytucja była przyjmowana w określonym kontekście politycznym, gdy nie byliśmy członkiem UE ani NATO, a po 20 latach funkcjonowania widzimy wiele jej niedostatków w różnych sferach.

Jakie to niedostatki?

Choćby kwestie związane z ustrojem politycznym – podział władz w ramach obecnego systemu budzi wątpliwości co do efektywności sprawowania władzy, bo pozostawia wiele kwestii niedookreślonych lub wątpliwych interpretacyjnie. Kompetencje prezydenta, takie jak prawo weta czy prawo inicjatywy ustawodawczej, z jednej strony są typowe dla systemu prezydenckiego, z drugiej jednak – za bieżące sprawowanie władzy wykonawczej odpowiada przede wszystkim rząd. Podobnie jest z kwestią zwierzchnictwa nad siłami zbrojnymi. Konstytucja stanowi, że najwyższym zwierzchnikiem sił zbrojnych jest prezydent, ale określa też, że w czasie pokoju prezydent wykonuje to zwierzchnictwo za pośrednictwem ministra obrony narodowej. Doprecyzowania wymagają kwestie gospodarczo-społeczne, samorządowcy mają uwagi dotyczące rozdziału samorządu terytorialnego od władzy centralnej. Jest wiele szczegółowych kwestii podnoszonych w nauce prawa konstytucyjnego co do potrzeby zmian konstytucji. Można by długo wymieniać. Poprzez debatę z obywatelami chcemy wskazać kierunki zmian, które gwarantowałyby trwałe ramy ustrojowe dla dobrego funkcjonowania Rzeczypospolitej na kolejne dziesięciolecia. Myślę, że jako społeczeństwo jesteśmy w stanie przygotować i uzgodnić odpowiedni akt prawny, który będzie po prostu lepszy, który będzie przystawał do obecnej rzeczywistości społecznej.

Sąd Najwyższy stwierdził właśnie, że prezydent Andrzej Duda nie miał prawa ułaskawić Mariusza Kamińskiego, bo ten nie został skazany prawomocnym wyrokiem. Jak to się ma do faktu, że prawo łaski jest zapisane w konstytucji jako uprawnienie prezydenta?

Prezydent RP Andrzej Duda podjął decyzję o zastosowaniu prawa łaski wobec Mariusza Kamińskiego i trzech innych osób, korzystając z konstytucyj-

nie przyznanej mu prerogatywy, której istotą są swoboda oceny przesłanek podejmowanej decyzji oraz suwerenność w ukształtowaniu jej treści. Artykuł 139 Konstytucji RP stanowi, że prezydent Rzeczypospolitej stosuje prawo łaski. Prawa łaski nie stosuje się do osób skazanych przez Trybunał Stanu. Tak więc w cytowanym artykule nie ma mowy o tym, czy osoba, wobec której prezydent stosuje prawo łaski, ma być skazana prawomocnym wyrokiem. Natomiast zgodnie z obowiązującym porządkiem prawnym prerogatywy prezydenckie nie podlegają kontroli, tak więc Sąd Najwyższy nie ma prawa badania aktów urzędowych prezydenta ani kompetencji do dokonywania wykładni pod pozorem nadzoru judykacyjnego.

Dlaczego prezydent, wychodząc z postulatem zmiany konstytucji, nie przedłożył od razu gotowego projektu albo chociaż konkretnych pomysłów zmian? Łatwiej byłoby wówczas prowadzić dyskusję.



Z Pawłem Muchą, sekretarzem stanu, zastępcą szefa Kancelarii Prezydenta, pełnomocnikiem ds. referendum w sprawie zmian w konstytucji rozmawia Kamila Baranowska

Pan prezydent, inicjując tę dyskusję, wyraźnie akcentował, że chodzi mu o rzeczywistą debatę między prezydentem Rzeczypospolitej a obywatelami, i wskazywał, że chodzi mu o to, by odwrócić mechanizm polegający na tym, iż to elity w zamkniętych gabinetach opracowują projekt konstytucji i dopiero na końcu przedstawiają go obywatelom. Co nie znaczy, że pan prezydent nie wskazywał obszarów, które wymagają dopracowania, mówił o elementach związanych z podziałem władzy, o uwarunkowaniach rozwoju społeczno-gospodarczego, o kwestii rozdziału konstytucji dotyczącego źródeł prawa. Przez najbliższy rok będziemy prowadzić konsultacje z Polakami, z przedstawicielami różnych grup społecznych, samorządowcami, związkowcami, będą spotkania we wszystkich regionach, pan prezydent będzie rozmawiał z rodakami w ramach swoich wizyt krajowych, członkowie kierownictwa kancelarii, ministrowie, ja jako pełnomocnik ds. referendum oraz doradcy

Polacy zdecydują o konstytucji

FOA KRZYSZTOF MAJ/FORM

prezydenta będą odbywać w tej sprawie spotkania w Polsce. Już mamy sygnały, że te rozmowy budzą zainteresowanie, napływają zgłoszenia od organizacji pozarządowych, ekspertów. Już w najbliższych tygodniach pan prezydent określi pewne kwestie organizacyjne – moment inauguracji debaty i tego, jak i do kiedy będzie ona prowadzona. Odzwierciedleniem tych wszystkich prac, spotkań i konsultacji będą pytania referendalne, które pozwolą ustalić konkretne kierunki zmian konstytucji.

To oznacza, że pytań w referendum będzie co najmniej kilkadziesiąt albo i więcej, skoro to one mają nakreślić konkretne kierunki zmian w dziedzinach, które reguluje konstytucja.

Nie będzie ich aż tylu. Nie chcemy robić szczegółowej ankiety, poddać pod rozstrzygnięcie obywateli chcemy te najbardziej fundamentalne sprawy.

Czego przykładowo mogłyby dotyczyć pytania?

Tych kwestii, które w toku konsultacji będą budzić zainteresowanie społeczeństwa. Takich, które dadzą podstawy do redakcji przyszłej konstytucji.

Także sprawy światopoglądowe?

Nie wykluczamy tego, jeśli takie postulaty pojawiają się podczas prowadzonych konsultacji społecznych.

Nie boi się pan, że przy obecnej temperaturze sporu politycznego merytoryczna debata konstytucyjna jest niemożliwa, a referendum zostanie sprowadzone do plebiscytu popularności rządu i opozycji.

Konstytucja 3 maja powstała w dużo gorętszym czasie, kiedy był to zryw narodu ratujący Rzeczpospolitą – w zamyśle twórców konstytucji – przed upadkiem. Tamta konstytucja swoją rolę spełniła, bo była źródłem odwoływania się do tego, jak Rzeczpospolita byłaby ukształtowana, gdyby nie nastąpiły zabory, i to była dyskusja, która wracała przez wiek XIX. Konstytucja marcowa powstawała tuż po I wojnie światowej w atmosferze bardzo gorących i głębokich podziałów politycznych – wtedy, kiedy kształtowały się ostatecznie granice państwa polskiego. Jestem przekonany, że ta dyskusja nie powinna być dyskusją polityczną, lecz merytoryczną, i że społeczeństwo narzuci jej ton. Przypomnę, że to Platforma organizowała kiedyś

kampanię pod hasłem „4 razy tak” i postulowała zmiany konstytucyjne, obiecując, że to pierwsza rzecz, jaką zrobi, gdy dojdzie do władzy. Nie wyobrażam sobie sytuacji, w której ci sami politycy opozycji nagle stwierdzą, że nie chcą brać udziału w dyskusji na ten temat.

Pierwsze reakcje polityków PiS wskazywały, że podchodzą sceptycznie do pomysłu referendum. Wydawali się zaskoczeni inicjatywą prezydenta.

Nie sądzę, by PiS podchodził do tego pomysłu sceptycznie, bo wielokrotnie prezes Jarosław Kaczyński i wielu innych polityków tej partii mówili o konieczności takiej debaty oraz zmian w konstytucji. Co więcej, mówi też o tym Paweł Kukiz, mówili o tym najważniejsi politycy Platformy, z Grzegorzem Schetyną i Donaldem Tuskiem na czele. A akurat pan prezydent ma najlepszy mandat do tego, by taką dyskusję zainicjować. I dobrze, że tak się stało.

Czy na którymś etapie konsultacji pan prezydent ma zamiar określić swoje stanowisko wobec np. modelu ustrojowego, do którego mu bliżej? Dla jego wyborców być może byłaby to cenna wiedza.

Pan prezydent chce, by to była przede wszystkim decyzja Polaków i by władza w Polsce była efektywna oraz sprawna. Faktem jest, że dzisiejszy system prowadzi do wielu napięć i nieporozumień. Pamiętamy doskonale sprzed kilku lat spór między rządem a prezydentem o prowadzenie polityki zagranicznej. Głos w tej sprawie musiał zabrać Trybunał Konstytucyjny.

Czy data 11 listopada jest przesądzona? Niektórzy twierdzą, że nie ma sensu upolityczniać święta narodowego.

Pan prezydent uważa, że trudno sobie wyobrazić lepszy prezent, który Polacy mogą sobie sami sprawić w stulecie odzyskania niepodległości, niż referendum, które określi trwałe ramy ustrojowe sprawnie funkcjonującego państwa na kolejne lata. Zdaniem prezydenta to idealne zwieńczenie obchodów stulecia niepodległości i dla mnie ta właśnie data pozostaje wytyczną do działania. To wydarzenie może stać się esencją tego, że mając różne poglądy, wszyscy troszczymy się jednak wspólnie o Polskę i dajemy temu wyraz, oddając głos w konsultacyjnym referendum konstytucyjnym. Trudno sobie wyobrazić większe święto demokracji. Nie widzę tu żadnej sprzeczności.



Marcin Makowski

Po sejmowym przemówieniu o kryzysie Europy Beata Szydło stała się internetową sensacją amerykańskiej prawnicy

Gdy premier – bezpośrednio po krwawym zamachu w Manchesterze – grzmiała z sejmowej mównicy o kryzysie europejskich elit, trudno było przewidzieć, że akurat to przemówienie zrobi furorę za oceanem. Z perspektywy polskiego wyborcy nie były to przecież słowa zaskakujące ani nowe, choć ostre. Od dłuższego czasu w tym samym tonie publicznie wypowiadają się prezes PiS Jarosław Kaczyński (wystarczy przypomnieć przemówienie o „no-go zones” w Szwecji) i minister Mariusz Błaszczak. Również oni od czasu do czasu mogli liczyć na uwagę amerykańskich prawicowych mediów, pojawiając się na popularnym portalu Breitbart, a szczególnie na jego brytyjskiej odsłonie – Breitbart London. Z kronikarskiego obowiązku wypada przypomnieć, że właśnie to medium, kierowane do niedawna przez Stephena Bannona, przyczyniło się do zmobilizowania amerykańskiej „milczącej większości” i przechyliło szalę zwycięstwa w wyborach prezydenckich na rzecz Donalda Trumpa. Wyłapywanie wszelkich wypowiedzi sceptycznych wobec relokacji imigrantów wynikało zatem nie tyle z bezinteresownej sympatii do Polski, ile z chęci podkreślenia, że polityka amerykańskiego prezydenta jest częścią składową większej antyestablishmentowej układanki.

„POLSKA PREMIER NISZCZY BRUKSELSKIE ELITY”

Co zatem sprawiło, że akurat wystąpienie Beaty Szydło, ze słynnym już fragmentem: „Dokąd zmierzasz, Europo? Podnieś się z kolan i obudź się z letargu, bo w przeciwnym razie codziennie będziesz opłakiwała swoje dzieci!”, stało się chwilową sensacją w Ameryce? Odpowiedź wydaje się prosta i dotyczy charakterystycznej dla współczesnego marketingu triady: timing, content, influencer. Czyli po pierwsze, Beata Szydło swoimi mocnymi słowami po zamachu, którego ofiarą padły głównie dzieci, dotknęła



FOT. RAFAŁ OLEKIEWICZ/REPORTER

Beata Szydło Superstar

aktualnego i gorącego tematu. Po drugie, jej wystąpienie dostępne było w wersji wideo, a dzięki 22-letniej węgierskiej studentce znającej nasz język zostało przetłumaczone na angielski, dzięki czemu zyskało kontekst globalny. Po trzecie zaś, znalazły się konkretne wpływowe osoby promujące wideo, co uruchomiło lawinę jego udostępnień i komentarzy, które po przekroczeniu masy krytycznej zwróciły uwagę mediów głównego nurtu. W taki sposób – oddolnie i przez media społecznościowe – rodzą się dzisiaj gwiazdy i tworzą antybohaterowie amerykańskiej (i nie tylko) prawicy. Przez chwilę Beata Szydło stała się po prostu jedną z takich osób. Na ile wpływową?

POPULARNOŚĆ, ALE JAKA?

„Sejmowe wystąpienie Beaty Szydło w obronie Antoniego Macierewicza stało się okazją do wygłoszenia najbardziej antyeuropejskiego i antyimigracyjnego przemówienia szefa polskiego rządu w historii” – napisał Paweł Wroński w „Gazecie Wyborczej”.

„Przypomina mi to lata 60., gdy władza jednej partii tworzyła paranoję, że jest jedynym gwarantem bezpieczeństwa Polaków” – skomentował słowa Beaty Szydło dyrektor Europejskiego Centrum Solidarności w Gdańsku Basil Kerski.

Media lewicowo-liberalne twierdziły wprost, że Polska, zarzucając zachodnim elitom bierność w obliczu terroryzmu, wypisuje się z Unii Europejskiej. Tymczasem wystarczyło odwrócić strony barykady i przeczytać komentarze zachodnich internautów, aby okazało się, że „lud” widzi tę sprawę zupełnie inaczej. „Kochamy ją” – mówiły dwie amerykańskie blogerki, oglądając wystąpienie Szydło. „Polska premier niszczy brukselskie elity i poprawność polityczną po ataku w Manchesterze” – brzmiał opis przemówienia na Twitterze. „Gdybyśmy tylko w Szwecji mieli takich polityków. W Europie Wschodniej kobiety potrafią mieć więcej odwagi od mężczyzn” – pisano wprost pod filmem na YouTube. Tym samym kolejny raz okazało się, że to, co „góra” uznała za skandal, „dół” określił jako przejaw zdrożnego rozsądku.

Nie trzeba było długo czekać, aby ową dychotomię w charakterystyczny dla siebie sposób omówiły „Wiadomości”, a za nimi na pełnej kontrze „Newsweek”. W TVP mogliśmy usłyszeć o hurraoptymistycznych reakcjach niemal całego świata na słowa polskiej premier, z kolei tygodnik Tomasz Lisa kpił z rozdmuchania sprawy, pisząc: „Okazuje się jednak, że cały świat to według »Wiadomości« dwie amerykańskie blogerki, kilka filmów z tłumaczeniem wrzuconych do sieci, trzy tweety i dwie strony internetowe”. Tymczasem jak zwykle, również w przypadku realnych zasięgów sejmowego przemówienia prawda jest nieco bardziej skomplikowana. Faktem jest, że słowami o „przebudzeniu Europy” zainteresowała się głównie populistyczna amerykańska alt-prawica. Największą popularnością wideo cieszyło się na portalu i profilu facebookowym Mila Yiannopoulou – kontrowersyjnego amerykańskiego performer i politycznego aktywisty. Temat ten podchwyciły również Breitbart oraz stosunkowo radykalny blog Gateway Pundit. „W rzeczywistości słowa Beaty Szydło odbiły się znacznym echem

antyestablishmentowej i funkcjonującej poza głównym nurtem. Tego w „Wiadomościach” nie usłyszeliśmy.

MILIONY ODBIORCÓW TO MAŁO?

Między bajki można natomiast włożyć twierdzenie „Newsweeka”, że przemówieniem zainteresowali się amerykański margines i kilku blogerów. Samo wideo umieszczone na profilu Mila Yiannopoulou obejrzało ponad 2,2 mln osób. Tweet na profilu „Voice of Europe”, od którego wszystko się zaczęło, uzyskał natomiast prawie 13 tys. udostępnień. Dzięki tej popularności wystąpienie Szydło zauważyły również amerykańskie media, a sprawę opisały m.in.: telewizja ABC News, radio Voice of America, agencja Associated Press, a w Wielkiej Brytanii „Sunday Express”. Wszystkie z milionowymi zasięgami i zagranicznymi odbiorcami.

Kwestią bezdyskusyjną jest wzrost popularności Polski wśród światowej prawicy. Sam byłem tego świadkiem, gdy umieściłem zdjęcie Beaty Szydło z mężem, która zmierzała na mszę prymicyjną syna. Z ciekawości oprócz polskiego napisu zrobiłem też angielski, głoszący, że Polska to być może ostatni kraj w Europie, w którym podobny obrazek jest jeszcze możliwy. Wystarczył jeden dzień, aby tweet dotarł do ponad 150 tys. osób, głównie amerykańskich i europejskich chrześcijan oraz otwarcie deklarujących swoje sympatie polityczne wyborców Donalda Trumpa. Wcześniej analogiczna sytuacja dotyczyła zwykłej fotografii z czystego i bezpiecznego warszawskiego metra, która umieszczona przez amerykańskiego blogera wzbudziła sensację.

„Gdzie jeszcze są takie oazy spokoju?” – pytano. Jeżeli rząd może coś z tą falą popularności zrobić, to na pewno ułatwić odbiorcom udostępnianie treści. Tłumaczyć na angielski przemówienia polskich polityków, dodawać do nich podpisy i publikować na własnych profilach w mediach społecznościowych. Tak w dzisiejszym świecie buduje się poparcie. Na inne – stając w ostrej kontrze do europejskich elit – nie można przecież liczyć.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone



Przemówienie premier Szydło zachwyliło amerykańskich blogerów.

Kadr z kanału YouTube Resistance Chicks FOT.YOUTUBE

w amerykańskich środowiskach republikańskich” – twierdzi jednak Matthew Tyrmand. „Słowa premier widziałem przez kilka dni dosłownie wszędzie w moich mediach społecznościowych, głównie dlatego, że idealnie wpisały się w nasze konserwatywne pojmowanie znaczenia suwerenności terytorialnej, ochrony granic oraz obrony przed terroryzmem” – zaznacza Tyrmand. Tym samym mowa Beaty Szydło w istocie zwróciła uwagę amerykańskiej prawicy, ale zwłaszcza



Piotr Semka

W Europie rysuje się nowy podział – na kraje, które wierzą, że przyjmowanie imigrantów nie ma związku z rosnącym zagrożeniem terrorystycznym, i państwa, które tę utopię odrzucają

Dokąd zmierzasz, Europo? Powstań z kolan i obudź się z letargu, bo w przeciwnym razie codziennie będziesz opłakiwała swoje dzieci” – te dwa zdania z sejmowego przemówienia Beaty Szydło były ostatnio najczęściej przytaczanym za granicą na Twitterze cytatem z polskiego polityka. Filmik z tłumaczeniem wystąpienia polskiej premier zdobył ogromną popularność m.in. w Stanach Zjednoczonych.

I cóż z tego, że krajowi krytycy tej wypowiedzi zastanawiali się, jaki miała ona związek z debatą na temat Antoniego Macierewicza, i pytali, czy polska premier koniecznie powinna pouczać Europę. Okazało się, że Beata Szydło precyzyjnie nazwała obawy dużej grupy ludzi z zachodniej Europy o skuteczność wojowników islamu i słabość elit krajów unijnych w obliczu nowego zagrożenia.

Dla sporej części Polaków polityka Francji czy Niemiec to nowa utopia. Nie jest absurdem ekonomicznym, ale utopią kulturową. To wiara dominującej części elit politycznych zachodnich krajów Unii, że terror nie winien wpływać na przyjmowanie ludzi z krajów islamskich. To niezachwiana wiara w zdolność przybyszy z krajów półkuli zachodniej do asymilacji zachodnich wartości laickiego liberalizmu. Coraz wyraźniej widać, że wiara w tę utopię lub brak tej wiary będzie dzielił kraje Unii.

A Polska, z jej politykami najwyraźniej artykułującymi ów sceptycyzm – chcąc nie chcąc – staje się punktem odniesienia dla tych, którzy taką utopię odrzucają.

Wyrazistość przemówienia Beaty Szydło w tym sporze wynika z prawa kontrastu. Po prostu w większości krajów zachodniej Europy porażka eksperymentu z asymilacją ludności muzułmańskiej jest tematem tabu lub domeną ugrupowań narodowych utrzymanych w rozmaitych



Nożyce się rozwierają

rodzajach „kordonu republikańskiego”. Była to wspólna inicjatywa partii mainstreamu z prawej i z lewej, która miała prowadzić do niezawierania z takimi partiami sojuszy wyborczych lub też grupowania głosów na rzecz utracania w wyborach kandydatów takich partii.

Przed jakimi wyborami staje w tej sytuacji Polska i jak jej postawa wpływać

będzie na nasze relacje z resztą państw Unii Europejskiej i NATO?

PREMIA ZA BRAK KOLONII

Być może o wszystkim zadecydowała geografia. Kraje Wschodu bezpośrednio zderzały się z wojującym islamem aż do XVIII w. Na Zachodzie o tej groźbie zapomniano dużo wcześniej. Francuzi



Europejczycy obawiają się zagrożenia ze strony imigrantów i słabości politycznych elit. Na zdjęciu: demonstranci we Włoszech z transparentami „Stop inwazji” FOT. SIMONA GRANATI/GETTYIMAGES

odepchnęli od siebie chorągwie proroka w VIII w., w epoce Karola Młota, Hiszpanie do końca XV w., a dla Brytyjczyków „kraj Maurów” zawsze były egzotyką. Polacy, Węgrzy i Austriacy żyli setki lat pod groźbą ataków muzułmanów, więc nigdy nie mieli specjalnej ochoty na masową imigrację wyznawców proroka do swoich krajów.

Tak naprawdę jedynym precedensem było pokojowe współżycie społeczności tatarskich w I Rzeczypospolitej, ale tu brak konfliktów wypływać mógł z niewielkiego, diasporycznego charakteru osadnictwa wyznawców islamu, na dodatek żyjących na terenach odległych geograficznie od państw islamskich, pod kontrolą władz państwowych, które nie pozwalały Tatarom zapominać, że żyją w kraju chrześcijańskim.

Drugi europejski precedens to casus w dużej mierze muzułmańskiej Bośni odbitej z rąk Turków przez Wiedeń w 1878 r., a potem rządzonej przez Jugosławię. Ten epizod przypadł na okres kryzysu wojującego islamu. W innych krajach Zachodu muzułmanów żyło niewiele i nigdzie nie stanowili dużych, zwartych społeczności. W takich krajach jak Kanada, USA i Austra-

lia w ramach polityki imigracyjnej preferowano Europejczyków i muzułmanów za zwyczaj nie wpuszczano. Wtedy panowało jeszcze dość zdroworozsądkowe – jak czas wykazał, trafne – przekonanie, że wyznawcy islamu źle się asymilują. W przypadku największych państw Zachodu – Francji i Wielkiej Brytanii – napływ imigrantów z krajów muzułmańskich nastąpił dopiero po rozpadzie ich mocarstw kolonialnych. W RFN widoczny był fenomen napływu gasterbeiterów z Turcji, którzy nie tylko nie wrócili do kraju, lecz także ściągali nad Ren i Szprewę rodziny znad Bosforu. Boom migracyjny skorzystał też na lewicowej psychodramie 1968 r., która wbiła elitom do głowy dogmat o imigracji jako odkupieniu win za wieki wykorzystywania Afryki i Azji. W przypadku USA koniec blokowania imigracji muzułmanów był efektem dość chwytliwego po doświadczeniach wojny i nazizmu przekonania, że nie wolno dzielić kultur na lepsze i gorsze.

Gdzieś w tle na Zachodzie swoją rolę grało pyszałkowskie, oświeceniowe przekonanie, że świeckie republiki będą w stanie zrobić z muzułmanów nowoczesnych, laickich Europejczyków.

Eksperyment ten się nie powiódł już w latach 70. we Francji, gdy okazało się, że drugie pokolenie przybyszy z Algierii tworzy getta na obrzeżach francuskich miast. Potem lata 90. zaczęły pokazywać renesans wojującego islamu wśród muzułmanów w Wielkiej Brytanii, Belgii i RFN.

UCZYĆ SIĘ NA CUDZYCH BŁĘDACH

Przeciwnicy niechęci państw Europy do imigrantów ze świata islamu uwielbiają kpić, że najbardziej krytyczni są ci, którzy nie mają wspólnot muzułmańskich u siebie. To tylko pozorny paradoks. Polacy, Węgrzy i Czesi uczą się na błędach państw Zachodu. Widzą porażkę asymilacji w Paryżu oraz Birmingham wyznawców islamu i właśnie z racji braku mniejszości islamskiej mogą dyskutować na ten temat znacznie swobodniej.

W środkowej Europie zauważono, że lewica nigdy nie przyznaje się do tego, iż zgoda na imigrację była błędem. Zawsze znajdzie argumenty za tezą, że konflikty z muzułmanami to wina zbyt małych środków na ich socjalizację i awans społeczny lub ukryty rasizm białej większości.

Doświadczenia z lat komunizmu wyczuliły Polaków i Węgrów na podobieństwa między ideologią komunizmu a propagandą multi-kulti. Ostatecznym dowodem w oczach środkowych Eu-

ropejczyków na ideologiczny i dogmatyczny charakter propagandy broniącej imigracji muzułmanów były reakcje obozu lewicowo-liberalnego na ostatnią falę zamachów.

Wezwania Emmanuela Macrona, by po prostu „nauczyć się żyć z zamachami” i – broń Boże! – nie wiązać ich z islamem, pokazały, że nawet instynkt samozachowawczy nie jest w stanie przebić zasad poprawności politycznej. Najbardziej głośnym przykładem stawiania wyżej „zasad otwartości społeczeństw” nad bezpieczeństwo były wypowiedzi współpracownicy „Gazety Wyborczej” Anny Pamuły, która prosto linijnie wskazała, że dobro płynące z przyjęcia 7 tys. imigrantów to wyższe dobro niż groźba śmierci 10 Polaków w ewentualnym zamachu. Zamrażarka komunizmu sprawiła, że multikulturowa ideologia pokolenia 1968 r. i poczucie winy Zachodu wobec Trzeciego Świata wbijane były do głowy Polakom czy Słowakom o dwie dekady krócej.

Co więcej, dopiero teraz okazuje się, jak głęboko w pamięć zbiorową zapadła walka z islamem z wieków XIV–XIX, kiedy religia Proroka walczyła o podbój Europy. A doświadczenie komunizmu pozwoliło zauważyć, jak działa dialektyka uzasadniania, że przybysze z krajów islamskich to „ubogacenie”, a nie problem.

To absolutne oderwanie od realiów w imię ideologii budzi na Wschodzie całkiem świeże wspomnienia z lat komunizmu. I jeszcze jedno skojarzenie, silne w krajach bloku sowieckiego. Tak jak w czasach komuny ludzie mający nadzieję na kariery w aparacie komunistycznym powtarzali z zapałem aktualne tezy propagandy, np. o wyższości kołchozów nad gospodarką indywidualną, tak teraz aspirujący do elit unijnych oraz partie takie jak Nowoczesna, dbające o poparcie liberalnych elit z Brukseli, powtarzają poprawnościowe tezy, że uchodźcy to żaden problem. Im bliżej uzależnienia od głosów zwykłych Polaków, a nie od brukselskich gremiów – tak jak np. w przypadku Grzegorza Schetyny – tym wyraźniejsze jest miotanie się między poprawnością a poglądami Polaków, którzy w 74 proc. uchodźców nie chcą (według sondażu opublikowanego przez CBOS w kwietniu 2017 r. – przyp. red.).

TRZY TYPY MIGANIA SIĘ

Wśród nowych państw Unii można wskazać na trzy typy reakcji na naciski, by przyjmować imigrantów.

Pierwszy typ postaw prezentują państwa bałtyckie, które próbują zwlekać z realizacją „kwot”, ale nie demonstrować swego zasadniczego sprzeciwu wobec polityki Brukseli. Nawet jednak uległość nie gwarantuje braku kłopotów. Jak podawała niedawno „Rzeczpospolita”, np. Litwa przyjęła dotychczas 309 uchodźców, ale już 230 z nich opuściło kraj, jak się podejrzewa, udając się do RFN. Urzędnicy brukselscy poinformowali wtedy Wilno, że w razie złapania zbiegów zostaną oni odesłani na koszt Wilna z powrotem i tak aż do skutku. Z kolei gdy delegacja z Estonii przybyła do Włoch, by przyrzeć się grupie imigrantów, którą przyszykowali dla nich Włosi, nawet z pobieżnej inspekcji wynikało, że ok. 40 proc. uchodźców ma zaniżony wiek, ich prawdziwych personaliów nie sposób ustalić i są to osoby sprawiające w obozach największe kłopoty, których Włosi chcieli się jak najszybciej pozbyć. Kolejna grupa to Czechy i Słowacja, które mimo tak socjalistycznych premierów jak Bohuslav Sobotka i Robert Fico są pod tak silną presją społeczeństw niechętnych imigracji, że uczestniczą we wspólnym froncie oporu wobec kwot grupy państw wszechradzich. I wreszcie dwaj najbardziej wyraziści liderzy sprzeciwu – Węgry i Polska. Tutaj politycy partii Fidesz i PiS wprost wskazują na homogeniczność narodową społeczeństw jako czynnik siły kraju. Ponadto w krajach tych swoboda dyskusji nie jest krępowana tak mocno jak gdzie

indziej przez autocenzurę politycznej poprawności.

Dobrym przykładem jest wspomniane już na wstępie sejmowe wystąpienie Beaty Szydło. Można podejrzewać, że polska szefowa rządu nie do końca zdawała sobie sprawę, jak obrazoburczo zabrzmiały jej słowa w wielu europejskich stolicach. A jednocześnie jak bardzo spodobały się licznym Europejczykom i Amerykanom zirytowanym polityką rządów niezdolnych do zatrzymania fal imigrantów z Afryki o wyraźnie ekonomicznym charakterze.

Kraje wszechradzkie w tym imadło nacisków Brukseli i oporu ich własnych obywateli stały się tak dalece zdeterminowane, że wybierają obecnie zdecydowaną „uchodźczą opcję zerową” wbrew apelom np. kościołów. Taka determinacja wynika m.in. ze świadomości, że ustawodawstwo europejskie daje uchodźcom wiele praw, które w szybkim tempie pomnażają ich liczbę, np. prawo do łączenia rodzin.

WOLNA STREFA EUROPY?

Do świadomości mieszkańców państw Europy Środkowej zaczyna dochodzić wreszcie nowy element sprawy. Coraz więcej turystów z USA czy Azji docenia kraje naszego regionu jako strefę niezagrażoną terrorem. I znów zyskujemy na zasadzie kontrastu. Fatalne zamachy w Paryżu i Nicei kosztowały francuską branżę turystyczną 750 mln euro tylko w pierwszym

półroczu tego roku. A wcześniej przybyły z krajów Dalekiego Wschodu i ze Stanów Zjednoczonych zostawiali we Francji sporą gotówkę. Jeszcze trzy lata temu turystyka generowała ok. 7 proc. francuskiego PKB.

Kolejny czynnik, który może zacząć dzielić Zachód i Wschód w razie przedłużania się fali zamachów, to reakcja biznesu, który w inwestycjach ceni spokój i przewidywalność. To, jak można taką stabilizację zakłócić, pokazali uchodźcy blokujący ruch tirów na trasie wiodącej do kanału La Manche w okolicy Calais.

Skoro Emmanuel Macron tak źle reagował na przeniesienie produkcji lodówek Whirlpool do Polski, to jak zareaguje, gdy kolejne firmy uznają, że spokój Czech i Węgier jest lepszy niż wybuchowa Francja.

Oznaczać to może silne nastroje chęci podzielenia się kłopotami uchodźców z „czyściami” ze wschodu widoczne w polityce Włoch i Austrii.

Na dodatek zachodnioeuropejska lewica nie odejdzie zbyt łatwo od swoich dogmatów, wedle których to nie imigranci wzmagają falę terroru, ale bezosobowi „żli ludzie”. Ta kampania wypierania ewidentnych faktów może trwać jeszcze długo. Zachodnie siły polityczne wskazujące na zagrożenie islamskie wciąż są stosunkowo słabe, blokowane „kordonami republikańskimi” i same kompromitują się związkami z Kremlm. Pytanie, jak szybko największe zachodnie partie establishmentowe w stylu niemieckiej CDU czy francuskiego ruchu En Marche! Macrona uznają twarde fakty i same ograniczą imigrację. Nawet jeśli to nastąpi, same długo jeszcze będą borykać się z dużymi wspólnotami własnych obywateli muzułmanów. Tych nie da się deportować ani pozbawić praw. A wielu z nich ma ambicje zaprowadzania islamskiego ładu w miejscach swego zamieszkania.

„Zapamiętajmy tę datę: 24 maja 2017 r. Beata Szydło wyprowadziła Polskę z Unii Europejskiej” – zagrzmiał niedawno komentator „Gazety Wyborczej”. To dobry przykład starego sposobu myślenia, w którym wymaga się wyboru – albo być „dobrym” członkiem Unii, albo iść w kierunku, który przez społeczeństwa Europy Środkowej uważany jest za drogę ku katastrofie.

Na naszych oczach Europę zaczyna dzielić nowa granica. Konsekwencji tego nowego stanu rzeczy nie sposób jeszcze przewidzieć.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone



Zachodnioeuropejska elita polityczna utrzymuje, że przyplwy imigrantów nie wzmacnia fali terroru FOT. JOEL GOODMAN/ZUMA/FORUM



Maryla Rodowicz i Czesław Niemen – Opole '75
FOT. MICHAŁ KUŁAKOWSKI/REPORTER

Mietek Fogg to był fajny gość



Krzysztof Masłoń

Krajowy Festiwal Piosenki Polskiej w Opolu odchodzi do lamusa. Pozostaną wspomnienia – tylko z rzadka miłe czy budujące

Czesława Niemena, najwybitniejszego powojennego piosenkarza polskiego, nobilitować miał ponoć... Włodzimierz Sokorski, przyznając mu za „Dziwny jest ten świat” swoją (Przewodniczącego Komitetu do spraw Radia i Telewizji) nagrodę na Krajowym Festiwalu Piosenki Polskiej w Opolu w roku 1967. Fakty, owszem, się zgadzają, zawodzi jednak interpretacja. Dla wcale nie małej części społeczeństwa Niemen jak był wyjcem, tak nim pozostał. A nagrodę tłumaczono zazdrością łysiego jak kolano Sokorskiego o bujne owłosienie artysty. To, że była to peruka, miało znaczenie drugorzędne.

Wyróżnienie dla niepokornego artysty przyszło za to w dobrym momencie, gdy wydobywał się z bigbitowego gorsetu, co zaowocować miało niebawem tak świet-

nyimi płytami jak „Enigmatic” i „Człowiek jam niewdzięczny”. A bigbitowcom pomógł najbardziej, już na pierwszym festiwalu – w 1963 r... – Stefan Kisielewski, bo to ten wybitny publicysta, a i kompozytor, przewodniczył jury podczas debiutu imprezy nad Odrą, która przez wiele lat miała budzić wielkie emocje, przykuwać do telewizorów milionową publiczność, by – czego świadkiem właśnie jesteśmy – za sprawą po części samych zainteresowanych piosenek oraz piosenkarzy, ale i przy wydatnej pomocy prezydenta miasta Opola, odejść w przeszłość, i to nawet bez uroczystego pogrzebu. Powiedziałbym: głupia sprawa, nie tylko przez asocjacje ze sławetnym dziełem następnego przewodniczącego jury festiwalu opolskiego, bo cenionego Kisiela, który miał się okazać wielbicielem Karin Stanek, już w roku 1964 zastąpił cieszący się znacznie mniejszym autorytetem, rewolucyjny poeta Stanisław Ryszard Dobrowolski.

ŻEBY POLSKA BYŁA POLSKĄ

Zadziwiające, że opolskie śpiewanie jak kończy w niesławie, tak i zaczynało się w atmosferze dalekiej od powszechnej akceptacji. Ówczesne gwiazdy stwierdziły, że nie będą rywalizować z – ich zdaniem – amatorami, tuż konferansjerki, bardzo

wtedy istotnej, też się na coś obrażyły, a przede wszystkim nie wierzone, że na czas stanie amfiteatr. Budowlancy jednak zdążyli, akustycy także, Irenę Dziedzic i Lucjana Kydryńskiego zastąpili Jacek Fedorowicz i Piotr Skrzynecki (tak, tak), a nieobecności Ireny Santor, Jerzego Połomskiego i Tadeusza Woźniakowskiego publiczność rozentuzjasmowana znakomitym występem Ewy Demarczyk, która w jednej chwili stała się pierwszą damą piosenki polskiej, nawet nie zauważyła.

Te pierwsze festiwale mają przynajmniej swoją legendę, późniejsze – które pamiętam znacznie lepiej, bo przynajmniej na kilku byłem osobiście, na niektórych jako dziennikarz, na innych jako, powiedzmy, fan muzyki nazywanej mocnym uderzeniem albo równie głupio, byle nie wymienić nazwy „rock’n’roll” – musiały sobie tę legendę dorabiać. Lub dorabiano im ją niczym gombrowiczowską gębę.

Tak np. utrzymywano, że na estradzie usytuowanej u stóp Wieży Piastowskiej raz do roku rozkwita twórczość... antykomunistyczna. No, powiedzmy nieco łagodniej – niecenzuralna. Tyle że niecenzuralne bywało wszystko. W 1977 r., na jednym z lepszych festiwali dekady, Andrzej Rosiewicz wyśpiewał nagrodę dla nie za mądrej, za to nieodparcie

■ śmiesznej w jego interpretacji piosenki „Bzz, bzz, bzz”. W skrócie polegała ona na tym, że Rosiewicz do spółki z Jackiem Niezychowskim biegali po estradzie, udając pszczoły i wygłaszając komentarze w rodzaju: „Oj, zleciało się narodu. Czy dla wszystkich starczy miodu? Nie bój się, jak będziesz królem... – ... to zbuduję drugie ule” itd., itp. Do transmisji festiwalowych Rosiewicz ze swoim bzykaniem się załapał, ale żeby w następnych miesiącach tę – a jakże! – nagrodzoną w Opolu piosenkę można było usłyszeć w radiu – że o telewizji nie wspomnę – o, co to, to nie.

Minęły trzy lata i oto niemal w przededniu Sierpnia '80, bo w czerwcu tegoż roku, w amfiteatrze nie tylko rozgościł się zespół Maanam z Korą, której „Boskie Buenos” zbulwersowało najmarniej pół Polski, lecz także wystąpił młody człowiek, bez opamiętania walący w struny gitary i wykrzykujący (niech będzie, że wyśpiewujący) tekst, który dziś pewnie nazwany byłby ekologicznym. Opowiadał on o smutnej doli wilków, był wolną przeróbką ballady Włodzimierza Wysockiego z oryginalnym tekstem wykonawcy utworu zatytułowanym „Obława”. Wyraźnie nadekspresyjny młodzian nagrodzony został przez akredytowanych na festiwalu żurnalistów nagrodą dziennikarzy. Nazywał się Jacek Kaczmarski.

Trzy miesiące później Lech Wałęsa wielkim długopisem z podobizną Jana Pawła II podpisał Porozumienia Sierpniowe, na razie jednak w przekazach z Opola Kaczmarski się nie zmieścił. Został wykaszowany, słowem – był, a jakoby nikogo nie było. Dopiero za rok wystąpi na festiwalu nad Odrą jako pełnoprawny uczestnik imprezy i porwie widzów „Epitafium dla Włodzimierza Wysockiego”, ale będzie to w ogóle wyjątkowy festiwal, na którym piosenkę „Żeby Polska była Polską” Jana Pietrzaka słuchać się będzie w postawie na baczność. A płakać będą wszyscy. Ten płacz tak utkwi w pamięci PRL-owskim decydom, że w roku następnym, czyli 1982, na organizację festiwalu nie wydadzą zgody. Ten jeden jedyny raz od roku 1963 najbardziej polskie z polskich miast – jak w euforii zdarzało się określać Opole mniej obeznanym z historią dziennikarzom – pozbawione zostanie swej wizytówki. Nastąpi bowiem czas piosenki i pieśni marszowej – stan wojenny.

TAKIE TANGO

Od reanimacji festiwalu, która nastąpiła w roku 1983, impreza poziomem

swoim zjeżdżała niczym po równi pochyłej. Do końca komuny ratowały ją jeszcze m.in. popisy szarpidrutów, bo to oni, nie kto inny, najbardziej zyskali na bojkocie telewizji w stanie wojennym. Rzecz miała się tak: czołówka wykonawców spod znaku lekkiej muzyki solidarnie przyłączyła się do swoich kolegów – aktorów, odmawiając zgody na nagrywane przez TVP koncerty. Nie było wtedy Polsatu, TVN ani innych konkurencyjnych nadawców, trwało więc wielkie milczenie. A że

A dla rockowych asów nadszedł czas zniw. Doprawdy, pusty śmiech ogarnia na myśl o rzekomych represjach, jakim poddawano ich za gesty świadczące o opozycyjnym stosunku do rzeczywistości socjalistycznej. Na przykład Maanam odmówił występu na jakiejś ZSMP-owskiej akademii na cześć sowieckich przyjaciół i – uwaga! – za karę przez parę miesięcy kolejny męczennik, Marek Niedźwiecki, zamiast puszczać w radiowej Trójce piosenki zespołu, grał jedynie dźwięki



Andrzej Rosiewicz i Jacek Niezychowski
– Opole '77 FOT. RYSZARD OKOŃSKI/PAP

natura nie znosi próżni, błyskawicznie w lukę wytworzoną na skutek szlachetnych porywów śpiewaków wpasowali się rockmani. Jasne, że nie Brygada Kryzys, ale już taki Lombard, że o Kombi (teraz przez dwa „i” na końcu nazwy), który dziś robi za piewców wolności, nie wspomnę. Jako pierwsza, że coś się dzieje nie halo, zorientowała się Maryla Rodowicz, dając popis w telewizji w rockowym przebraniu jako zespół Różowe Czuby. Jeśli dobrze pamiętam, to wówczas śpiewała wstrząsający utwór pt. „Dentysta sadysta”, a połowa widzów, może zresztą i więcej, nie zorientowała się, że za rockowymi ciuszkami i mocnym brzmieniem ukrywa się z towarzyszącymi jej muzykami pierwsza Madonna RWPG. A wykonawczyni naprawdę „Polskiej Madonny” chciała udowodnić niedowiarkom, że taki rock’n’roll à la stan wojenny to ona zrobi tak samo jak rzekomi buntownicy spod znaku Muzyki Młodej Generacji, tylko lepiej.

perkusji z „Takiego tanga”. Następnie na skutek „prośb” fanów wszystko wróciło do normy. „Drugiego dna” doszukiwano się również w produkcjach takich zespołów jak Lady Pank, choć – zdaje się – jeżeli ta grupa coś kontestowała, to raczej normy obyczajowe (ekshibicjonistyczny popis Jana Borysewicz na stadionie we Wrocławiu w 1986 r., nomen omen, w Dniu Dziecka).

NAJLEPSZE SĄ TE TEKSTY, KTÓRE NIE NIOSĄ TREŚCI

Gdy komuna upadła, wraz z nią obsunęły się w niebyt rozliczne festiwale, w których lubowano się w tamtej epoce. Swoistym memento tej festiwalomanii było widowisko Magdy Umer z 1992 r. – „Big Zbig Show” z rewelacyjnym wówczas Zbigniewem Zamachowskim wcielającym się w wykonawcę najrozmaitszych spędów śpiewaczych. Było to śmieszne nad wyraz, a Opole reprezentowała niezapomniana „Cała sala śpiewa z nami”,

w której rytm przez całe lata kołysała się festiwalowa widowia. Jednak „Big Zbig Show” wysyłał też czytelny sygnał, z czego w wolnej Polsce będziemy się śmiać. Okazało się, że z Kościoła, gdyż parodio- wano tam również festiwale pieśni ka- tolickich, rozmaite „Sacrosongi”, których w minionych latach także nie brakowało. Sam grałem w zespole przykościelnym, to coś na ten temat wiem. Z satyry jednak szybko zrobiła się szydera.

Obecne przepychanki wokół, skądinąd prymitywnego, teledysku z piosenką „Pismo” zespołu Dr Misio nie zmieniają faktu, że sama piosenka jest obrazobur- cza w stopniu niewielkim. Nie pasowała ona oczywiście do festiwalu opolskiego, ale też nie jest powodem, by wyrwać sobie włosy z głowy. Skoro Artur Orzech stwierdził, że nie będzie prowadził koncertu festiwalowego, skoro nie do- puszczono do występu kapeli Arkadiusza Jakubika, to jego problem. Co do mnie, słyszałem gorsze rzeczy niż objawione prawdy w rodzaju: „Najlepsze są te tek- sty, które nie niosą treści, / Najfajniejsze te melodie, które nie tworzą pieśni”.

Bardziej mnie swego czasu wnerwił kolejny piewca wolności, Muniek Stasz- czyk, rozliczający się w piosence „King” ze swoim czerwono-czarnym miastem rodzinnym, czyli Częstochową, w której przez okno wchodzi komisarz, a spod łóżka wychodzi biskup. A pamiętają państwo te słowa:

*Ksiądz proboszcz już się zbliża,
już puka do mych drzwi.
Pobiegne go przywitać,
w mym ręku wino drży.
O szczęście niepojęte,
ksiądz sam odwiedza mnie.
Sąsiedzie, wspomóż rentę,
bym mógł pokazać się.*
To oczywiście Paweł Kukiz.

JAK DŁUGO MOŻNA PIEPRZYĆ, PANOWIE

O starszym o dwa lata od opolskiego festiwalu sopockim mało kto dziś pamięta. Co roku urządzone są w Operze Leśnej koncerty nadużywające nazwy „festiwal”, na ogół bardzo, ale to bardzo słabe. Nie ma też jednak specjalnie po czym płakać. Starszym, którzy tęsknią za wszystkim, co działo się w latach ich młodości, radzę przypomnieć sobie takiego choćby Mu- slima Magomajewa czy innych piewców z Kraju Rad i od razu odechciewa się wszel- kich „reaktywacji”. Nie inaczej jest, dajmy na to, z Festiwalem Piosenki Żołnierskiej

w Kołobrzegu, choć obecnie prowadzona, głównie przez resort obrony, polityka pa- triotyczna może sprokurować nam niejed- ną jeszcze niespodziankę. Znów jednak... gdy wspomnieniami obejmę nie Kołobrzeg nawet, ale Opole właśnie, z festiwalowymi awansami pod adresem współczesnej piosenki partyzanckiej (słowo daję, nie ja to wymyśliłem), jakie odbyły się w roku 1968, ciemno się robi przed oczyma. Przy- pomnę bowiem tylko: „Przyjedź, mamo, na przysięgę” (Trubadurzy), „Niebieskooka” (Czerwone Gitary), „Za nasz spokojny dom” (Halina Frąckowiak) i – rzecz jasna – „Po ten kwiat czerwony” (No To Co). Festiwal wygrał ten ostatni utwór, jak najbardziej „po linii”, choć po cichu wyróżnienie pio- senki komentowano ze zdziwieniem, gdyż napisana została przez autorów pochodze- nia akurat takiego, które trzy miesiące po marcu 1968 r. było nie najlepiej widziane. A Bronisław Brok, autor tekstu, z prze- jęciem wyśpiewywanego przez Piotra Janczerskiego i jego zespół, zmarł siedem lat później w Tel Awiwie.

Po 1989 r. wegetację Krajowego Festiwalu Piosenki Polskiej w Opolu podtrzymywały jedynie koncerty okazjo- nalne, a to po śmierci Czesława Niemena, to znów w hołdzie Ewie Demarczyk, i rozmaite jubileusze, np. Seweryna Krajewskiego. Cała reszta była do bani, na czele z koszmarnymi Superjedynkami, które „super” były tylko dla konferan- sjerów. Właściwie co roku można było, za Wojciechem Młynarskim, powtarzać: „Jak długo można pieprzyć, panowie? Jak długo jeszcze”. Odgrzewanie szlagie- rów sprzed pół wieku, albo i starszych, stawało się nieznosne, a szacunkowi dla dawnych gwiazd nie towarzyszyły nowe, dobre piosenki. Zresztą, Bogiem a praw- dą, w obecnej skomplikowanej sytuacji i w obliczu gorszących wydarzeń towa- rzyszących kontynuacji Opola w takiej czy innej formie i wszystko jedno gdzie, zamiast artystycznego kalektwa i kolej- nych nocy żywych trupów, obejrzałbym chętnie – i to z ogromną przyjemnością – dwa duże koncerty dwóch Natalii: Sikory i Niemen. Tylko te panie w ostatnim ćwierćwieczu wzbily się na wyżyny tego, z czego – może niesłusznie – słynęły pierwsze festiwale opolskie: sztuki estra- dowej. Powtarzam: sztuki.

WŚRÓD PTAKÓW WIELKIE PORUSZENIE

O wartości zdecydowanej większości nowych polskich piosenek dotychczas

najmądrzej wypowiedział się niejaki Bolec, w filmie Olafa Lubaszenki „Chłopa- ki nie płaczą” grany przez Michała Milowicza. Otóż rodzime pienia, opolskie i wszelkie inne, zrecenzował następują- co: „Mietek Fogg to był równy gość. Daj mi tę jedną niedzielę, ostatnią niedzielę, a potem niech wali się świat! To jest prawdziwa piosenka o niespełnionej miłości. Wiesz, że przed wojną kolesie zamawiali sobie w knajpie tę melodię u orkiestry, a potem przy stoliku strzelali sobie w łeb. Chcieli, żeby to była ostatnia piosenka w ich życiu. Bo jest prawdziwa. Nie mówi o tym, że widziałem ptaka cień albo że wszystko się może zdarzyć!”.

A propos ptaków... Uparcie podtrzy- mywana jest wersja, jakoby piosenka „W żółtych płomieniach liści” z tekstem Agnieszki Osieckiej, śpiewana przez Łucję Prus i Skaldów, była refleksją autorki po wydarzeniach marca 1968 r. Świadczyć mają o tym frazy: „Wśród ptaków wielkie poruszenie, ci odlatują, ci zostają...” oraz: „I ja zęgnalam nieraz kogo, chociaż paliły wstydem skronie...”. Cenzor przegapić miał tę subtelny aluzję i przepuścić wysoce nieprawomyślne w owych czasach (nagroda dziennika- rzy na festiwalu opolskim w 1970 r.) przemyslenia. Zamiast powtarzać dyrdymały, spytałem kiedyś Łucję Prus, jak było naprawdę. Piosenkarka zrobiła wielkie oczy i powiedziała, że jeśli „ptaki” Osieckiej budziły jakieś skojarzenia, to wyłącznie erotyczne – „chłopcy z zespó- łu mieli powód do żartów”. I tak to się działo w owe lata.

Jeśli czegoś mi będzie brakowało po festiwalu, którego ostatnie oddechy właśnie do nas dobiegają, to tego, że małe są szanse, by gdziekolwiek usłyszeć takie słowa, jakie bodaj w 1984 r. wypo- wiedział mi w festiwalowej kawiarence Marek Piekarczyk, podówczas frontman metalowego zespołu TSA: „Przysiadł się do nas Zbigniew Wodecki. Powiedział, że nas słuchał i bardzo mu się to podobało, bo zupełnie inne od wszystkiego, opo- wiedział ze dwa dowcipy, pożegnał się, życząc sukcesów. Kurczę, Wodecki – ten artycha mówi to i komu? Obszczymurowi rockowemu z jakiejś Bochni. To nie do uwierzenia”.

Jeśli więc jest problem Opola, to ten tylko, że na tym festiwalu nie tylko takie rzeczy były możliwe, nie tylko takie rzeczy się działy. Szczególnie nad ranem w restauracji hotelu Opole lub Pod Pajakiem.



Maciej Pieczyński

Opozycja chce zdelegalizować ONR. Nawet część prawicy odnosi się z dystansem do narodowych radykałów. Tymczasem prywatnie działacze tej organizacji z reguły nie wpisują się już w stereotyp rodem z czarnego snu „antyfaszysty”

Gdy ONR maszerował niedawno ulicami Warszawy, jego przeciwnicy byli wyraźnie zdziwieni, że rzecznik tej organizacji, pokazując się w marynarce i okularach, zamiast we fleku i w glanach, przypomina raczej hipstera niż narodowca w jego kulturowym obrazie. Jednak jakiś czas temu Tomasz Kalinowski wywołał burzę, umieszczając na swoim facebookowym profilu zdjęcie Léona Degrelle’a, belgijskiego oficera SS, nazistowskiego kolaboranta. Fotografia zniknęła, ale nie z woli rzecznika ONR. Została usunięta przez administrację portalu. – Szanuję Degrelle’a za jego przedwojenną działalność antykomunistyczną w organizacji Christus Rex, natomiast jego późniejszą kolaborację z nazistami uważam za błąd polityczny, szczególnie że jego katolicyzm klóci się ze zbrodniczością nazizmu, a także z neopogańskimi i okultystycznymi podstawami tej ideologii – tłumaczy Tomasz Kalinowski. Podobnie jak wielu młodych działaczy narodowych rzecznik ONR jest „dzieckiem Marszu Niepodległości”. – Wybrałem się z kolegami z liceum na jeden z pierwszych marszów i bardzo nam się spodobała ta atmosfera, ten młodzieńczy zapał, bezkompromisowy, antysystemowy bunt, także przeciwko opluwaniu polskości za rządów Platformy – opowiada. Jest studentem politologii na Uniwersytecie Warszawskim, gdzie współtworzy Koło Myśli Politycznej im. Romana Dmowskiego, które w założeniu ma być intelektualną alternatywą dla popularnych na tej uczelni lewicowych grup dyskusyjnych. Prywatnie zaczytuje się w literaturze fantasy, szczególnie w powieściach Andrzeja Sapkowskiego. Jak przystało na narodowca, jest zapalonym kibicem piłkarskim. W licealnych czasach sam grał w piłkę, jako bramkarz w drużynie



KS Piaseczno. Dzisiaj z trybun dopinguje stołeczną Legię.

ŻOŁNIERZ OD DZIECKA

Patrycja Rowińska, rzeczniczka lubelskiej brygady ONR, ma 18 lat i jest tegoroczną maturzystką. Chce studiować prawo lub archiwistykę. Mimo młodego

wieku jest bardzo aktywna. Niezależnie od ONR działa w Związku Żołnierzy Narodowych Sił Zbrojnych, Towarzystwie Gimnastycznym „Sokół”, w Fundacji im. Kazimierza Wielkiego, a w zeszłym roku zasiadała w Młodzieżowej Radzie Miasta Lublina. – Moja rodzina od pokoleń związana jest z ideą narodową. Mój tata

z ludzką twarzą?



FOT. WJODIECH KRYWICKI / FOTOWA

przyjaźnił się z działaczami ONR, zaraził mnie ich poglądami i zachęcił, bym wstąpiła – przyznaje Patrycja. – Od początku imponowała mi dynamika tej organizacji. ONR bardzo szybko się rozwija i pod tym względem wyróżnia się na tle wszystkich organizacji narodowych. Podobają mi się ta młodzieńcza siła, radykalizm czy

nawet rewolucjonizm obozu. Zachęcająca jest też otwartość na nowych członków – mówi. Ma koleżanki i kolegów o różnych poglądach. Jest raczej wesołą i otwartą osobą, więc nie dostaje się jej za radykalne poglądy. – W szkole często opowiadałam o tym, czym się zajmuję i w co wierzę. Czasem udaje mi się też

kogoś przekonać do naszej idei, bo sama jestem zaprzeczeniem stereotypu o agresywnych, łysych narodowcach w glanach – śmieje się. I dodaje: – Bardzo wspiera mnie moja wychowawczyni. Niezależnie od moich poglądów jest dumna, że ma pod skrzydłami uczennicę, która nie tylko siedzi w Internecie czy przed

lustrzem, martwiąc się o swój wygląd, lecz także próbuje zrobić coś dla społeczności lokalnej.

– To był duży błąd, że daliśmy się lewicy zepchnąć do subkulturowej niszy i wpisać w stereotypowy obraz agresywnych, łysych facetów w glanach. Dzisiaj środowiska narodowe wyglądają zupełnie inaczej. Jesteśmy różnorodni, tak jak różnorodne jest społeczeństwo – mówi Tomasz Dorosz, zastępca kierownika głównego ONR. Sam zaczął działać siedem lat temu, gdy dopiero rodziła się legenda Marszu Niepodległości. Początkowo propagował patriotyzm wśród kibiców Floty Świnoujście, drużyny z jego rodzinnego miasta. Jego radykalizm narodził się w teorii, nie w praktyce. Kiedy koledzy szli grać w piłkę, on zaczytywał się w książkach, głównie historycznych. Interesowały go jednak także militaria. Jako nastolatek działał w grupie rekonstrukcji historycznej. – Może dziwnie zabrzmiało to w ustach narodowca, ale przebiegałem się za żołnierza specnazu – mówi. – Odtwarzaliśmy wojnę na Kaukazie. Na usprawiedliwienie mogę dodać, że czasem też odgrywałem rolę czeczeńskiego bojownika – śmieje się. Szeroko pojętą wojskowością interesował się jednak już o wiele wcześniej. Militarystyczne zapędy towarzyszą mu od dziecka, i to dosłownie. – Gdy miałem pięć lat, postanowiłem, że pójdę do wojska, ale nie gdy stanę się dorosły, tylko od zaraz. Uprosiłem mamę, żeby zabrała mnie do WKU – wspomina z uśmiechem. – Oficer ze śmiertelną powagą, oczywiście puszczając oko do mamy, obwieścił mi, że jestem już zapisany do wojska – dodaje.

PRZECIW KAPITALISTOM I ISLAMISTOM

Rekonstrukcją historyczną zajmowała się też Adrianna Gąsiorek, koordynatorka Brygady Górnośląskiej ONR. W Bielskiej Drużynie Najemnej odtwarzała czasy dawnych Słowian. – Sama szłam sobie wczesnośredniowieczne stroje. Wyjazdy na festiwale historyczne do Wolina czy Ogrodzieńca to były miłe doświadczenia – opowiada. Wśród rekonstruktorów poznała ludzi ze środowisk narodowych. Na swój pierwszy Marsz Niepodległości wybrała się akurat wtedy, kiedy było najostrożniej, a przekazem dnia były „płonące wozy TVN”. – Znalazłam się w środku tych wydarzeń, zobaczyłam, że wygląda to zupełnie inaczej, niż pokazują media w zmanipulowanym obrazie. Wtedy poznałam ludzi z ONR. Przekonała mnie ich

bezkompromisowość. Z perspektywy lat widzę, że ONR, w odróżnieniu od Ruchu Narodowego, nie idzie na żadne układy, nie kalkuluje, co się organizacji opłaca, a co nie, żeby dostać się do Sejmu – mówi Adrianna. – Poza tym jest świetna atmosfera. ONR jest jak rodzina, wszyscy mogą na sobie polegać – dodaje. Adrianna jest z wykształcenia polonistką. Pracowała w bibliotece. Obecnie zajmuje się działalnością edytorską. Po godzinach lubi chodzić do teatru. Osławionej „Kłątwy” obejrzeć jednak by nie chciała. – Bardzo dobrze, że koledzy z Warszawy blokowali ten spektakl. Wolę jednak „Kłątwe” w oryginale Wyspiańskiego – dodaje. Jak mówi, wśród kolegów i koleżanek ze studiów jej działalność polityczna nie cieszyła się szczególną sympatią. – Słyszałam opinie, że tacy jak ja w ogóle nie powinni studiować, a już na pewno nie powinni uczyć dzieci. Co jednak ciekawe,

Chcę żyć w normalnym świecie, w którym wciąż królują wartości takie jak prawda, dobro i piękno – mówi Justyna Helcyk

rzadko kiedy mówiono mi to wprost, najczęściej dowiadywałam się z drugiej ręki. Brakowało im zwykłej ludzkiej odwagi, żeby powiedzieć mi w oczy, co myślą o moich poglądach. Tak, zwykłej odwagi, bo strachu raczej nie wzbudzałam, nie chodziłam w glanach ani we fleku – śmieje się Adrianna.

Robert Bąkiewicz, koordynator Brygady Mazowieckiej, patriotyzm wyniósł z domu rodzinnego. – Byłem wychowywany w przywiązaniu do tradycji, katolicyzmu, w kulcie bohaterów narodowych – mówi. – Mój ojciec działał w Solidarności za komuny, w domu pojawiały się nielegalne gazety z drugiego obiegu, czuć było atmosferę walki o niepodległość. Później, w latach 90., zaczęło się normalne codzienne życie. Mniej już interesowałem się polityką, dałem się na jakiś czas uwieść hasłom głoszonym przez demoliberalizm i po prostu żyłem – opowiada. Prowadził wówczas własną firmę budowlaną. – Prowadzenie biznesu otworzyło mi oczy na pewne rzeczy. Od środka zobaczyłem, jak w państwie o ułomnym prawodawstwie, które nie potrafi ochronić własnego

obywatela, nastawiony wyłącznie na zysk kapitalizm degeneruje i rozsada związki społeczne, jak bardzo demoralizujący jest ten wyścig szczurów – mówi. Przełom w jego światopoglądzie nastąpił jednak nie pod wpływem refleksji nad gospodarką, lecz w momencie konfrontacji z – jak to określa – marksizmem kulturowym. – Pewnego dnia córka opowiedziała mi o tym, jak próbował ją zindoktrynować szkolny psycholog. Pouczył ją, że rodzice nie powinni decydować o losie dziecka, i poinstruował, jak ma na mnie donosić. Uznałem to za zbyt daleko idącą ingerencję w sprawy rodziny, szczególnie że ja bardzo kocham swoje dzieci – mówi Robert Bąkiewicz. Potwierdzenie tej deklaracji można usłyszeć, pytając go o to, czym obecnie się zajmuje. – Przede wszystkim własną rodziną, której, jak tylko mogę, poświęcam jak najwięcej czasu – brzmi pierwsza odpowiedź.

Justyna Helcyk z Brygady Dolnośląskiej ONR była atakowana przez „Gazetę Wyborczą” za to, że w swoim przemówieniu podczas manifestacji użyła określenia „islamskie ścierwa”. – To tylko dwa słowa z ponad 20-minutowego wystąpienia, które oparte było na faktach ze świata wojującego islamu i statystykach przestępstw, m.in. morderstw i gwałtów, do jakich dochodzi w Europie z rąk przybyszów. To mocne określenie, ale zasadne. Jak bowiem nazwać ludzi, którzy w bestialski sposób mordują tysiące chrześcijan na Bliskim Wschodzie i w Afryce Północnej? Nie tylko zresztą chrześcijanie giną – tłumaczy się Justyna Helcyk. Jak zapewnia, choć od najmłodszych lat towarzyszyły jej wartości katolickie i narodowe, bezpośrednią inspiracją dla działalności w tym duchu była dla niej opowieść babci o kapelanie niezłomnym, ks. Zielińskim. – Dzisiaj świat pognał do przodu, ale chociaż na polskich ulicach nie widać czołgów, a żołnierze wyklęci nie muszą toczyć partyzanckiej walki, to nasze pokolenie ma również obowiązki. Zarówno wobec naszych poprzedników, jak i wobec naszych dzieci – mówi Justyna Helcyk. – Chcę założyć rodzinę, za kilka lat pójść z córeczką spokojnie na spacer, bez obawy wsiąść do pociągu, którego nikt nie wysadzi, udać się do kościoła na mszę świętą i z niej wrócić. Chcę żyć w normalnym świecie, w którym wciąż królują wartości takie jak prawda, dobro i piękno. Żyć życiem, w którym ludzie widzą coś więcej niż tylko zaspokojenie głodu i popędu.

© Wszelkie prawa zastrzeżone



Z podróżnikiem Markiem Kamińskim
rozmawia *Jakub Kowalski*

Polska mnie obchodzi



JAKUB KOWALSKI: Po trawersie Grenlandii, zdobyciu obu biegunów i przejściu przez Pustynię Gibsona zdecydował się pan na marsz 4 tys. km z Kaliningradu do Santiago de Compostela i grobu św. Jakuba. Podróżnik stał się pielgrzymem?

MARK KAMIŃSKI: Bez wątpienia była to pielgrzymka, choć długo broniłem się przed tym słowem, bo uważałem je za zarezerwowane dla czysto religijnych podróży. Miałem inną koncepcję wyprawy, ale z czasem zyskała ona wymiar poszukiwania Boga i zbliżania się do Niego. Okazało się, że Camino, jak nazywa się szlak, nie pierwszy i nie ostatni raz skorygowało moje plany. Ruszałem z myślą, że wiem o nim wszystko, bo przeczytałem sto książek po angielsku, francusku i hiszpańsku; rozmawiałem z ludźmi; byłem tam już wcześniej na wycieczce i nic nie mogło mnie zaskoczyć. Założyłem też, że cała

droga – tak jak w „Pielgrzymie” Paula Coelha – będzie jedną wielką medytacją, pełną spotkań z ludźmi i feerią zdarzeń. Okazało się, że są: trud, ból, zmęczenie i wątplenie. Nie przewidziałem choćby tego, że będę szedł po asfalcie i uszkodzę ścięgno Achillesa. To droga rządziła, nie ja. Niesamowicie, że wszystko, co zaplanowałem, nie miało znaczenia.

Chodziło więc o Boga czy człowieka? „Trzeci biegun”, jak ochrzcił pan wyprawę, oznaczał zwrócenie się do swojego wnętrza.

Człowieka i Boga zarazem, bo doszedłem do wniosku, że skoro zostaliśmy stworzeni na Jego obraz i podobieństwo, to cząstka Boga ukryta jest w nas. A więc odkrywając siebie, swoje prawdziwe „ja”, zbliżamy się do Boga. Po drodze pewna kobieta zapytała mnie: Po co idziesz?

Nie wiedziałem, co odpowiedzieć. A ona odparła, że idę w poszukiwaniu lepszego Marka, który czeka w Santiago, gdzie weźmie mnie pod rękę i dalej pójdziemy razem. I już zawsze będzie mi pomagał! Uczepiłem się tego zdania, znalazłem w nim sens. Zwłaszcza gdy byłem pełen wątpliwości, że nie dojdę, bo zdrowie odmówi mi posłuszeństwa.

Czym pielgrzymka do Santiago de Compostela różniła się od innych wypraw?

Wcześniej były natura i trasa nieoczywista, pozaziemska, wręcz kosmiczna. Tutaj przeciwieństwo: wszystko niby podane na tacy, jakby zwyczajnie, ale też niezwykczajnie, bo jeszcze bardziej kosmicznie! To były ewenement i potęgą tej drogi.

Czy jednak spotkanie z Bogiem nie dotyczy każdej wyprawy, która zawsze jest pielgrzymką?

Myślę, że tak. Na początku moje podróżowanie było jednak nieuświadomione. Pierwsze wyprawy do Maroka i Meksyku ciągnęły mnie, bo chciałem poznać świat i czegoś doznać. Nie było w tym duchowości. Wtedy jeszcze nie wiedziałem, co robić ze sobą. Rozczarowały mnie filozofia i dostępne modele życia, ale z czasem bycie w drodze stało się moją drogą i nadało wszystkiemu sens. Sposób podróżowania zmienił się jednak dopiero od Grenlandii i bieguna północnego, gdzie niby cel był ważny, ale ewidentnie liczyło się zbliżanie do Boga. Istniało wówczas zagrożenie życia i instynktownie jedyne oparcie znajdowałem w modlitwie. Nie pomagały żadne inne argumenty, tylko modlitwa! Byłem bezbronny, więc oddałem się w ręce Boga. Wiedziałem, że tylko dzięki Niemu mam możliwość przetrwać. Po powrocie bardzo łatwo jednak zapominałem o tym, bo ludzie mówili, że jestem dzielny i świetny, więc to sobie przypisywałem sukcesy. Oczywiście byłem pokorny i wspominałem też o modlitwie, ale niejako z obowiązku.

Przemiana duchowa dokonuje się w samotności, ale pan po drodze do Santiago de Compostela kręcił film, pisał dziennik i korzystał z Facebooka. Czy doraźność nie ciągnęła w dół, choć chciałoby się do nieba?

Zastanawiam się, co by było, gdybym przeszedł całą drogę w ciszy, która służy poznawaniu Boga. Czy bardziej zbliżyłbym się do Niego? Nie wiem. Co prawda rozmowy z Jankiem Czarlewskim, reżyserem filmu „Pielgrzym”, odbywały się zamiast Różańców, ale z kolei jego kamera

■ czasami otwierała spotkanych ludzi. Relacje na Facebooku były z kolei inną formą pisania, bo podczas wypraw lubię to robić – taka rekapitulacja resetuje mózg i pełni terapeutyczną funkcję. I nie ma dużej różnicy między tym, czy piszę w zeszytach czy Internecie. Więcej: w tym drugim przypadku uświadamiam sobie, co robię, bo ludzie komentują i kibicują, co dodaje energii. I w razie wątpliwości wiedziałem, że podróż czemuś służy. Dobrze pamiętam zdarzenie z Grenlandii, gdzie myślałem, że umieram z zimna i przemęczenia. Rozbiliśmy namiot z Wojtkiem Moskałem, który powiedział, że teraz czas na zdjęcia. Ja prawie umieram, a on chce zdjęcia robić?! Pomyślałem jednak, że kiedyś będę oglądać te fotografie, co dodało mi sił. To rodzaj terapii, rytuał przetrwania. Na „Trzecim biegunie” zdjęcia również pomagały. Gdy było ciężko, pocieszałem się, że mam przywilej uchwycić w kadrze coś niezwykłego. Zresztą czasu i tak miałem bardzo dużo: 99 proc. stanowiły modlitwa i myślenie o Bogu, a tylko 1 proc. był poświęcony na inne rzeczy. Jak u Benedykta: ora et labora, bo pisanie i nagrywanie to w tym przypadku także rodzaj pracy. I nie mam poczucia, że robiłem coś sztucznego, jakiś show. Nigdy technologia nie przeważała nad istotą ani mnie nie rozpraszała.

Książkę o Camino dedykuje pan dzieciom. Tymczasem nie było pana w domu przez cztery miesiące. Miał pan zdążyć na rozdanie świadectw, co się nie udało. Czy to był problem?

Żona i dzieci nie chcieli, żebym szedł. Czy powinienem? Byłem świadomy, że miejsce ojca jest w domu, dlatego do końca miałem wątpliwości. Jednakże wierzyłem w intuicję i podążanie za czymś większym niż ja sam. Po drodze często myślałem, że nie ma mnie z rodziną. Były też jednak chwile radości, kiedy z francuskiego Saint Jean Pierre de Port wysłałem Kai Iwa (jest zodiakalnym lwem) i tygrysa Poli (pisała do mnie: „Tygrysku”), a teraz codziennie widzę te zabawki na ich łózkach. Długo myślałem, że Camino będzie dla nich czymś obcym, ale potem rozwiązałem te wątpliwości, bo chcąc dzieciom wynagrodzić tamto rozstanie, zabrałem je potem w trzy podróże: na Sri Lankę, do Japonii i kamperem do Maroka. Wspaniały czas, który bez Camino pewnie nie byłby możliwy! Przejechałismy zresztą szlak św. Jakuba: byliśmy na mszy dla pielgrzymów w Santiago de Compostela, by wieczorem dotrzeć na procesję adoracji Matki Boskiej Fatimskiej. To było jak cud! Czy wydarzyłby się, gdybym

wcześniej został w domu? Czy nie czułbym zgorzknienia, że chciałem wyruszyć w podróż, ale poświęciłem się dla dzieci? I może czas dla nich byłby wtedy letni, a nie gorący? Stąd pytanie: Czy podążać za poprawnością i schematem, że miejsce ojca jest w domu? Czasami trzeba pójść za głosem serca, nawet wbrew innym. I lepiej odejść z wątpliwościami, niż trwać z nimi.

Po drodze szedł pan przez Gdańsk i nie nocował w domu, żeby z tęsknoty nie zostać...

Wiele razy chciałem zrezygnować z wyprawy, choć szykowaliśmy ją trzy lata. Tuż przed Camino poszedłem szlakiem Jezusa z Nazaretu do Kafarnaum: było ciężko i w tamtym błocie pomyślałem, że nie przejdę 4 tys. km. Wpadłem wtedy na pomysł sztafety, że pokonam 100 km, a potem przez Facebooka znajdziemy chętnych i każdy przejdzie tyle samo. Ja zostanę w domu, wyprawa się odbędzie

Gdy wychodziłem z Kaliningradu, wjechały tam rakiety Iskander. Nie chcę, żebyśmy kłócili się o PO albo PiS, bo prawdziwe zagrożenie kryje się gdzie indziej

i wszystko super! Żyłem tym przez tydzień, bo chciałem się wymigać... Podzieliłem się wątpliwościami z zaprzyjaźnionym ks. Jerzym i liczyłem, że zgodzi się, abym został w domu, bo tam jest moje miejsce. Wcześniej od przyjaciół księży słyszałem, że bym nie szukał Boga gdzieś daleko, bo on jest tuż obok, a św. Jakub da sobie radę beze mnie... Byłem pewien, że znów usłyszę to samo. Padło jednak coś odwrotnego: ks. Jerzy przywołał słowa Rabindranatha Tagore’a, że nadszedł czas, aby porzucić dom i wyruszyć na poszukiwanie Boga. Potraktowałem to jako znak i powtarzałem sobie jak mantrę, że nadszedł czas... Ciekawe, że nie znalazłem potem tych słów, choć kupiłem kilka zbiorów poezji Tagore’a.

Początkiem podróży był Kaliningrad. Zbudował pan analogię, że to Biegun Rozumu z grobem Immanuela Kanta, pan podąża zaś do Bieguna Wiary. Mnie zrodziła się inna analogia: nie rozum ani wiara, lecz zło i dobro.

Rzeczywiście! Kaliningrad jest o tyle kwintesencją rozumu, bo widać tam jego ewolucję. Najpierw był Königsberg

z Kantem, gdzie Prusacy dali przykład racjonalnego myślenia. A potem rozum legł w gruzach na własne życzenie, bo to Prusy najbardziej parły do wojny. I teraz z powodów rozumowych Kaliningrad jest tak zmilitaryzowany: stamtąd rakiety docieją do Europy o kilka minut szybciej niż z samej Rosji. Wiadomo, że czysty rozum może być również czystym złem, co najbardziej widać w Auschwitz, gdzie komory gazowe stanowiły doskonałą pragmatykę zabijania. Kiedy studiowałem filozofię, fizykę i matematykę, wydawało mi się, że rozum jest kluczem do rzeczywistości. Myślałem, że im więcej poznam, tym więcej będę wiedział. Po wszystkich wyprawach doceniam jednak wagę rozumu, choć jest on tylko narzędziem i iluzję stanowi przekonanie, że może ogarnąć całą rzeczywistość.

W książce brakuje opisu celu, czyli Santiago de Compostela. Czy to dlatego, że sama droga była ważniejsza? Czy – zgodnie z tradycją – spalił pan tam strój pątnika, żeby urodzić się na nowo?

Spaliłem. Nie zdążyłem tego jednak opisać, więc może zrobię drugie wydanie, bo sens Camino będzie stałe do mnie wracał i rzecz na pewno wymaga rozwinięcia. Myślę też o zupełnie nowej rzeczy „Ja, pielgrzym”, na wzór „Pielgrzymy” Coehla, połączeniu fikcji i rzeczywistości, gdzie dodam inne wątki, których nie umieściłem w „Trzecim biegunie”, i ludzi, których nie mogłem lub nie chciałem opisać.

Celem tej pielgrzymki była też organizacja przez pańską fundację obozów zdobywców biegów dla dzieci i młodzieży. Co to takiego?

To, co mogę robić najlepszego – tak jak w przypadku Jaśka Meli, który dzięki wspólnym marszom na biegun odkrył samego siebie – to dawać dzieciom wędkę. Dużo jest dzisiaj fundacji zbierających na rybę, której często potrzeba, gdy człowiek nie ma co jeść. Warto też jednak uzupełnić deficyt na rynku wędek i w nauce sztuki łowienia. Robię więc obozy, gdzie powtarzamy doświadczenie, które miał Jasiak – dzieci z domów dziecka, z biednych lub rozbitych rodzin uczymy poczucia własnej wartości i motywacji. Pokazujemy, że mają prawo do marzeń, i dajemy narzędzia, jak je realizować.

W dzienniku z podróży napisał pan, że gdy we francuskiej telewizji pokazano wiadomość o wyborach prezydenckich w Polsce, nie wzbudziło to w panu żadnego zainteresowania...

Nie mogłem zagłosować po drodze, bo nie wziąłem zaświadczenia. Pomyślałem,

że skoro nie mam wpływu na wynik, to niech będzie, co będzie. Nieraz już przeżywałem wybory, ale wtedy zupełnie tym nie żyłem. Zobaczyłem też całe zakłamanie wyborów i biznesu, bo wszędzie poziom marketingu jest taki sam i wcale nie chodzi o prawdę. Wtedy pokazywano też przepychy w Cannes, sztuczne targowisko próżności. Miałem poczucie, że wielu ludzi wolałoby jednak chodzić po czerwonym dywanie, niż być w drodze z takim obdarstwem jak ja, ale czułem się z tym dobrze, byłem zanurzony w innej rzeczywistości.

A na co dzień obchodzi pana polityka?

Kiedyś byłem zaangażowany: na kamerze Solidarności zarejestrowano, gdy rzucam kamieniem w szpalera ZOMO, bo brałem udział w demonstracjach i zmianach lat 80. Teraz polityka nie jest moją bajką. Mam swoje sympatie, ale też wrażenie, że wolę trzymać się z daleka od wszelkich opcji. Widzę, że są rzeczy ważniejsze. Oczywiście mój głos się liczy i staram się brać udział w wyborach, bo nie można do końca odwracać się od polityki, ale wybieram inne życie.

A zainteresowanie Polską?

Żyję jej sprawami, nie tylko ideami. Z tym że dla mnie samo życie jest Polską. Wszystkie moje działania – wierzę, że dobre i sensowne – to właśnie Polska, a nie opowiedzenie się po jednej lub drugiej stronie w polityce. Nie odcinam się od teraźniejszości, choć najbardziej interesuje mnie Polska w perspektywie. I, trochę jak we „Władcy pierścieni”, docierają do mnie sygnały z pogranicza. Niedawno w Turcji ludzie mówili o III wojnie światowej, jakby miała zacząć się jutro. A gdy wychodziłem z Kaliningradu, wjechały tam rakiety Iskander i przejmuję się tym, że mogą uderzyć w Polskę. Nie chcę więc, żebyśmy kłócili się o PO albo PiS, bo prawdziwe zagrożenie kryje się gdzieś indziej. Gdy Putin odpali rakiety, Unia i NATO pozostaną biernie jak nasi sojusznicy w 1939 r. Bo dlaczego sytuacja ma być diametralnie różna? Na świecie najważniejszy jest interes bieżący. I nie ma zmiłuj! Nie jestem fatalistą, wprost przeciwnie, lecz obraz naszego świata jest przerażający i nieludzki.

Czy pana życie po powrocie z wyprawy ulega zmianie?

Kiedy człowiek zazna innego życia, dostrzega sztuczność tego codziennego i nie wraca do niego całkowicie. Dlatego moim ideałem jest, żeby odciąć się od wszelkich

informacji. Nie wszystkie są nieważne, ale 99 proc. z nich. I żeby uzyskać ten 1 proc., na portalach włączają się filmy i reklamy, ja muszę się skupić, żeby to zobaczyć. To nakręcanie maszyny biznesowej! Po wyprawach wiem, że dużo lepiej mi się żyje, gdy tego nie ma. Siłą rzeczy w samochodzie słyszę radio, czasem coś zobaczę, więc do końca nigdy się nie odetnę. Staram się jednak czytać, co chcę, i oglądać, co chcę. Zresztą impuls przyszedł z Kościoła, gdzie usłyszałem, że dzisiaj post nie oznacza tylko mniej jedzenia, lecz także odcięcie od mediów. Ciekawe, że dzisiaj ludzie dużą wagę przywiązują do jedzenia i tak samo powinno być z informacjami. Nie można pozwalać, żeby wszystko wkraczało do głowy, i trzeba to selekcjonować. Media próbują całkowicie zawładnąć naszym czasem, choć to jedyny bastion, w którym możemy pobyc z Panem Bogiem.

To dlatego po szlaku Camino wybrał się pan jeszcze na górę Synaj?

To była pointa i dopełnienie tamtej wyprawy. Myślałem, żeby zanieść tam kamienne tablice z przykazaniami, które poświęcił papież Franciszek. Synaj jest niebezpieczny, pozostaje pod kontrolą PI, a jednak wygrała ciekawość i pojechałem. Było warto mimo niebezpieczeństwa. Miejsca, gdzie Bóg spotykał się z człowiekiem, mają swoją moc!

Tym razem nie był pan sam.

Pojechaliśmy w grupie z Radkiem Grabowskim, Darkiem Malejonkiem i innymi osobami z projektu „Dekalog”. Z Tel Awiwu bussem przeskoczyliśmy do Egiptu, gdzie po przekroczeniu granicy co chwila spotykaliśmy posterunki i panowało napięcie. Gdy nagle zastopował nas wielbłąd idący przez drogę, uznaliśmy, że to zasadzka i będą nas porywać. Na górę Synaj byliśmy sami, bez żadnych turystów. Dwóch księży odprawiło mszę św. w Środę Popielcową na początek Wielkiego Postu, co korespondoowało z Mojżeszem. Zresztą nasza podróż była rozpięta między dwiema górami – Synajem i Górą Błogosławieństw. Widok stamtąd na Jezioro Galilejskie został mi w pamięci i czasem wizualizuję sobie, że wciąż tam jestem. Zwłaszcza tam obcuje się z ziemią i kamieniami, po których chodził Chrystus.

Czy tablice zostały na Synaju?

Wrócili do Polski. Może pojedą jeszcze do Fatimy albo do Sanktuarium Matki Boskiej Fatimskiej na Krzeptówkach, gdzie

zaczęły swoją podróż? Pewnie zostaną tam, gdzie wskaże Pan Bóg. Chciałbym, żeby gdzieś trafiły, ale sam nie przywiązuję się do przedmiotów. Ważne, żeby takie tablice mieć w sercu.

Urzędowe pytanie: Dokąd najbliższa wyprawa?

Długo myślałem o górze Shikoku, gdzie wcześniej pokonałem rowerem 1,2 tys. km szlakiem 88 buddyjskich świątyń. Sama Japonia byłaby jednak wyrwana z kontekstu, więc chciałem tam dotrzeć przez Syberię i prawosławie, aby prześledzić duchową drogę ludzkości. Tym razem byłaby to wyprawa samochodem, nie rowerem ani piechotą, bo z Polski musiałbym iść chyba dwa lata, a nie mam tyle czasu. Teraz myślę, żeby pojechać jeszcze dalej – dookoła świata. Mam nawet pomysł na „No Trace Expedition”, żeby nie zostawiać po sobie śladów w środowisku. Wyprawa samochodem elektrycznym byłaby minimalistyczna i ekologiczna, bo pokazałaby, że nowoczesne technologie mogą oszczędzać środowisko. Ale też ciągle to droga duchowa.

Ile to potrwa?

Nawet rok! A może jednak pojedą w 80 dni dookoła świata? Na tym polega piękno myślenia, że nic nie kosztuje. Ważne, żeby to nie była zachcianka. I żeby dzieci mogły z tego skorzystać. To nie jest Everest albo K2, mogą dojechać na miesiąc, bo nieraz szkoła życia jest równie ważna jak zwykła szkoła. Wyprawa do Japonii ma być także ekologiczna, żeby dzieci mogły z niej skorzystać. Mają 9 i 12 lat, więc mogą je zabrać, a po drodze robić homeschooling. Chciałem je wziąć już do Izraela, gdzie mieszkabyłyby w bezpiecznej Jerozolimie, ale wołały zostać. Jeszcze przed wyjazdem powiedziałem im, że jadę do miejsca, gdzie urodził się i mieszkał Jezus Chrystus i może Go spotkam, bo spotkać Chrystusa można w każdym człowieku, więc jakie pytanie mam Mu zadać? „Po co żyć?” i „Po co istnieje świat?” – odparła córka. Warto było jechać, żeby to usłyszeć!

Wydał pan właśnie książkę „Idź własną drogą”. Jest o podróżniku czy pielgrzymie?

Książka pokazuje fakty z moich podróży, ale na innej płaszczyźnie. Mówi o mechanice i geografii duszy. Pokazuje, że Bóg jest częścią nas samych, że mamy w sobie cząstkę Boga. I poznając siebie, poznajemy też Jego zamysły i Jego samego. A iść własną drogą oznacza iść w stronę Boga, który jest w nas. Wierzę w to głęboko.

Mężczyzna, funkcjonariusz zlikwidowanych Wojskowych Służb Informacyjnych, w przebraniu sprzątacza po rusztowaniu wchodzi przez okno do biura mężczyzny do złudzenia przypominającego lidera Samoobrony. Obezwładnia go i wiesza na grubym sznurze, wcześniej szepcząc swojej ofierze do ucha: „Przyszedliśmy ci zrobić samobójstwo”. Scena z filmu Patryka Vegi „Służby specjalne” stała się już kultowa, często bywa kojarzona i przytaczana wraz z teoriami spiskowymi w kontekście zagadkowej śmierci byłego wicepremiera Andrzeja Leppera. To akurat nic dziwnego – warszawskiej prokuraturze, która uznała, że Lepper popełnił samobójstwo, nie udało się przekonywająco rozwiązać wszystkich wątpliwości narosłych zarówno wokół okoliczności jego zgonu, jak i sposobu prowadzenia śledztwa.

Teraz ponownie rozgorzeją emocje, bo byli współpracownicy Andrzeja Leppera wysłali do ministra sprawiedliwości Zbigniewa Ziobry wniosek o wznowienie umorzonego kilka lat temu śledztwa. Twierdzą, że mają nowe dowody w sprawie, a Lepper zginął, bo chciał ujawnić materiały dotyczące zawarcia w grudniu 2010 r. niekorzystnego dla Polski kontraktu gazowego z Rosją. Mają to być nagrania i dokumenty. Jeżeli rzeczywiście takie istnieją – bo na razie nie zostały zaprezentowane publicznie – to mogą wywołać trzęsienie ziemi.

Andrzej Lepper, były przewodniczący Samoobrony i były wicepremier w rządzie PiS-LPR-Samoobrona, usunięty z niego po tzw. aferze gruntowej, oskarżony w niej o składanie fałszywych zeznań i jedna z najbardziej barwnych postaci ówczesnej polskiej sceny politycznej, został 5 sierpnia 2011 r. znaleziony martwy w warszawskim biurze Samoobrony. Według ustaleń prokuratury były wicepremier miał popełnić samobójstwo przez powieszenie, a do odebrania sobie życia popchnęła go depresja spowodowana problemami finansowymi i rodzinnymi, postępowania sądowe i prokuratorskie. Śledczy argumentowali też, że nie ma dowodów na to, by ktokolwiek mógł przyczynić się do jego śmierci.

TAJEMNICZE „DOWODY Z UKRAINY”?

Zarówno okoliczności zgonu Leppera, jak i prokuratorskie śledztwo budzą do dziś liczne kontrowersje. Przyjaciele lidera Samoobrony wskazywali na wąt-



„Przyszedliśmy zrobić samobójstwo”?



Wojciech Wybranowski

Oficer ABW, który mógł mieć wiedzę o kulisach śmierci Andrzeja Leppera i chciał opowiedzieć śledczym o swoich ustaleniach, nie został zwolniony z tajemnicy państwowej – dowiedziało się „Do Rzeczy”. Prokuratura zastanawia się, czy są powody, by wznowić śledztwo w sprawie zgonu byłego wicepremiera

pliwości co do pracy śledczych, np. na to, że sekcję zwłok Leppera przeprowadzono dopiero po trzech dniach, że śledczy nie zbadali, do kogo miały należeć odciski butów dwóch osób, które ponoć znaleziono w łazience, wreszcie – że na sznurze, na którym Lepper się powiesił, nie było żadnych odcisków palców.

– Facet rzekomo w depresji wchodził na krzesło, zakłada sobie pętlę na szyję, a następnie ściera chusteczką odciski palców tak że sznura, jak krzesła. Zacierał ślady własnego samobójstwa? Przecież to absurd – komentuje Sławomir Izdebski, były senator Samoobrony i przewodniczący OPZZ Rolników i Organizacji Rolniczych, autor wniosku o wznowienie śledztwa. Mówi też, że w pomieszczeniach zajmowanych przez Leppera znajomi po jego śmierci zauważyli potężny bałagan, tymczasem były wicepremier uchodził za pedanta.

Od kilku dni do siedziby OPZZ RiOR przychodzą e-maile od ludzi, którzy widzieli się z Lepperem tuż przed jego zgonem: „Razem z p. (X.Y.) byliśmy u Andrzeja Leppera kilka dni przed jego śmiercią – mówił, że się czegoś obawia, i nic nie wskazywało na to, że chce popełnić samobójstwo – wręcz przeciwnie, rozmawialiśmy o nowym projekcie filmowym nt. polskiej wsi” – czytamy w jednym z nich.

Zagadkowej śmierci lidera Samoobrony od samego początku towarzyszyły pogłoski, jakoby dysponował tajemniczymi dokumentami, których ujawnienie miałoby wstrząsnąć sceną polityczną i w ich sprawie miał też chcieć spotkać się z Jarosławem Kaczyńskim. Spekulowano, że może chodzić o materiały dotyczące afery gruntowej lub katastrofy smoleńskiej albo korupcji w rządzie PO-PSL.

– Prawdą jest, że tuż przed swoją śmiercią bardzo zabiegał o spotkanie z prezesem. Intensywnie szukał kontaktu, możliwości spotkania z Kaczyńskim, który jednak podchodził do niego bardzo nieufnie. Do spotkania nie doszło – opowiada nam Ryszard Czarnecki, eurodeputowany PiS. Dodaje, że ostatecznie Lepper spotkał się z Tomaszem Sakiewiczem, redaktorem naczelnym „Gazety Polskiej”, prosząc o pomoc w zorganizowaniu spotkania z prezesem PiS.

Już po śmierci byłego wicepremiera „Gazeta Polska” opublikowała część stenogramów rozmów Leppera z Sakiewiczem. Wynika z nich, że szef

Samoobrony obawiał się o swoje życie, a dokumenty i informacje, jakie chciał przekazać Kaczyńskiemu, miały dotyczyć tzw. afery gruntowej.

Zagadkowej śmierci lidera Samoobrony od samego początku towarzyszyły pogłoski, jakoby dysponował tajemniczymi dokumentami, których ujawnienie miałoby wstrząsnąć sceną polityczną

Tymczasem dziś dawni współpracownicy Leppera przekonują, że sprawa była dużo „grubsza”, a materiały, którymi dysponował Lepper, miały dotyczyć rzekomo korupcji przy zawarciu przez wicepremiera Waldemara Pawłaka z wicepremierem Rosji Igorem Sieczinem wyjątkowo niekorzystnej dla Polski umowy na wieloletnie dodatkowe dostawy rosyjskiego gazu.

– Andrzej Lepper często jeździł na Ukrainę i Białoruś, miał tam swoje interesy. Prawdopodobnie tam pozyskał materiały, które dotyczyły gigantycznego przekrętu uzależniającego Polskę od Gazpromu i dostaw rosyjskiego gazu. Materiały, które zdobył Lepper, przede wszystkim dotyczyły działań Waldemara Pawłaka – mówi Izdebski. – Myślę, że traktował je jako przepustkę otwierającą przed nim drzwi powrotu do wielkiej polityki. Chciał je ujawnić, dlatego zginął – dodaje.

Pytamy: Dlaczego koledzy szefa Samoobrony nie wspominali o nich ani słowem wcześniej? Opowieść o tajemniczych dokumentach na „zmqowę z Gazpromem”, jakimi ponoć miał dysponować Lepper, to już kolejna historia związana z jego śmiercią.

– Sądziłyśmy, że istniały tylko dwie kopie: jedną miał Andrzej, drugą pewien prawnik, który również zginął w tajemniczych okolicznościach – przekonuje szef OPZZ Rolników i Organizacji Rolniczych. – Niedawno dowiedzieliśmy się, że jest jeszcze jedna kopia, a także że istnieje pewne ważne dla sprawy nagranie, jest też ważny świadek – dodaje były senator Samoobrony.

Lubelski prawnik, o którym wspomina Izdebski, to Piotr Stech vel Petro

Stech vel Stekh, dobry znajomy Andrzeja Leppera, adwokat ukraińskiego pochodzenia, były komandos w Armii Czerwonej. W 2007 r. „Rzeczpospolita” pisała, że jest też związany z organizacją o nazwie „Rycerski Zakon Michała Archanioła” skupiającą ludzi dawnych sowieckich służb specjalnych. Stech zmarł kilka lat temu w zagadkowych okolicznościach w hotelu w Łucku.

Jakimi konkretnie – i czy w ogóle – materiałami dotyczącymi „przekrętu gazowego”, które wcześniej miał mieć Lepper, dysponuje teraz Izdebski? Usłyszeliśmy, że to nagrania i dokumenty, jednak odmówiono nam ich przedstawienia, argumentując, że najpierw trafią do prokuratury, a dopiero gdy ta odmówi wznowienia śledztwa, zostaną zaprezentowane publicznie.

– Na razie do prokuratury wspomniiane dowody w sprawie też nie trafiły. Jeżeli zostaną przekazane śledczym, to będą przeanalizowane podobnie jak wnioszek i wówczas zostanie wydana decyzja o wznowieniu lub odmowie wznowienia postępowania – mówi nam Michał Woś, szef gabinetu politycznego ministra Ziobry.

LEPPER I TAJNE SŁUŻBY

Czy Andrzej Lepper rzeczywiście mógł dysponować dokumentami dotyczącymi podejrzanym kulis zawarcia „kontraktu gazowego” z Rosją, a groźba ujawnienia ich spowodowała, że ktoś pomógł mu „popełnić samobójstwo”? Takiego zdania są nie tylko dawni współpracownicy Andrzeja Leppera.

– Takie materiały Lepper miał według moich źródeł pozyskać podczas swoich pobytów na Ukrainie od osób powiązanych z ukraińskimi i rosyjskimi służbami specjalnymi. Z moich ustaleń wynika, że chciał nimi zagrać i to mogło doprowadzić do jego śmierci – mówi tygodnikowi „Do Rzeczy” mjr Tomasz Budzyński, były szef lubelskiej delegatury ABW.

Budzyński, który już kilka lat temu odszedł z pracy w kontrwywiadzie, współpracował z Wojciechem Sumlińskim przy pisaniu książki „Niebezpieczne związki Andrzeja Leppera. Kto go naprawdę zabił”, w której również śmierć szefa Samoobrony łączy z jego wiedzą o „kontrakcie gazowym” i „grze kwitami”.

– Pierwszy raz usłyszałem o nich jeszcze przed śmiercią Leppera. Podczas



Scena z filmu Patryka Vegi „Służby specjalne” FOT. MATERIAŁY PRASOWE

■ jednego z moich dziennikarskich spotkań z Ryszardem Kucińskim, byłym prokuratorem i znajomym Leppera, usłyszałem, że „Lepper ma prawdziwą bombę, która jak pierd...”, to rozwali pół sceny, a Andrzej znów wróci na świecznik”. Wtedy to zignorowałem. W maju 2011 r. zmarł Kuciński, a w sierpniu Lepper – opowiada nam Sumliński.

Budzyński z Sumlińskim, badając sprawę kwitów, jakimi miał ponoć dysponować Lepper, na Białorusi i Ukrainie spotkali się z ludźmi, z którymi widywał się były szef Samoobrony. Jednym z ich rozmówców miał być właśnie Petro Stech, z którym Budzyński miał mieć kontakt z czasów, gdy jeszcze realizował zadania kontrwywiadowcze dla ABW.

– Spotkaliśmy się z nim. Wielki chłop, nalany tłuszczem, co najmniej 190 cm wzrostu, ale dziwnie wystraszony, gdy zaczęliśmy rozmawiać o sprawie. Sugerował, że ma te materiały, które miał mieć Lepper, dotyczące „przekrętu gazowego”, ale nam ich nie pokazał. Tomek umówił się z nim na kolejne spotkanie, ale zanim do tego doszło, nagle Stech zmarł – mówi Sumliński. Sugeruje, że mogła to nie być śmierć przypadkowa – w pokoju hotelowym, w którym znaleziono martwego Stecha, nie było jego osobistych dokumentów ani rzeczy, a śledztwo szybko umorzono.

Opowieść niczym z sensacyjnego filmu na pewno może dobrze sprzedać książkę Sumlińskiego. Czy jednak prawdziwa? Gdy rozmawiam o tym z jednym z funkcjonariuszy Agencji Bezpieczeństwa Wewnętrznego, który zna obu naszych rozmówców, ten nie ukrywa, że ma pewne wątpliwości.

– Zarówno Sumliński, jak i Tomek [Budzyński – przyp. red.] według mojej i nie tylko mojej wiedzy mają tę słabość, że lubią sobie trochę dodać, podkolorować, więc to, co mówią, dziel przez trzy – mówi nasz informator, który znacząco dodaje, że „nie bez powodu Budzyński odszedł z firmy”. Jednocześnie zaznacza też, że również jego zdaniem Lepper mógł otrzymać „od swoich wschodnich przyjaciół” coś, co wpakowało go w kłopoty.

– Lubił balować za wschodnią granicą, jeździł tam na panienki, które podstawiały ukraińskie czy rosyjskie służby, nawiązywał kontakty, przyjaźnie, z których – że tak powiem – i on, i jego partnerzy ciągnęli profity – twierdzi nasz rozmówca.

CZEGO NIE SPRAWDZIŁA PROKURATURA

W lutym bieżącego roku, już po ukazaniu się książki Sumlińskiego, warszawska prokuratura okręgowa przesłuchiwała Tomasza Budzyńskiego w charakterze świadka.

– Uważam, że przekazałem wyczerpujące dane dotyczące wielu aspektów działalności Andrzeja Leppera i powodów stanowiących przyczynę jego śmierci – mówi nam mjr Tomasz Budzyński.

– Mam jednak wrażenie, że prokuratora nie bardzo interesowały kulisy całej sprawy. Bardziej chciał wiedzieć, czy mam wiedzę, że ktoś konkretnie go zabił, czy widziałem etc. – dodaje.

W wydanym w ubiegłym tygodniu komunikacie prokuratura poinformowała, że nie znalazła powodów, żadnych nowych okoliczności, które – na tamtym etapie – uzasadniałyby wznowienie śledztwa w sprawie śmierci Leppera.

Tymczasem, jak dowiedziało się „Do Rzeczy”, w trakcie przesłuchania Budzyński miał poinformować prokuratora, że istnieją informacje, które będzie mógł przekazać śledczym dopiero po zwolnieniu go z tajemnicy służbowej i państwowej. – Do tej pory nie zostałem z niej zwolniony – mówi nam były szef lubelskiej delegatury ABW.

Chcieliśmy o to zapytać prok. Przemysława Nowaka, który prowadził przesłuchanie mjr. Budzyńskiego, ale grzecznie, choć stanowczo, odmówił nam komentarza. Uzyskaliśmy za to potwierdzenie tej informacji z ABW. „Uprzejmie informujemy, że Prokuratura Okręgowa w Warszawie nie występowała do Agencji Bezpieczeństwa Wewnętrznego z wnioskiem o zwolnienie z tajemnicy państwowej osoby wymienionej w mailu w sprawie, o którą pan pyta” – czytamy w otrzymanym e-mailu.

Czy dowody i informacje, na które dziś powołuje się Sławomir Izdebski, wnosząc o wznowienie śledztwa w sprawie śmierci Leppera, a których na razie pokazać nie chce, to tak naprawdę książka Sumlińskiego i zeznania Budzyńskiego? Gdy o to pytamy, zarówno Izdebski, jak i Budzyński zaprzeczają.

– Ustalenia są podobne, ale nie identyczne. Pan Izdebski nie otrzymał ode mnie „swoich” informacji – przekonuje mjr Budzyński.

Z kolei wśród polityków pojawiła się pogłoska, że sprawę śmierci Leppera jego dawni znajomi chcą wykorzystać, by wrócić do aktywności politycznej. Izdebski pytany o to przez „Do Rzeczy” mówi, że wybory samorządowe go nie interesują, choć nie wyklucza powrotu do polityki „za jakiś czas”.

CZYTAJ CO TYDZIEŃ **W LEPSZEJ CENIE** **ZAMÓW PRENUMERATĘ**

PRENUMERATA PÓŁROCZNA TYGODNIKA „DO RZECZY”
+ KSIĄŻKA PIOTRA GOĆKA „KRETA SUBIEKTYWNIE”



Kreta subiektywnie – czyli wesołe zapiski dyletanta.
Przewrotna opowieść o wyspie, na której im więcej zobaczysz, tym więcej pozostaje do odkrycia.

- Co można robić nad zatoką, przy której tańczył Grek Zorba?
- Dlaczego król Grecji musiał nocować w wąwozie Samaria?
- Czego absolutnie nie należy mówić Kreteńczykom?
- Czy Knossos to archeologiczny Disneyland?
- Jak trafić na urodziny Giorgiosa i pozostać trzeźwym?
- Co polscy żołnierze w służbie rosyjskiego cara robili na Krecie?
- Które miasto wyspy było dumą Rzymu i dlaczego nic o tym nie wiecie?
- Dlaczego autor spacerował po Rethymnonie w górze od pidżamy, żółtych szortach i z fuksjową parasolką?

138 zł

oszczędność 81 zł

www.prenumerata.dorzeczy.pl

JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:

WPLATA NA KONTO:
62 1140 1010 0000 5184 9500 1007
ORLE PIÓRO sp. z o.o.
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa.

JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:

Skorzystaj także z tej oferty, przedłużymy
Ci obecnie trwającą prenumeratę,
a prezent wyślemy z najbliższym
wydaniem tygodnika.

WIĘCEJ INFORMACJI:

E-MAIL: prenumerata@point-group.pl TELEFON: 22 529 12 10 INTERNET: www.prenumerata.dorzeczy.pl
eprasa.pl f6d3097c4e



Andrzej Horubała

Pomysł, aby w dyskusji o Holokauście posłużyć się Jerzym Kosińskim i wykorzystując jego „Malowanego ptaka”, oskarżać Polaków o współodpowiedzialność za Holokaust, zdawał się zaiste karkołomny. To tak, jakby wystawiać „Protokoły mędrców Syjonu” i twierdzić, że może i one są sfabrykowane, może to fałszywka, ale dobrze oddają charakter żydowskiego światowego spisku.

Podobna myśl zdaje się dominować w Teatrze Żydowskim: choćby i Kosiński zmyślał, choćby cały ten jego „Ptak” był wytworem wyobraźni, a nie autobiograficzną opowieścią, ale przecież tak generalnie to miał rację: Polacy to ciemni antysemita, prześladowali Żydów, wydawali ich na śmierć, zabijali.

OSZUST ZDEMASKOWANY

Jak można – dziwiłem się – posługiwać się dziełem żalosnego hochsztaplera, który podpiął się pod miliony wymordowanych współbraci? Jak można traktować serio opowieść faceta, który spędziwszy wojenne dzieciństwo wraz z rodziną, na polskiej wsi, chroniony przez sąsiadów, sprzedał światu opowieść o nich jako o tępych dzikusach dybiących na jego życie, spółkujących ze zwierzętami, gwałcących, brutalnych, prymitywnych?

Zdawało się, że reportaż Joanny Siedleckiej „Czarny ptasior” zamyka sprawę traktowania „Malowanego ptaka” jako świadectwa Holokaustu, że, owszem, otwiera inne ciekawe wątki, ale – mniemałem – nikt już nie przywołał tej powieści jako argumentu w dyskusji o polskiej winie.

Przecież „Czarny ptasior” Siedleckiej nie tylko kwestionował autentyczność relacji Kosińskiego, nie tylko konfrontując tekst z realiami, pokazywał okrucieństwo autora, który życzliwych sobie ludzi poobsadzał w potwornych rolach, lecz także stawiał bardzo trudne pytania o to, co tak naprawdę ojciec Kosińskiego, Mojżesz Lewinkopf, czynił w imię swej prywatnej „religii przetrwania”.

Na ile współpracował z Niemcami, zapewniając sobie nietykalność? Do czego posunął się, wiążąc z komunistami, wstę-

pując do PPR i kolaborując z sowieckimi najeźdźcami?

Oddając głos sąsiadom, Siedlecka ukazywała zupełnie inną historię: rozpaczliwych, moralnie podejrzanych prób przeżycia za wszelką cenę, ale i późniejszego odwetu za upokorzenia, donosów do komunistycznych władz, pociągających za sobą aresztowania, zsyłki.

Przywoływała też fakty z okupacji świadczące o odbiegającym od naszych wyobrażeń statusie żydowskiej rodziny

mieszkającej w Dąbrowie. Oficjalną pracę starego Kosińskiego przy skupie rolnym, wspomniane do dziś z rozrzewnieniem przyjęcie, na którym serwowano egzotyczne kakao, ucztę wyprawioną przez matkę Jurka dla wszystkich przyjmujących pierwszą komunię razem z jej synem.

Świetna praca Siedleckiej, reporterki słynącej ze stawiania naiwnych prostych pytań o prawdę, prezentując inne oblicze tragizmu Żydów walczących o przetrwanie, demaskowała literackiego oszusta

Głupio się



bawicie

FOT. MAGDA HUECKEL

Siedlecka kompromituje się, a Kosiński, w którego wciela się charakterystyczny aktor Teatru Żydowskiego – Jerzy Walczak – okazuje się nadwrażliwym artystą, który nie nakłamał, a dał jedynie wyraz swojej traumie z dzieciństwa. Padają więc bałamutne fragmenty z posłowania do „Malowanego ptaka”, jakim zagrożony zdemaskowaniem Kosiński opatrzył późniejsze wydania powieści, serwując czytelnikom jakąś wielką ściemę o relacjach prawdy z literaturą, częstując ich Proustem, Artaudem i Jungiem. Aktor Jerzy Walczak (ostatnio

Rola rabina z Sonderkommando we wstrząsającym filmie László Nemesa „Syn Szawła”, tu udziela swemu bohaterowi charakterystycznego emploi żydowskiej ofiary, którym pogrywał już niedawno też u Kleczewskiej w „Dybuku” (gdzie reżyserka tak się zaplątała w łączenie Holokaustu ze sztuką An-skiego, że wyszło jej, iż hitlerowcy byli mężami opatrznosciowymi zaprowadzającymi sprawiedliwość i karzącymi niewierną dziewczynę). Tutaj Nowak tradycyjnie: wychudzony, ogolony, z błyszczącymi natchnionymi oczyma zdaje się przelewać całą swą semicką charyzmę na cynicznego pisarza z Nowego Jorku. Jak w „Dybuku” idzie, ledwie powłócząc nogami, z wysiłkiem, wolno, jakby zmużniany, nieobecny, wycieńczony, święty. No jakże nie zaufać tej ofierze Holokaustu?

THE BEST OF HOLOKAUST

No i załatwiwszy w ten sposób kwestię prawdy i fałszu: wychudzony Nowak-Kosiński vs rozszczebiotana Kwiatkowska-Siedlecka, Kleczewska może zaszerwować nam swoje smakowitości. Reżyserka, specjalizująca się w prezentacji przemocy i okrucieństwa, funduje nam dawkę najmocniejszych fragmentów z „Malowanego ptaka” w wideozapisem orgii z kozłem włącznie. Mamy więc i wydłubywanie oczu, i załuczenie kijami szalonej Ludmiły przez bandę miejscowych, i butelkę w kroczu, i pantomimę zbiorowego gwałtu na znalezionej przy torach Żydówce, i penisa zakleszczonego w ofierze. Kaya Kołodziejczyk prezentuje nam całkiem udany układ choreograficzny typu „Holokaust dance” – coś, co jednak razi mnie, od kiedy zobaczyłem kiczowatą fantazję na temat tańca żony Jana Karskiego – Poli Nireńskiej – we francuskim spektaklu Arthura Nauzyciela „Jan Karski (Moje nazwisko jest fikcyjne)”. Zbyt to bezpośrednio, dosłownie.

Owszem, niektóre sceny mają moc: pastwienie się nad Żydówką-uciekinięrką mogłoby wbić w ziemię, ale przecież fałsz całego przekazu jest dla mnie zbyt silny, by poddać się takim emocjom. Patrzę na to jak przez szybę. Świetne miejscami aktorstwo, ciekawe pomysły i nic.

Aha, jest oczywiście atak na Kościół. Bo, okazuje się, nie wystarczy wyszy-

dzenie zdań Siedleckiej o ks. Eugeniuszu Okoniu, który ulokował Kosińskich we wsi Dąbrowa Rzeczycka. Mamy więc kolejny zapis wideo, tym razem mszy, owej feralnej, na której mały Kosiński upuścił mszał (w wersji teatralnej – kielich), za co wedle swoich imaginacji był topiony w kloace. Że to zmyślił sobie, wszystko jedno. Przecież i nabożeństwo, choć umiejscawiane w czasie okupacji, sprawowane jest według rytu posoborowego. Kto by się tam przejmował takimi drobiazgami?! Nagle

w powietrzu roznosi się zapach kadzidła, a z głośników płynie hymn „Boże, coś Polskę” z wezwaniem: „Przed Twe ołtarze zanosim błaganie: od Żydów Polskę racz oczyścić Panie”.

No tak, to już rzecz z innego źródła, ale też Kleczewska stara się wzbogacić swój spektakl różnymi smaczkami o polskim antysemityzmie i Holokaucie. Daje więc kawałek z „Shoah” Lanzmanna, ten najbardziej chyba

znany o geście podrzynania gardła, jaki – z rzekomą satysfakcją – wykonywali polscy chłopcy wobec Żydów jadących do obozów zagłady. Wprowadza pijanego Polaka, który wrzeszcząc z okrutnym zadowoleniem, opowiada o bydlęcych wagonach jadących do obozu zagłady. Mamy odtwarzanie niemieckiej skrupulatności w realizacji planu ostatecznego rozwiązania, jest też wypowiedź cynicznego esesmana – reprezentanta wyższej cywilizacji. Wreszcie kilkoro aktorów zasiada naprzeciw publiczności i stawia w różnych językach pytania o naszą winę oraz nasze świadectwo. Stopniowo przybliża swe krzesła do pierwszego

rzędu, by twarzą w twarz zadawać krępujące pytania.

Jest więc cały repertuar środków znanych z przekazów o Zagładzie. I – niestety, jak zwykle – zmyślenie łączy się z prawdą, przesada i niesłuszne uogólnienie z faktami. Użycie „Malowanego ptaka” pokazuje rzecz wstrząsającą: oto już w sposób całkiem jawny przestaje liczyć się prawda. Bo co? Bo nad wszystkim dominuje objawiona prawda religii Holokaustu? Bo reprezentant narodu ofiar we wszystkim ma rację i ma prawo oskarżać cały świat?

Czy ważne są szczegóły? Czy istotne okoliczności, liczby, moralne dystynkcje, subtelne rozróżnienia? Podobnie jak w sprawie Jedwabnego, gdzie poniechano drobiazgowych badań i absurdalnie zgodzono się na niedokonywanie szczegółowej ekshumacji. Do dziś nie wiemy, ile osób zginęło, do dziś przytaczane są zeznania świadków dawno już sfalsyfikowane, do dziś pobłażliwie traktuje się oczywiście fałszywe książki Grossa. Bo mówi w imieniu pomordowanych, bo temperament ponosi go, bo przecież tak ogólnie ma rację.

Dziwny jest ten repertuarowy gest Teatru Żydowskiego. Niemądry, sugerujący mimowolnie, że cały ten Holokaust to ściema. Firmując „Malowanego ptaka”, broni hochsztaplera, od którego każdy przytomny człowiek powinien się odciąć. Teatr powołany dla krzewienia kultury żydowskiej pokazuje najgorszą potworną jej karykaturę: dzieło, drapującego się w szatki ofiary oszusta, który epatuje seksem i okrucieństwem, oskarżając wieśniaków, wśród których wzrastał, o potworne zbrodnie i zboczenia. Kobiętę pytającą o prawdę wyszydza się. Czy to zapowiedź nowego etapu dialogu polsko-żydowskiego?

© Wszelkie prawa zastrzeżone



REŻ. MAJA
KLECZEWSKA
„MALOWANY
PTAK”
WARSZAWSKA
PREMIERA:
28 MAJA 2017 R.

Chcą z nas zrobić antysemitów

W numerze 17–18 z 23 kwietnia 2017 r. temat okładkowy poświęciliśmy temu, jak lewica próbuje przypisać Polakom gębę.

- **Paweł Lisicki** w edytoriale pt. „Geneza pewnej mistyfikacji” prezentował przemyślenia o projekcie teatralnej adaptacji „Malowanego ptaka” Jerzego Kosińskiego i związku tego wydarzenia z promocją religii Holokaustu.
- **Krzysztof Masłoń** w pełnym emocji wywiadzie z Joanną Siedlecką, która zdemaskowała kłamstwa Kosińskiego, rozmawiał o nadużyciach twórców spektaklu realizowanego w koprodukcji Teatru Polskiego z Poznania i warszawskiego Teatru Żydowskiego.
- **Rafał A. Ziemkiewicz** pokazywał, jak lewica prowadzi antypolską nagonkę, oskarżając nas o współudział w zbrodniach Holokaustu.



Żegnaj i płacć



Steven Tyler i Aerosmith żegnają się w tym roku z fanami. Choć sami przyznają, że to raczej nie będzie koniec grania na żywo FOT. KEVIN MAZUR/GETTY IMAGES

Na rynku muzycznym ogromne pieniądze zarabia się także po śmierci. Dochód jest prawie gwarantowany, gdy zgon następuje niespodziewanie i artysta z miejsca staje się legendą. Najlepiej oczywiście, gdy umiera się około trzydziestki – czyli w czasie, gdy śmierć jest pewnym zaskoczeniem. Przykładów w historii jest aż za dużo – Jimi Hendrix pożegnał się ze światem przed swoimi 28. urodzinami,



Łukasz Zboralski

Gdy artystom nie wystarcza metoda „na wnuczka” – czyli granie dla kolejnych pokoleń – rozpoczynają pożegnalne trasy. Ogłaszanie końca to początek niezłego zarobku

sklasyfikowany na pierwszym miejscu wśród perkusistów wszech czasów na liście „Rolling Stone” w ubiegłym roku bębniarz Led Zeppelin

John Bonham umarł w wieku 32 lat, zaledwie 27 lat dożył Jim Morrison, tyle samo miał Kurt Cobain, gdy strzelił sobie w głowę i osierocił Nirvanę.

Zejście z tego świata nie oznacza przerwania potoku dochodów. W dodatku fani muzyki pieniądze wydają coraz łatwiej, bo zamiast biegać po płyty do sklepów, kupują dziś utwory w sieci. Nie dziwi więc, że choć minęło 37 lat od momentu, gdy niezrównoważony Chapman umieścił w ciele Lennona cztery kule, to sprzedaż utworów Beatlesa wciąż przynosi miliony dzięki pobieraniu ich w iTunes czy odsłuchiowaniu w Spotify.



Deep Purple podczas „ostatniej” trasy wystąpili w maju na dwóch koncertach w Polsce. FOT. GRZEGORZ GAŁASIŃSKI/EAST NEWS

■ Doszło do tego, że żyjący artyści od dawna zarabiają mniej, niż wynoszą tantiemy związane z dawnymi gwiazdami. W ubiegłym roku Taylor Swift zarobiła 170 mln dol., One Direction – 110 mln, a Adele – 80,5 mln. W tym samym czasie nieżyjący od 2005 r. Michael Jackson „zarobił” 825 mln dol. Elvis Presley nie żyje od 1977 r., a w ubiegłym roku na produkty związane z jego nazwiskiem wydano 27 mln dol. Trzeci na liście najbardziej dochodowych nieżyjących artystów jest Prince (25 mln dol.).

Metoda na odejście u szczytu sławy ma jednak pewien wielki mankament – artysta nie skorzysta już z dochodów. Cieszą się jedynie spadkobiercy albo ci, którzy nabyli licencje i rozkręcają poboczne biznesy, np. pokazując w halach przedstawienia z udziałem hologramów gwiazd czy

sprzedając rozmaite gadżety. Spadkobiercy Boba Marleya opychają ludziom nawet relaksacyjne drinki, a w tym roku na amerykańskim rynku zadebiutowały właśnie lody Bob Marley One Love (nie, nie ma w nich śladu marihuany, dodatkami są karmel, ciastka i kawałki czekolady).

DIADKOWIE, I PRZEBIERANCY

Muzyczne sławy przedłużają dziś kariery aż do późnej starości. Maryla Rodowicz przekroczyła już siedemdziesiątkę, a gdyby nie zamieszanie z Opolem, to przygrywałaby widowni festiwalu także w tym roku, a zapewne i z kolejnego sylwestra na scenie w jakimś mieście też nie zrezygnuje. Czasem wychodzi to całkiem nieźle – Zbigniew Wodecki aż do końca pracował i śpiewał tak, że nie trzeba było z jakiejś litości wybaczać zmian skali ani drobnych potknięć. Czasem jest gorzej – Brian Johnson,

zanim zupełnie nie zrezygnował ze śpiewania w AC/DC, średnio już dawał radę na koncertach. Pędu do koncertowania australijski band jednak nie wygasił. Chociaż musiał rekonstruować skład – Malcolm Young zaczął już cierpieć na demencję, więc w grze na gitarze zastąpił go bratanek, Steve Young. A Johnsona przy mikrofonie dubluje również niemłody już Axl Rose.

Niektórzy wciąż potrafią zainteresować widownię, choć tylko sprzedają blask dawnej sławy. Dwanaście lat temu Robby Krieger i Ray Manzarek nagle reaktywowali The Doors, ale nie mogli występować z takim szyldem, więc używali tylko własnych nazwisk lub przedstawiali się jako The Doors of the 21st Century. Koncertowali jeszcze w 2012 r. (w Polsce na 6. Festiwalu Legend Rocka), ale rok później Manzarek zmarł w wieku 74 lat i reaktywacja dobiegła końca.

Brak frontmana, nawet skrajnie charyzmatycznego, nie jest więc ostateczną przeszkodą, by zebrać przed sceną publiczność i jeszcze raz odciąć kupony od sławy. Jeden z najlepszych dowodów to wciąż koncertujący Queen. Od pięciu lat dawni muzycy z Adamem Lambertem (czyli chłopakiem, który zajął drugie miejsce w show „American Idol”) jeżdżą po świecie. W ubiegłym roku grali na 15 europejskich festiwalach, gromadząc np. w Portugalii 74-tysięczną widownię. Podczas tegorocznego tour w listopadzie pojawia się też w Polsce, w łódzkiej Atlas Arenie.

Można także zbierać publiczność, jedynie imitując legendę. Australian Pink Floyd jest w stanie wciąż sprzedawać ludziom idealną kopię zespołu.

Trudno jednak czynić wielkie wyrzuty tym, którzy grają aż do późnej starości, choć zaczynają zawodzić ich już ręka trącająca struny lub głos. Jest w tym przecież odrobina prawdy – muzycy są sobą i robią to, co potrafią najlepiej. Dlaczego ktoś, kto całe życie śpiewał dla ludzi, miałby na starość szukać nowego zajęcia, skoro poprzednie wciąż lubi? I nawet w imitacjach znanych zespołów trudno doszukać się jakiegoś oszustwa. Kto idzie na występ bydgoskich Żuków, ten nie spodziewa się przecież, że na scenie zobaczy Beatlesów.

KONIEC NA NIBY, BILETY NAPRAWDĘ

Jest jednak pewien marketingowy chwyt, w którym pobrzmiwa fałszywa nuta. Tym gorsza, że manipuluje nie tylko średnio zainteresowanymi masami, lecz także wiernymi fanami zespołów. To ogłaszanie końca kariery. A chodzi w tym zwykle o rozpoczęcie wielkiego tournée,

które reklamowane jest jako trasa pożegnalna. Wnioskować można, że to ostatnia szansa na zobaczenie muzycznej legendy i właśnie o wywołanie takiego wrażenia chodzi. Im więcej ludzi nabierze się na to, że to „jedyna i ostatnia możliwość”, tym więcej osób będzie skłonnych kupić bilet i zapłacić za niego nawet wysoką cenę.

Jakże musiało wstrząsnąć fanami ogłoszenie pożegnalnej trasy Aerosmith! Media z żalem anonsowały, że „stało się to, czego się obawiali”, oto jadą po raz ostatni. I pojechali. Tegoroczna trasa nazywa się „Aero-Vederci Baby!” (choć pewnie powinna: „Do zobaczenia, naiwniacy”) i nie ominie także Polski. Tuż po zamknięciu tego numeru tygodnika Steven Tyler i spółka mieli wkroczyć na scenę w krakowskiej Tauron Arenie. Wszyscy zapewne z pewną tęsknotą (bo „po raz ostatni”) wysłuchują podczas tej trasy „Livin’ On The Edge” i „Cryin’”. Tymczasem członkowie zespołu, który gra od prawie pół wieku, chyba wcale nie zamierzają kończyć. – Czy to ostatni tour? No, nie wiem. Nie sądzę – wyznał niedawno gitarzysta Joe Perry w wywiadzie dla portalu Blabbermouth.net. I tłumaczył, że oficjalnie to nie jest pożegnalna trasa. I że chodzi o to, iż zawsze się gra tak, jakby grało się po raz ostatni, czyli dając z siebie wszystko. A poza tym jest jeszcze wiele miejsc, w których nigdy nie zagrali – Chiny, Daleki Wschód...

Mniej więcej to samo fanom zrobili (również polskim, bo w maju grali dwa „pożegnalne” koncerty: w Łodzi i Katowicach) członkowie Deep Purple. Rockmani wypuścili niedawno 20. studyjny album, ale zdecydowali, że to jednak koniec i ruszyli w trasę nazwaną „The Long Goodbye Tour”. Wydaje się, że bardziej chodziło o „long” niż

„goodbye” w tej przewrotnej nazwie. Sugerowanie wiadowni, że to ostatnia szansa na usłyszenie „Smoke on the Water” na żywo, zapewne pomaga wyprzedawać bilety na całej trasie. Znosi się jednak na to, że jeszcze nieraz słynny gitarowy riff zabrzmi na scenie. Polskim czytelnikom pisma „Teraz Rock” przyznał to basista Roger Glover. Tłumaczył pokrętnie, że nazwa „tournée” jest raczej sygnałem, że wiekowi muzycy (Ian Paice miał w 2016 r. udar, ale udało mu się z tego wykaraskać) są już bliżej końca kariery niż choćby w jej środku. To tłumaczenie, oględnie mówiąc, średnio przekonujące. I indagowany przez dziennikarzy Glover nie bardzo potrafił je wzmocnić. „Zdecydowaliśmy się wysłać w świat sygnał, że zdajemy sobie sprawę, iż prędzej czy później będziemy musieli się zatrzymać” – odpowiedział na pytanie o to, skąd wziął się pomysł na „ostatnią” trasę koncertową.

W zeszłym roku m.in. polską publiczność żegnał Black Sabbath. Ozzy Osbourne zrobił to zresztą nie po raz pierwszy. W styczniu 2016 r. zespół rozpoczął koncertem w Nebrasce trasę o mocno sugestywnym tytule „The End”. Aby sprawę uwiarygodnić, w mediach przywoływano, że decyzja związana jest m.in. z toczącym Tony’ego lommiego chłoniakiem.

Sam lommie opowiadał jednak już wtedy, że jest pewien, iż granie na żywo się nie skończy tak szybko, a Ozzy planował dalszy ciąg solowej kariery. Starci panowie z gitarami tak się rozpędzili z żegnaniem swoich fanów, że przedłużyli kończenie kariery na rok 2017 (choć prawdą jest, że część występów m.in. w Kaddadzie musieli już przekładać i odwoływać ze względu na niedyspozycję wokalisty).

I tak daleko im w przedłużaniu scenicznego dogorywania do innych. Kiedy Cher ogłosiła pożegnalną trasę w 2002 r., przedłużała tak długo, że pożegnania zakończyła dopiero w roku 2005. – Ponieważ w tak wielu miastach bilety zostały wyprzedane na pniu, uznaliśmy, że powinniśmy zagrać więcej koncertów – oświadczyła. Myliłby się jednak ten, kto uwierzyłby, że to naprawdę koniec.

Na początku tego roku obwieszczono, że artystka rusza w naprawdę ostatnią trasę życia. A skoro żegnała się już kilka razy, to tabloidy za oceanem musiały uwiarygodniać tegoroczną wersję – donoszono, że ze zdrowiem 71-latk jest dramatycznie źle, więc prawdopodobnie ta trasa może nawet doprowadzić do jej śmierci.

A tak zupełnie przy okazji Cher poinformowała, że na

kilkudziesięciu koncertach prezentować też będzie zupełnie nowe numery. Na stronie internetowej artystki koncerty w USA rozpisane są już na cały sierpień. Bilety oczywiście wyprzedane – bo nikt nie chce przegapić wielkiego końca – załapać można się jeszcze na te planowane we wrześniu.

Pod tym względem polskie gwiazdy wydają się nieco bardziej wiarygodne. Budka Suflera, która ruszyła w swoją pożegnalną trasę „A po nocy przychodzi dzień” w 2014 r., od tej pory nie wypuściła się w „naprawdę ostatnie pożegnania”. I wygląda na to, że po 40 latach grania muzyki naprawdę mieli dość występów na żywo.

A ile jeszcze przed nami! Przecież cała scena disco polo, gromadząca masową widownię, dopiero wchodzi w wiek dojrzały...

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

REKLAMA

Święty Wojciech
wydawnictwo

PATRONAT HONOROWY:

Głos Prześladowanych Chrześcijan

POMOC KOŚCIOŁOWI W POTRZEBIE

PATRONAT MEDIALNY:

GOSĆ

kai

Aleteia
www.aleteia.pl

REPORTAŻ

KALIFAT ALBO ŚMIERĆ
Marhjon van Dalen

Książka opowiada o prześladowaniach w północnej Nigerii. Rokrocznie ginie tam więcej chrześcijan niż na całym Bliskim Wschodzie. Głównym sprawcą tej tragedii jest Boko Haram, jedna z najokrutniejszych organizacji terrorystycznych na świecie.

130 x 200 mm | oprawa miękka | 156 stron | cena 22,90 zł



FOT. NETFLIX

Koniec epoki rozumu



Wojciech Engelking

Z mniej lub bardziej realistycznego serialu o kongresmenie, który dzięki makiawelicznym posunięciom zasiadł w Gabiniecie Ovalnym, „House of Cards” stało się przypowieścią o tym, czym władza jest w świecie, który wypadł z torów

Chyba przed premierą nowego sezonu żadnej produkcji oczekiwania nie były tak wygórowane. Trudno się dziwić – „House of Cards” w 2013 r. zmieniło branżę telewizyjną, tworząc zupełnie nową jakość seriali. Uwspółcześniwszy i przeniósłszy do USA akcję napisanej w latach 80.

powieści Michaela Dobbsa, scenarzysty Beau Willimon wykreował postać, która na dobre weszła do zbiorowej wyobraźni. Radosław Sikorski stwierdził raz, że tak brutalni gracze jak Frank Underwood w prawdziwym świecie długo by się nie utrzymali. Cóż, w Ameryce fikcyjnej Frank w dwa sezony zdążył

doprowadzić do rezygnacji prezydenta, który nie spełnił obietnicy o uczynieniu go sekretarzem stanu i sam prezydentem został. Chociaż popełnił przy tym dwa morderstwa, trudno było nie czuć do niego sympatii i z zapartym tchem nie śledzić, jak w prezydenckim fotelu Underwood radzi sobie z zagrożeniami, które bardzo przypominają te rosnące w naszym świecie: a to imperialistyczną polityką Rosji pod wodzą podobnego do Putina Wiktora Pietrowa, a to falą terrorystycznych ataków przeprowadzanych przez Islamski Kalifat, w skrócie – ICO; już sama nazwa budzi skojarzenia z ISIS. Te wszystkie smaczki sprawiały, że „House of Cards” traktowane było nie tylko jako rozrywka, lecz także komentarz do tego, co się dzieje naprawdę.

Tylko że od czasu premiery sezonu poprzedniego (czyli od marca 2016 r.) to, co dzieje się naprawdę, zdążyło się odrobinę zmienić: dotychczas ustalony porządek świata rozpadł się, a stały się rzeczy, co do których mainstream myślenia o polityce miał spore wątpliwości, że mogą się wydarzyć. Gdy ostatni raz widzieliśmy się z Frankiem, był on w środku kampanii wyborczej, w której jego przeciwnikiem był młody i przystojny republikanin Will Conway, a kandydatką na wiceprezydenta jego żona Claire Underwood. W jednym z amerykańskich dzienników właśnie miał ukazywać się tekst opisujący manipulacje, które doprowadziły go do Gabinetu Ovalnego. Aby zająć opinię publiczną czymś innym, Frank ogłaszał wojnę przeciwko ICO.

Niewielu wówczas poważnie traktowało prawdopodobieństwo brexitu czy tego, że Donald Trump zostanie prezydentem. Frank Underwood był wtedy zaspokojeniem tęsknot widzów za grą o władzę, której nie pętają nuda, polityczna poprawność i w której wszystko jest możliwe, wystarczy umieć po to sięgnąć. Czy w czasach, w których rzeczywistość dogoniła pomysły Willimona (który, składając, piątego sezonu już nie napisał, bo zajął się polityką prawdziwą i założył antytrumpowską organizację), „House of Cards” może być jeszcze odkrywczym i ciekawym?

Jak najbardziej – musiało się tylko, tak jak rzeczywistość, zmienić. Chociaż opowieść o losach Franka i Claire wciąż pozostaje politycznym thrillerem najwyższej klasy, w piątym sezonie staje się bardziej przypowieścią o tym, czym dziś jest władza i z czego się bierze.

WŁADZA W FORMIE CZYTEJ

Serial podsuwa kilka odpowiedzi na to pytanie, by każda z nich obalić.

Odpowiedź pierwsza: władza wynika z politycznego tytułu do niej i dzięki temu prezydent USA może – by przywołać definicję działania politycznego ukutą dawno temu przez Maxa Webera – sprawczo wpływać na rzeczywistość. To odpowiedź błędna, czego przedsmak mieliśmy już w poprzednich sezonach, gdy zasiadający w Gabinetu Ovalnym Frank miał problemy z przepchnięciem przez Kongres swego sztandarowego projektu – programu „America Works”, zapewniającego pracę każdemu Amerykaninowi i burzącego instytucje opieki społecznej wprowadzone dawno temu

przez Roosevelta; demokracja pokazywała swoje ograniczenia. W piątym sezonie pokazuje je jeszcze mocniej. Władza wymykająca się z rąk za sprawą zapisanych w ustawach ograniczeń nie jest zaś władzą.

Polityczny tytuł odpada. Może zatem pieniądze? To także ślepy strzał. O ile Frank zawsze miał do biznesu i jego przedstawicieli stosunek pogardliwy, o tyle w „House of Cards” finansiści byli portretowani jako silni i wpływowi gracze. W najnowszym sezonie zostają skompromitowani. Jedną z zabawniejszych scen jest ta, w której Underwood znajduje się na nieformalnym zjeździe parunastu milionerów. Zjazd odbywa się w środku leśnej głuszy, a jego najistotniejszym elementem jest spalenie manekina pod posągim olbrzymiego ptaka, podczas którego to rytuału goście noszą czerwone peleryny i ptasie maski, jakby na potwierdzenie spiskowych teorii o Grupie Bilderberg.

To może z popularności, posłuchu wśród ludu? Nic bardziej mylnego: popularność i posłuch na pstrym koniu jeżdżą. To może ze znajomości? Nowa postać w serialu, niejaka Jane Davis, zagrana przez królową amerykańskiego kina niezależnego Patricię Clarkson, może i ma w komórce numer do każdej liczącej się osoby na świecie, ale i tak działa na rzecz Underwoodów.

W świecie piątego sezonu „House of Cards” władza wynika tylko z władzy. I funkcjonuje tylko dla interesów tego, kto ją trzyma. Być może kluczem do zrozumienia serialu jest scena, w której jedna z postaci słucha audiobooka z „Opowieścią o dwóch miastach” Dickensa – inną historią o świecie, w którym stare zasady przestają funkcjonować. W tej powieści, traktującej m.in. o rewolucji francuskiej, poświęcenie się dla większej idei przez jednego z bohaterów zostaje określone jako „czyn nieporównanie lepszy od wszystkiego, co uczyniłem w życiu”. W świecie Underwooda poświęcenie się dla czegoś

kolwiek oprócz władzy – zwłaszcza dla własnego kraju – jest idiotyzmem. Co nie oznacza, że nie warto się poświęcić.

WITAJCIE W NOWYCH CZASACH

Ta zmiana stosunku do USA w wykonaniu siwowłosego Underwooda jest symptomatyczna. Frank, którego dotychczas znaliśmy, owszem, władzę uwielbiał i do niej dążył, ale władza nigdy nie była dla niego celem samym w sobie. Był patriotą, kochającym Amerykę i prezydenturę, ale tak się składało, że interesy jego i Ameryki szły w parze. I Frankowi, i Ameryce, dajmy na to, nie była na rękę słaba ustawa edukacyjna, toteż Frank doprowadził do jej zmiany. Jako prezydent zdawał się spadkobiercą Geralda Forda albo Richarda Nixona – władców podobnie bezwzględnych, ale działających w narodowym interesie. Frank z nowego sezonu nie działa w naszym interesie oprócz swojego i swojej żony, a z pewnością nie w interesie USA. W pewnym momencie Frank spostrzega, że prezydentura, obwarowana konstytucyjnymi ograniczeniami, to władza żadna. Być może zatem powierzy ją swojej żonie?

Brzmi jak pomysł szalony, jakby scenarzyści puścili wodze fantazji? Nie powinno – w końcu tak samo nieprawdopodobnie brzmiał w poprzednim sezonie monarchistyczny pomysł, by kandydatką na wiceprezydenta była Claire. Kilka miesięcy później obudziliśmy się w świecie, w którym Białym Domem Trump włada w towarzystwie swojej córki i zięcia. „Witajcie w czasach, w których umiera epoka rozumu” – ogłasza Frank widzom podczas przesłuchania przed senacką komisją, która ma zbadać jego manipulacje. Logiki w jego posunięciach na pierwszy rzut oka nie ma. Jednak znaleźliśmy się w czasach, w których logika polityczna stosowana przez Underwooda przez ostatnie sezony straciła rację bytu. Nie straciła jej tylko dla niego – straciła ją przede wszystkim dla publiczności. „Nie obchodzi was sprawiedliwość, chcecie silnego człowieka, człowieka czynu – mówi Frank w jednym ze swoich charakterystycznych monologów, słyszanych tylko przez niego i oglądających serial. – Jesteście uzależnieni od działania, od akcji i sloganów. Nieważne, co zrobicie czy powiem, liczy się akcja. Nie ma już racji i bycia w błędzie, jest tylko bycie w grze albo wypadnięcie z niej”. On to, co robi, robi, by w grze pozostać.



★★★★★

SEZON 5, „HOUSE OF CARDS”, USA 2017, NETFLIX

© © Wszelkie prawa zastrzeżone



FOT. MATERIAL PRASOWE

WIESŁAW
CZEŁMINIAK

PRAWDA CZASU, MAGIA EKRANU

Jak wygrać przegraną bitwę



★★★★★
REŻ. LONE SCHERFIG
„ZWYCZAJNA DZIEWCZYNA”
(„THEIR FINEST”)
WIELKA
BRYTANIA 2016

wyst. Gemma Arterton, Sam Claflin, Bill Nighy

Nie od dziś wiadomo, że Brytyjczycy są mistrzami beczelnej propagandy. Łupiąc kolonie, powoływali się na misję cywilizacyjną. Wystawiając do wiatru sojuszników, głądzili o idei równowagi sił. My nad Wisłą moglibyśmy wiele opowiedzieć o perfidii Albionu. Od osławionych gwarancji (które spowodowały, że miłujący Polskę Adolf H. obraził się i spuścił ze smyczy swoje czołgi) poczynając, a kończąc na zeszlórocznym referendum (gdy proponowaliśmy wyspiarzom wspólne uzdrowienie Unii Europejskiej, oni zrobili nam brexit).

Irytujące, że po tym wszystkim Angole wciąż mają o sobie dobre zdanie. Patrzą w lustra i zamiast egoistycznych drani widzą pocziwych flegmatyków, zatroskanych jakością popołudniowej herbatki oraz

stanem przydomowych ogródków. Opłaceni cudzoziemcy robią zaś wszystko, by ów pastelowy wizerunek utrwalić. „Zwyczajna dziewczyna”, nakręcona przez reżyserkę z Danii, to najświeższy przykład brytyjskiej przewrotności. Niby komedia, lecz na ekranie nie dzieje się nic zabawnego. Wydarza się nawet kilka rzeczy bardzo smutnych.

Jest rok 1940, na Londyn spadają bomby. Francuzi, Belgowie i Holendrzy już skapitulowali, Rosjanie trzymają z Niemcami, Amerykanie Europę mają w nosie. Wyspiarze mogą liczyć tylko na polskich lotników, ale o nich się tu nie wspomina. Mimo wojny pełną parą pracuje przemysł filmowy. Efektem są nudne propagandowe gnioty. Zdesperowani producenci szukają talentów, co otwiera okienko dla imigrantów i kobiet.

Catrin przybyła nad Tamizę z głębokiej, walijskiej prowincji, ma dryg do wymyślenia żeńskich dialogów w duchu pożądanego przez urzędników ministerstwa informacji „optymistycznego autentyzmu”. A gazety rozpisują się o siostrach bliźniaczkach, które popłynęły kutrem ojca do Dunkierki, by ratować rodaków od szkopskiej niewoli. Sam premier Churchill jest zainteresowany, by tę rozpaczliwą rejteradę przedstawić jako moralne zwycięstwo. Na reżyserskim krześle zasiada więc ambitny Węgier. Pomaga mu scenarzysta, powtarzający za Hitchcockiem, że „film jest jak życie, z którego wycięto wszystkie nudne fragmenty”. Catrin dostaje zaś zlecenie na duże ilości gadki szmatki.

Składając hołd dawnemu kinu, twórcy postawili na staroświeckie poczucie humoru, jeszcze sprzed epoki Monty Pythona. Najlepiej w tej konwencji odnalazł się Bill Nighy, grający narcyzowatego aktora. Rzecz jasna w chwili próby on też okaże się porządnym facetem. W „Zwyczajnej dziewczynie” jest tylko jeden negatywny bohater: z poglądów lewak, z zawodu pacykarz. O tym, że artyści nie zasługują na zaufanie, wiemy jednak lepiej niż Brytyjczycy. ©©



OPERA: „UMARŁE MIASTO”

10 czerwca kolejna premiera Mariusza Trelińskiego! W Teatrze Wielkim-Operze Narodowej „Umarłe miasto” skomponowane w roku 1920, przez ówczesnego 23-latkę Ericha Wolfganga Korngolda, „genialnego chłopca”, który później zrobi wielką karierę w Hollywood, uwieńczoną dwoma Oscarami. Libretto oparte zostało na powieści Georgesa

Rodenbacha „Bruges-la-Morte” (1892). Za scenografię odpowiada tradycyjnemu Boris Kuddlička. W głównej roli, Paula – zrozpaczonego po śmierci ukochanej kobiety – zobaczymy Jacka Laszczkowskiego, obdarzonego talentem nie tylko wokalnym, lecz także aktorskim, pamiętnego niechlujnego lubieżnego Heroda z zeszlórocznej „Salome”.

Opowieść, łącząca elementy kryminału i romansu, penetrująca psychikę zbolalogo bohatera, żyjącego między jawą a halucynacją, zdaje się dobrze współgrać z ostatnimi poszukiwaniami artystycznymi Trelińskiego. Zapowiada się wydarzenie. ©© (a)
• Erich Wolfgang Korngold „Umarłe miasto”, reż. Mariusz Treliński

Cieżarna na dachu

Konflikt pokoleń na wesoło. Konserwatywna latorośl próbuje dojść do ładu z rozrywkowymi rodzicami. Nic odkrywczego, Mroźek przewidział taki kierunek rozwoju zachodniej cywilizacji już ponad pół wieku temu.

Jednak 30-letnia Avril chyba „Tanga” nie zna, skoro z poświęceniem godnym lepszej sprawy matkuje swojej matce, która nosi się i zachowuje jak nastolatka. Tatuś, żeby przedłużyć sobie młodość, został artystą, a małżonek permanentnie zmagający się z doktoratem wymaga ciągłych dotacji. Radość z powodu zbliżającego się rozwiązania psuje zaś wiadomość, że również Mado rośnie brzuszkiem.



★★★★★
REŻ. NOÉMIE SAGLIO
„MAMY 2 MAMY”
(„TÊLE MEME, TELLE FILLIE”)
FRANCJA 2017

wyst. Juliette Binoche, Camille Cottin, Lambert Wilson

Przez pierwsze pół godziny jest to nawet zabawne, lecz potem okręt, dowodzony przez Noémie Saglio, zaczyna dryfować i wpada na rafy banału. Problemem są bohaterowie, zbyt groteskowi, by można im kibicować. A za odkrycie, że z rodziną trudno, lecz bez rodziny nudno, Oscarów ani Cezarów raczej nie przyznają.

Dodatkowa gwiazdka należy się za dziarską ścieżkę dźwiękową. O zapachowej zapomniano, dzięki czemu łatwiej jest znieść toaletowe dowcipy. W sumie – rzecz błaża, lecz nieszkodliwa. Nawet dla lekarzy, którzy minęli się z powołaniem, i kobiet w zaawansowanej ciąży. ©©

Wiesław Chełminiak



FOT. MATERIAŁY PRASOWE

SERCE PYSZAŁKA

Dawna gwiazda serialu telewizyjnego wraca po latach na wyspę Man (gdzie serial kręcono), by pomóc policji. Tajemniczy zabójca chce bowiem rozmawiać jedynie ze słynnym Mindhornem, uważając go najwyraźniej za postać prawdziwą. Stary, pyszałkawy aktor podejmuje się zadania – nic innego mu nie pozostało, bo jego

kariera leży w gruzach, a porzucenie popularnej serii przed laty (i obrażenie przy okazji wszystkich, z którymi współpracował) było najgłupszą decyzją w jego życiu. Oprócz intrygi kryminalnej dostajemy więc także opowieść o człowieku, który próbuje (nieudolnie, ale jednak) odkupić dawne winy. Skromny, zabawny film z zaskakującymi (i bardzo śmiesznymi) występami gościnnymi gwiazd: Kennetha Branagha oraz Steve'a Coogana. Jedna z niezależnych produkcji, które niespodziewanie otrzymały szansę na szerszą dystrybucję dzięki zakupieniu jej przez serwis streamingowy Netflix.



wyst. Essie Davis, Andrea Riseborough, Julian Barratt

★★★★★
REŻ. SEAN FOLEY
„MINDHORN”
WIELKA
BRYTANIA 2016,
NETFLIX

ŻLI LUDZIE ZZA MURU

Sierżant Zawada (Więckiewicz) obejmuje dowództwo nad konwojem z niebezpiecznym więźniem – pedofilem, który zabił dwóch więziennych strażników. Nie jest to zwykły przewóz. Więzień ma bowiem nie trafić na miejsce. Intrygę uknuł dyrektor więzienia (Gajos). Pech chce, że wśród konwojentów jest jego zięć (Ziętek). Sytuacja mocno

się komplikuje, ale nikt nie będzie chciał zrezygnować ze swoich planów. Skrzyżowanie kryminału i filmu psychologicznego. Niezbyt udane, bo jak na kryminał opowiedziane zbyt jednostajnie, a jak na psychodramę zbyt płytkie. Na nic ładne zdjęcia i dobra gra aktorska, kiedy emocji brak. Największym grzechem jest jednak marsz w poprzek oczekiwań widzów. Kiedy gazety pełne są doniesień o zbyt pochopnie wypuszczonych mordercach, publika bardziej czeka na opowieści o karaniu bandziorów niż na sugestie, że stróż prawa to niemal bez wyjątku kanalie.

©© recenzuje Piotr Gociak



wyst. Robert Więckiewicz, Janusz Gajos, Przemysław Bluszczyński, Tomasz Ziętek

★★★★★
REŻ. MACIEJ ŻAK
„KONWOJ”
POLSKA 2016,
KINO ŚWIAT

GRA TYGODNIA: „THE LONG JOURNEY HOME”

W odległej przyszłości ludzkość dokonuje przełomowego odkrycia napędu nadświetlnego. Nowe galaktyki stoją otworem, ale – tak jak w każdej podróży w nieznane – ktoś musi przełamać szlaki. Wybór pada na twoją kilkusobową załogę, a pech sprawia, że w wyniku awarii skok kończy się

w niezbadanym rejonie wszechświata. Tutaj zaczyna się prawdziwa przygoda – walka o surowce, badanie nowych planet, handel i walka z niekoniecznie przyjaznymi obcymi. Plusy? Różnorodność generowanego proceduralnie wszechświata, muzyka i klimat. Minusy? Przeciętna grafika, nużące



FOT. MATERIAŁY PRASOWE

minigry, losowość w walce z przeciwnikami. ©© **Marcin Makowski**

- **Gatunek:** Akcja/symulator
- **Platforma:** PC
- **Producent, dystrybutor:** Daedalic/Techland
- **Kwalifikacja wiekowa PEGI:** 16+

KRZYSZTOF
MASŁOŃ

MOJA PÓŁKA

Nauki porucznika Ładniaka

Z autorem „Czerwonych pajaków” pracowaliśmy razem w „Rzeczpospolitej”, która w dobrych swoich latach wydawała rozmaite dodatki i w jednym z nich, opowiadającym o PRL, Józef Ruszar opublikował wspomnieniowy tekst zatytułowany „Powitanie na siódmej kompanii”. Po lekturze – jak mawiał Tadeusz Konwicki – padłem na wznak. Oto jak wyglądało to „powitanie” szeregowego Ruszara w 36. Łużyckim Pułku Zmechanizowanym w Trzebiatowie. Był 20 sierpnia 1978 r. Po przepisowym zameldowaniu się u dowódcy ten podał mu rękę i grzecznie się przedstawił: „Jestem porucznik Ładniak, pseudo »Chuj«”.

No, czegoś takiego łatwo się nie zapomina. Toteż fraza ta nie opuszczała mnie przez cały miniony czas, od kiedy – zdumiony – dowiedziałem się, że autor ma gotową książkę, a to dlaczego, zamiast ją drukować, wydaje uczone rozprawy o religijnych i metafizycznych wątkach w twórczości Zbigniewa Herberta, pozostaje jego słodką tajemnicą. Nie żebym miał coś przeciwko takim książkom jak „Stróż brata swego” i „Apostoł w podróży służbowej”, ale naprawdę bardzo chciałem poznać całość „Czerwonych pajaków”, co nareszcie nastąpiło.

„Prawdę powiedziawszy – przyznaje Ruszar w posłowie – chyba przegapiłem aktualność tej książki. Gdybym ją wydał w 1985 r., byłaby na czasie i mógłbym czytać odcinki w Radiu Wolna Europa. Teraz jest tylko dokumentem minionej epoki. Tym lepiej”.

„Czerwone pajaki” kozacko się zaczynają i tak samo się kończą – za sprawą tegoż samego por. Ładniaka, wspomnianego przez autora, już po przebraniu się w cywilne ciuchy. „Ładniak ciągle mi mówił, że nie wiadomo, kiedy wyjdę ani czy w ogóle wyjdę, bo nie ma decyzji, że mam służyć tylko rok. Może będę



FOT. GRZEGORZ JAKUBOWSKI/PAP

dosługiwać drugi, skoro jestem szeregowcem. Musiał mieć frajdę”. Miał też ów Ładniak poczucie obowiązku i dlatego pouczał swego podwładnego:

„– Wy, kurwa, Ruszar, dostaniecie w pizdę i zrozumiecie – mówi do mnie Ładniak.

– Tak jest, obywatelu poruczniku! – odpowiadam służbiście. – Jasne, że zrozumiałem.

Ciągle go słyszę i rozumiem”.

Słowa te zapisał Józef Maria Ruszar w końcu lipca 1979 r., na wakacjach w Kazimierzu. O Trzebiatowie mógł z wolna zapominać, co jednak okazało się niemożliwe, bo też służba wojskowa Ruszara różniła się od typowego pójścia w kamasze. Autor „Czerwonych pajaków” miał za sobą studia polonistyczne, zdążył także pobierać nauki na filozofii na Papieskim Wydziale Teologicznym w Krakowie, gdy nagle przypomniało sobie o nim wojsko, co samo w sobie mogło wydawać się naturalne. Ruszar powinien trafić do Szkoły Oficerów Rezerwy, tam otrzymać tytuł podchorążego, po zakończeniu kursu zdać egzamin

oficerski, odbyć półroczną praktykę i zostać przeniesiony do rezerwy z mianowaniem na pierwszy stopień oficerski – podporucznika.

Z Ruszarem stało się inaczej. Wysłano go do SOR w Elblągu, ale po miesiącu pozbawiono stopnia podchorążego i skierowano do Trzebiatowa do odbycia zasadniczej służby wojskowej. Najprawdopodobniej zastosowano wobec niego paragraf dotyczący możliwości wydalenia ze szkoły podchorążego „w razie uzyskiwania niedostatecznych postępów w nauce, rażącego zaniedbywania innych obowiązków służbowych albo popełnienia czynu nieliczącego z godnością i honorem żołnierza lub naruszającego zasady moralności socjalistycznej”. Z moralnością Józef Maria Ruszar nie był może na bakier, za to z socjalizmem – i owszem. Był jednym z założycieli Studenckiego Komitetu Solidarności, działaczem Duszpasterstwa Akademickiego w Krakowie, współorganizatorem protestów po śmierci Stanisława Pyjasa. W wojskowych papierach dopisano mu również współpracę z KOR i redagowanie podziemnego „Robotnika”. Nie, stanowczo autor „Czerwonych pajaków” nie zasłużył na to, by zostać oficerem Ludowego Wojska Polskiego. I nie został, a zasadniczą służbę wojskową – szczęśliwie trwającą rok, a nie dłużej, jak obiecywał mu por. Ładniak – przeżył.

A w swoim dzienniku, powstającym na bieżąco i wysyłanym w kawałkach, listownie na tajne adresy, bo rodzina znajdowała się pod lupą SB, opowiedział o świecie nierozpoznanym przez PRL-owskiego inteligenta. Ruszar pojął, że – mimo wszystko – trafia mu się wyjątkowa okazja, poczuł się „jak badacz w batyskafie, obserwujący egzotyczny świat podwodnych potworów” i wyciągnął z tego odpowiednie wnioski. Tak powstały „Czerwone pajaki”. ©©



★★★★★
**JÓZEF MARIA
RUSZAR**
„CZERWONE
PAJAKI. DZIENNIK
ŻOŁNIERZA LWP”
IPN,
WARSZAWA 2017



PIOTR GOCIEK

POCZYTANKI

Chwat Gnat i jego świat

Aż nie wiem, od czego zacząć – w zwodniczo prostym komiksie Jeffa Smitha kryje się bogactwo, które trudno ogarnąć. To wspaniały dowód na to, jak wiele można osiągnąć, gdy zamiast oglądać się za tym, co modne, artysta uruchamia wszystkie pokłady wyobraźni i daje sobie pełną wolność kreacji. Publikowana nieregularnie w latach 1991–2004 seria ukazywała się początkowo w niewielkim niezależnym wydawnictwie. Nikt nie miał nic do stracenia, nikt nie musiał się nikomu podlizywać ani szacować przyszłych wpływów obiecanych księgowym.

Bezczelnie słodkie i odświeżające było już samo stworzenie bohatera. Tytułowy „Gnat” (w oryginale „Bone”) to dziwny biały stworek, który przypomina trochę postacie z klasyki Disneya, a trochę przyjaznego duszka Kacpra. Poznajemy go w chwili, gdy wygnany z rodzinnego miasteczka wraz z dwójką kuzynów gubi się na bezdrożach przedziwnego świata, który jest czystą fantazją. W świecie tym łatwo o smoka uwielbionego bawić się w chowanego, ciekawe dysputy prowadzić można z małymi napotkanymi w lesie robaczkami,

unikając należy krwiożerczych szczurostworów, a kiedy człowiekowi (pardon, Gnatowi) zimno, zawsze może liczyć na panią Oposową, która zrobi mu na drutach ciepłą czapkę.

Pomiędzy tą baśniową menażerią żyją także ludzie, daleko odbiegający od typowych bohaterów fantasy. Piękna Zadra wygląda co prawda jak ślicznotka z opowieści magii i miecza, ale jej Babcia Ben bierze udział w wyścigach krów i wygląda jak opryszek. Długo by opowiadać – całość przypomina bardzo kolorowy, bardzo zabawny i nieustannie zaskakujący surrealistyczny sen. Strona graficzna jest urzekająca, Jeff Smith zasłużył na miejsce w jednym szeregu z takimi tuzami komiksu jak Albert Uderzo, który narysował Asterixa. Równie dobry jest jednak scenariusz – historie o Gnacie i jego przyjaciółkach, podobnie jak słynne „Fistaszki” Charlesa M. Schultza, to świetne połączenie komedii charakterów i humoru sytuacyjnego.



★★★★★
JEFF SMITH
„GNAT. DOLINA,
CZYLI RÓWNONOC
WIOSENNA”
EGMONT 2017

Wszystko to przepełnione jest ciepłem, nawet czarne charaktery okazują się dobrodusze lub przynajmniej sympatyczne. Dawno żadna lektura nie poprawiała mi tak bardzo humoru. To komiks, który pokochają i dzieci, i rodzice. Potraktujcie więc te kilka słów jako nieco spóźnioną rekomendację na Dzień Dziecka. ©©

NOWOŚCI KSIĄŻKOWE:

„O jednym takim, któremu ukradziono słońce” to podtytuł biografii. Przed wojną wielka gwiazda, po wojnie umieszczony przez komunistów na liście autorów „książek szkodliwych”, ojciec Koziołka Matołka wygrał wojnę o pamięć.



MARIUSZ
URBANEK
„MAKUSZYŃSKI”
WYDAWNICTWO
CZARNE

Scena po scenie ostatni z żyjących twórców słynnego serialu objaśnia rzeczy niezrozumiałe dla dzisiejszego widza i aluzje, które mogły ująć uwagę nawet tych, którzy dobrze pamiętają życie codzienne PRL.



JANUSZ PŁOŃSKI
„ALTERNATYWY 4.
PRZEWODNIK
PO SERIALU
I RZECZYWISTOŚCI”
EDIPRESSE

Historycy IPN opowiadają o walce o rząd dusz między reżimem Jaruzelskiego a Solidarnością w latach 80. Weryfikacja i zwolnienia niewygodnych dziennikarzy, zastrzona cenzura w mediach, wojskowi komisarze w telewizji.



GRZEGORZ
MAJCHRZAK,
SEBASTIAN
LIGARSKI
„WOJNA O ETÉR”
ZNAK

Nowa powieść autora „Klubu Dumas” i serii o kpt. Alatriście. Koniec XVIII stulecia – dwóch śmiałków z Madrytu wyrusza w misję specjalną. Ich celem jest zdobycie egzemplarza francuskiej „Encyklopedii”. ©©

poleca Piotr Gociek



ARTURO
PÉREZ-REVERTE
„MISJA:
ENCYKLOPEDIA”
ZNAK

BESTSELLERY KSIĄŻKOWE:

1. **Marta Dymek „Nowa jadalnia” (Marginesy)** – roślinne przepisy z całego świata. Nowa książka specjalistki od kuchni wegańskiej i wegetariańskiej.
2. **Katarzyna Michalak „Czerwień jarzębin” (Znak)** – bestseller literatury kobiecej, drugi tom „Leśnej Trylogii” zapoczątkowanej powieścią „Leśna polana”.
3. **Paula Hawkins „Zapamiętane w wodzie” (Świat Książki)** – nowa powieść autorki największego bestsellera ostatnich lat, czyli „Dziewczyny z ciążą”.
4. **Joanna Bątkiewicz-Brożek „Jezu, Ty się tym zajmij!” (Esprit)** – biografia mistyka o. Dolindo Ruotolo, szczególnie cenionego przez o. Pía.
5. **Charlotte Link „Oszukana” (Sonia Draga)** – nowy kryminał niemieckiej autorki, której przybyło fanów po jej wizycie na Warszawskich Targach Książki.

(Najchętniej kupowane książki w internetowej księgarni Bonito.pl)



KONTRA/BASEM

Pieśń i wspólnota

Dorastałem w Częstochowie, gdzie za oknami słyszałem ciągnącą na Jasną Górę pielgrzymki. Mocne głosy kobiet i mężczyzn śpiewające Najświętszej Panience, naprzemiennie z orkiestrą dętą, oznaczały, że oto idzie „kompania” z Łowicza, Gliwicz lub Kalisza. To był czas, gdy koło naszego domu, w ciężarówkach z odkrytą plandeką, przejeżdżało wojsko (chłopcy z powszechnego poboru). Chociaż melodie piosenek trudno było ustalić, to też był śpiew. Wspólnotowa pieśń we wszystkich kulturach towarzyszy ludziom od zawsze. Szczególnie podczas obrzędów, sakralnych rytuałów, w chwilach uroczystych, ważnych dla całej społeczności. Śpiew w sposób naturalny pojawia się wtedy,

gdy słowa same już nie wystarczą, gdy mowa nie jest w stanie wyrazić uniesienia, szczęścia, dumy, radości.

Na rodzinnych imprezach, weselach, urodzinach, jubileuszach spontanicznie zrywamy się do śpiewu, ciesząc się z przeżywanego święta i bycia razem. Zoltán Kodály, wybitny kompozytor węgierski, twórca muzycznej pedagogiki (którego dzieła przypominają w tym tygodniu katowicka NOSPR), zauważa, że pierwszą, naturalną, wspólną aktywnością małych dzieci, zanim cokolwiek potrafią razem zrobić, jest śpiew. Dzisiaj wspólne śpiewanie zanika. Jedną z przyczyn jest powszechna dostępność muzyki odtwarzanej, co ustawia nas w roli konsumentów, a nie wykonawców. Coraz mniej jest okazji do śpiewa-

nia w życiu współczesnych mikro-rodzin. Szkoły też zredukowały wspólny śpiew, a ci, którzy nie mają za sobą doświadczenia zaangażowania w chóry, oazę, harcerstwo, parafialne schola czy turystyczne grupy, praktycznie nie mają okazji, by razem zaśpiewać.

Czwartek 15 czerwca dla wielu z nas to uroczystość Bożego Ciała, uczestnictwo w procesji i okazja do publicznej modlitwy śpiewem. Już teraz, z wyprzedzeniem, zawiadamiam o wspólnej akcji tygodników katolickich, które przygotowują śpiewnik z pieśniami na procesję eucharystyczną (także do pobrania na smartfony). Głosmy światu naszą wiarę nie tylko trzeszczącym megafonem, lecz także wspólnym potężnym śpiewem. © ©



Na ten rok przypada jubileusz 700-lecia ustanowienia procesji Bożego Ciała w Kościele powszechnym. Procesja Bożego Ciała w Świętochłowicach-Lipinach, 2016 r. FOT. ŁUKASZ KALINOWSKI/EAST NEWS



GRZEGORZ BRZÓZOWICZ

NA SŁUCH

Made in El-Poland

To pionierskie dzieło złożone z 200-stronicowej książki i dwóch kompaktów dokumentuje dokonania twórców szeroko rozumianej elektronicznej muzyki popularnej.

Pojęcia „antologia” użyto na wyrost, bo książka opisuje zjawisko tylko do 1989 r. Brakuje też artystów skupionych wokół Studia Eksperymentalnego Polskiego Radia oraz wykonawców rockowego podziemia. Nie jest to błąd, tylko świadoma decyzja Marka Horodniczego, redaktora projektu, o czym pisze we wstępie. Dziewięciu autorów skupiło się na muzykach, których promował w audycjach radiowych Jerzy Kordowicz – twórca pojęcia „el-muzyki”.

Wydawnictwo NCK opisuje zjawisko w sposób rzeczowy, przy-

bliża twórczość muzyków mniej znanych (Andrzej Korzyński, Mikołaj Hertel, Krzysztof Duda) i dokonania jazzmanów (Adam Makowicz, Janusz Grzywacz). Przedstawia też syntezatory dźwięku, zawiera wywiad z Jerzym Kordowiczem, a na kompaktach znajdziemy wcześniej niepublikowane nagrania.

Problem w tym, że dokonania rodzimych twórców tego gatunku nie są imponujące. Tylko album „Katharsis” Czesława Niemena z 1976 r. oraz filmowe nagrania Korzyńskiego można uznać za nowatorskie. Pozostali muzycy kopiowali zachodnich mistrzów. W latach 80. muzykę pop zdominowały syntetyczne brzmienia. Niestety, w polskim wykonaniu (Papa Dance, Kombi, Kapitan Nemo itd.) już wówczas budziły zażenowanie. © ©



★★★★★
RED. MAREK
CHORODNICZY
„ANTOLOGIA
POLSKIEJ MUZYKI
ELEKTRONICZNEJ”
NCK



★★★★★
WOJTEK PILICHOWSKI
„25 LAT. KONCERT
W TRÓJCE”
POLSKIE RADIO
Jubileuszowy koncert
muzyka, którego

basówka rozbrzmiewa na ponad 200 albumach. Jak nikt inny czuje puls funku, ale też równie łatwo porusza się w jazzie i popie. Wśród gości: Kasia Kowalska, Natalia Kukulska, Jan Borysewicz, Marcin Nowakowski i zespół WoobieDoobie. © ©



★★★★★
NICK CAVE
& THE BAD SEEDS
„LOVELY CREATURES
– THE BEST OF”
MUTE/BMG
Dwukompaktowe

wydawnictwo dokumentujące 30 lat (1984–2014) twórczości jednego z najważniejszych zespołów w ogóle. Przez The Bad Seeds przewinęło się 14 muzyków i tylko Cave był w nim zawsze. 21 wybitnych piosenek. © ©

MATEUSZ KOŚCIUKIEWICZ SEBASTIAN FABIAŃSKI KAROLINA SZYMCAK ERYK LUBOS MAGDALENA CIELECKA MARIAN DZIĘDZIEL PAWEŁ DELĄG WOJCIECH MECWALDOWSKI ALEKSANDRA GINTROWSKA ADAM WORONOWICZ



GWIAZDY

WIELKA PIŁKA I WIELKA MIŁOŚĆ

FILM POINT GROUP w koprodukcji z NARODOWYM CENTRUM KULTURY, DOMEM MUZYKI I TAŃCA w ZABRZU, TELEWIZJĄ POLSKĄ, NARODOWYM INSTYTUTEM AUDIOWIZUALNYM, INSTYTUCJĄ FILMOWĄ SILESIA FILM w KATOWICACH, LIGHTCRAFT w koprodukcji z POLSKIM INSTYTUTEM SZTUKI FILMOWEJ
 MIASTO ZABRZE PRZEDSTAWIA FILM GWIAZDY, W GŁÓWNYCH RÓLACH JAN KŁAWA-BŁONSKI, MICHAŁ ENGLERT, PRODUKCYJNIE MARIUSZ WARCHOL, ANDRZEJ SERONIKOW, PRODUKCYJNIE WYDARZENIE TERESA DUBOZIECKA, MARIUSZ WARCHOL, SCENARIUSZ JACEK KONDRACZ, JAN KŁAWA-BŁONSKI
 W ROLACH GŁÓWNYCH: MATEUSZ KOŚCIUKIEWICZ, SEBASTIAN FABIAŃSKI, KAROLINA SZYMCAK, ALEKSANDRA GINTROWSKA, MAGDALENA CIELECKA, ERYK LUBOS, PAWEŁ DELĄG, ADAM WORONOWICZ, MARIAN DZIĘDZIEL, ROBERT TALARCZYK
 ZE SPECJALNYM WIDULEM: GRAŻYNY TORGOCKE I VITTORIA PASZTA, REŻEROWANIE: PRODUKCYJNIE MARIUSZ WARCHOL, KASTING: KŁAWA-BŁONSKI, CHARAKTERYZACJA: MARIUSZ WARCHOL, WYDZIAŁ: KAROLINA SZYMCAK, SCENARIUSZ: ELWIRA PLUTA
 REŻYSER: DARIUSZ KOŃCZAK, MONTAŻ: JANEK KŁAWA-BŁONSKI JR., MUZYKA: DARIUSZ KOŃCZAK, PIOTR LUGOWSKI, DYSTRYBUCJA: KINO ŚWIAT

FILM POINT GROUP KINO POLSKI I TAŃCA TVP1 SILESIA FILM LIGHTCRAFT ZABRZE KINO ŚWIAT

W KINACH



Łukasz Warzecha

Są dziś trzy narracje w sprawie katastrofy smoleńskiej – nonszalancka, poszukująca faktów i mityczna. A pamięć o katastrofie powinna być wspólna

Smoleńsk musi być pamięcią wspólną – mówił w Łodzi 19 maja Jarosław Kaczyński, gdy przy tamtejszej archikatedrze odsłaniano pomnik smoleński. Monument w obecnej sytuacji unikatowy, ponieważ upamiętniający wszystkie ofiary tragedii, bez rozbicia na funkcje czy partyjne przynależności. Kamery uchwyciły też niespotykaną dziś sytuację: przemawiającego Kaczyńskiego oklaskiwała, stojąca za jego plecami, prezydent Łodzi Hanna Zdanowska z Platformy Obywatelskiej. Inicjatorem budowy pomnika (którego prosta i symboliczna forma odróżnia od wielu smoleńskich koszmaków, powstałych w różnych miejscach) był były metropolita łódzki (obecnie krakowski) – abp Marek Jędraszewski.

Wcześniej w łódzkiej archikatedrze doszło do symbolicznej sytuacji. Msza z okazji odsłonięcia pomnika nieco się opóźniła. W ławach z przodu kościoła czekał już wicepremier Piotr Gliński. Po kilkunastu minutach dołączył do niego, wychodzący z zakrystii, Jarosław Kaczyński. Jego pojawienie się wywołało pewne poruszenie jedynie wśród fotoreporterów, ale nie wśród zgromadzonych. Kilka minut później od strony głównego wejścia do świątyni rozległy się chrzest i hałas. Do kościoła wchodził minister obrony Antoni Macierewicz w asyście żołnierzy. Powitała go burza oklasków. Nic dziwnego, bo jeśli ktokolwiek zbudował dzięki katastrofie smoleńskiej swoją polityczną pozycję, to właśnie szef MON.

RÓŻNE OBAWY

Ponad siedem lat po śmierci 96 osób lecących do Katynia wcale nie wygląda na to, żebyśmy zbliżyli się do wyjaśnienia przyczyn tragedii. I być może w ogóle żadnej ze stron politycznego sporu nie o to chodzi. Jedna boi się ostatecznych wniosków, a dopóki ich nie ma, dopóty może szermować obłudnym oskarżeniem



Smoleńsk: trzy

o „robienie polityki na trumnach”. Druga może się obawiać, że na końcu drogi nie ma tego, co się stało fundamentem mitu, że nie ma tam wcale zamachu, wpływu „osób trzech”, ale zwykłe polskie niedbalstwo, ruska bylejałość i lekceważenie polskiego prezydenta. Nic ponadto.

Politycy PiS wielokrotnie powtarzali – przy czym znacznie częściej przed obciążeniem władzy niż po nim – że wyjaśnienie sprawy Smoleńska jest warunkiem naprawy polskiego państwa. Wielokrotnie z tym stwierdzeniem się nie zgadzałem. Owszem, wyjaśnienie przyczyn katastrofy oraz poczynania władzy po niej

jest niezbędne, aby przywrócić poczucie sprawiedliwości. Ma to taki sam wymiar jak – w teorii prawa od czasów Kanta – wymierzenie sprawiedliwej kary przestępcy, by – jak to określał królewiecki filozof – przywrócić równowagę moralną. Jednak fałszywe jest przekonanie, że dzięki samemu wyjaśnieniu katastrofy polskie państwo zostanie naprawione. Ba, trudno nawet uznać, by było to niezbędny warunek jego naprawy.

Natomiast, owszem, analiza katastrofy – tego, jak do niej doszło i co się stało później – może wskazać, które mechanizmy zawiodły, a więc co trzeba zmienić.



opowieści

Takich wniosków mamy już całkiem sporo. Wiemy choćby – głównie dzięki pracy dziennikarzy śledczych Pawła Reszki i Michała Majewskiego (ten ostatni dziś już niestety poza zawodem) – o dezorganizacji w nieistniejącym już, rozwiązanej przez Tomasza Siemoniaka 36. Specjalnym Pułku Lotnictwa Transportowego.

Wiemy o tym, do jakiego stopnia z przygotowaniem wizyty prezydenta w Smoleńsku nie poradziło sobie Biuro Ochrony Rządu, i wiemy, że nie była to wina szeregowych funkcjonariuszy tej formacji. Wiemy, że już po katastrofie polskie władze, z Donaldem Tuskiem na

czele, były dramatycznie nieprzygotowane do roli, jaką musiały odegrać. Nieprzygotowane pod każdym względem – od psychologicznego rozpoznania rosyjskich partnerów poczynawszy, na rozeznaniu dostępnych prawnych dróg postępowania skończywszy. Nie chodzi tu nawet o to, czy Tusk i jego koledzy mieliby wolę z tych informacji skorzystać – być może nie – ale nie mieli nawet takiej teoretycznej możliwości. Nie zadbano o nią.

Wiemy wreszcie – a na jaw w związku z ekshumacjami wychodzą właśnie kolejne wstrząsające fakty tego dotyczące – jak skandalicznie potraktowano szczątki

ofiar i do jakiego stopnia polska strona nie była w stanie dopilnować najprostszych nawet czynności, wykonywanych przez stronę rosyjską.

Ta wiedza mogłaby się stać podstawą działań naprawczych państwa polskiego, bo wynikają z niej bardzo konkretne wnioski. Ot, choćby taki, że na wypadek sytuacji kryzysowych – niekoniecznie tak dramatycznych jak ta z 10 kwietnia – przy premierze powinien działać zespół kompetentnych doradców, gotowych w każdej chwili zająć się najważniejszymi kwestiami – od uwarunkowań prawnych na gruncie prawa międzynarodowego do wiedzy o słabych i mocnych stronach zagranicznych partnerów, z którymi przyjdzie rozmawiać.

MITOLOGIA PRZED KONKRETEM

Problem w tym, że wyciąganie takich wniosków jest trudne, jeżeli nie niemożliwe, gdy wiodą prym mitologia oraz granie na najniższych emocjach, a nie konkret. Gra na prymitywnych emocjach zaczęła się wkrótce po katastrofie, najpóźniej wówczas, gdy w rozmowie z Bronisławem Komorowskim, pełniącym obowiązki prezydentem, Paweł Wroński z „Gazety Wyborczej” zapytał, jak długo krzyż będzie jeszcze stał na Krakowskim Przedmieściu przed Pałacem Prezydenckim. Wywołany do tablicy Komorowski zapowiedział, że „coś z tym trzeba będzie zrobić”, i dalej już poszło. Inna sprawa, że z perspektywy dzisiejszej wiedzy obrona krzyża może wyglądać na część zaplanowanej akcji, mającej dać impuls wrogiej PiS, radykalnej grupie wyborców.

Innym przykładem konkretnego są wspomniane już artykuły Reszki i Majewskiego. „Kto dopuścił do tego, że w elitarnym pułku najbardziej doświadczonymi kapitanami byli oficerowie ze stażem dowódczym mniejszym niż dwa lata?” – pytali dziennikarze w tekście opublikowanym w „Rzeczpospolitej” w maju 2010 r. I stwierdzali: „Arkadiusz Protasiuk, choć spędził ledwie 445 godzin jako dowódca Tu-154M, był najbardziej doświadczonym pierwszym pilotem tego samolotu w całym pułku”.

Problem w tym, że podawane przez Reszkę i Majewskiego fakty były niewygodne dla obu stron. Siemoniak wolał zamieścić problem pod dywan, po prostu rozwiązując 36. SPLT, pozbywając się zarazem ludzi, którzy mogli dać świadectwo dyletanctwa jego poprzednika, Bogdana Klicha. PiS z kolei wolał się ustaleniom

■ dziennikarzy śledczych zbyt blisko nie przyglądać, bo – po pierwsze – w części obciążały one gen. Andrzeja Błasika, który stał się jednym z symboli smoleńskiej katastrofy i w mitologii partii dziś rządzącej zajął istotne miejsce, a po drugie – przeczyły przyjętej przez PiS dość szybko po katastrofie linii, zgodnie z którą wojsko zostało całkowicie zwolnione z odpowiedzialności. Trudno znaleźć wypowiedzi polityków Prawa i Sprawiedliwości, w których wskazywaliby na współodpowiedzialność ówczesnego dowódcy Sił Powietrznych czy – bardziej ogólnie – dowódców wojskowych, którzy dopuścili do dramatycznej sytuacji w jednostce odpowiedzialnej za transport najważniejszych osób w państwie.

Obóz obecnej opozycji od początku oskarżał polityków PiS o upolitycznianie katastrofy. To oskarżenie z gruntu obłudne, ponieważ katastrofa wydarzyła się w politycznym kontekście bezwzględnej rywalizacji Donalda Tuska z Lechem Kaczyńskim, a wszystko, co było po niej – włącznie z decyzją, aby uznać lot samolotu z prezydentem za cywilny, a nie wojskowy – było również decyzją stricte polityczną. Katastrofa jest wprost zanurzona w polityce i nie da się jej od polityki oddzielić. Tak jak nie da się zdjąć z polityków Platformy odpowiedzialności za fatalne w skutkach decyzje (Donald Tusk) czy publicznie głoszone kłamstwa (Ewa Kopacz).

TRZY NARRACJE

W przypadku katastrofy smoleńskiej mamy od siedmiu lat trzy równoległe tworzone opowieści. Pierwsza, najprostsza i najbardziej fałszywa, to opowieść obecnej opozycji. Według niej mieliśmy do czynienia z oczywistym wypadkiem, za który winę ponoszą piloci i może w jakimś stopniu rosyjscy kontrolerzy. Nie ma powodu, aby sprawę drażyć. Zamknął ją raport Millera.

Druga opowieść, najmniej popularna, to ta opowiadana przez smoleńskich agnostyków. Stara się skupiać na możliwych do udowodnienia faktach, nie poprzestając na oficjalnych wyjaśnieniach, ale też starając się dochodzić do wytłumaczenia bez przyjmowania z góry żadnej tezy. Ta opowieść, z założenia sceptyczna, przebija się najsłabiej, bo zajmuje miejsce pomiędzy dwiema skrajnymi narracjami, znacznie wyrazistszymi i wywołującymi wielkie emocje. A w cenie są dziś właśnie głównie emocje.

Trzecia opowieść to ta mitologiczna, w której pozostaje niewiele miejsca na wątpliwości co do udziału jakiegoś czynnika zewnętrznego. Głosi ją PiS, w którym zapadła strategiczna decyzja, aby przekuć katastrofę smoleńską na mit fundacyjny IV RP. Mit zaś ma to do siebie, że fakty muszą czasami ustępować miejsca z góry przyjętej wersji.

W tej opowieści zatem gdzieś w tle cały czas przewija się teza o zamachu, ale też wpisane są w nią wewnętrzne sprzeczności. Podstawowa to ta, że poszczególne tezy dotyczące przyczyn katastrofy właściwie się wykluczają. Jeśli mieliśmy do czynienia z zamachem, to po co rosyjscy kontrolerzy mieliby celowo źle naprowadzać maszynę? Jeśli naprowadzali ją celowo źle, to gdzie miejsce na zamach dokonany za pomocą ładunku wybuchowego? Jeśli z kolei uwzględnić – czego zwolennicy tej

**Obóz obecnej opozycji
od początku oskarżał
polityków PiS
o upolitycznianie katastrofy**

opowieści raczej nie robią, ale załóżmy przez moment, że i to się może zdarzyć – dowiedziony przez dziennikarzy śledczych czynnik bałaganu w polskim wojsku, który przyczynił się do katastrofy, tak jak w przypadku casy dwa lata wcześniej, to gdzie miejsce na celową dezinformację rosyjskich kontrolerów i bombę na pokładzie? Jednak, jak to z mitami bywa, jego zwolennicy nie zwracają sobie głowy takimi pytaniami.

NAUKOWCY ZAKŁADNIKAMI

Ciekawa jest w tym wszystkim sytuacja naukowców, którzy w geście niezgody na rządową, wygładzoną wersję zdecydowali się kilka lat temu zaoferować swoją wiedzę ówczesnej opozycji. Działając w zespole Antoniego Macierewicza, wskazywali na wiele wad i niespójności oficjalnej narracji, często zresztą spotykając się z ostracyzmem albo stawiając czoło donosom. Z czasem jednak, być może w sposób dla siebie niezauważalny, stali się – przynajmniej niektórzy z nich – zakładnikami głównego kustosa smoleńskiego mitu, Antoniego Macierewicza. To przypadek Wacława

Berczyńskiego i Wiesława Biniendy, którego żona została mianowana konsulem honorowym RP w stanie Ohio. Naukowcy znaleźli się w niekomfortowej sytuacji rozpięcia pomiędzy oczywistą potrzebą polityczną obozu Macierewicza a zachowaniem niezależności i wiarygodności.

Kiedys prof. Kleiber, człowiek zany i porządny, jeszcze jako prezes Polskiej Akademii Nauk lansował pomysł zorganizowania spotkania naukowców z obu stron, tak aby mogli bezpośrednio skonfrontować swoje ustalenia i wnioski. Do spotkania nie doszło, a dziś jedni i drudzy umieszczają w mediach społecznościowych niewybredne połajanki. W tej sytuacji postronny obserwator nie jest w stanie wyrobić sobie zdania. Chyba że a priori przyjmuje określone stanowisko, bo należy do jednego z wojujących obozów. U obserwatorów bardziej zdystansowanych musi jednak powstać podejrzenie, że nawet gdyby eksperci „od Łaska” doszli po cichu do wniosków sprzecznych ze swoją opowieścią, to i tak by ich nie upublicznili, naukowcy zaś „od Macierewicza” nie byłoby zdolni oznajmić: „Po zbadaniu sprawy stwierdzamy, że była to jednak zwykła katastrofa”, nawet gdyby ostatecznie na to wskazały dowody. Jedni i drudzy są już w potrzasku politycznych oczekiwań. Owszem, nad katastrofą zasiadli też naukowcy z czterech renomowanych laboratoriów kryminalistycznych, ale trudno oczekiwać, żeby ich konkluzje okazały się wiążące.

Przemawiając podczas odsłonięcia pomnika smoleńskiego w Łodzi, Jarosław Kaczyński powiedział: „To będzie zaczęciem czegoś nowego. Czegoś, czego potrzebujemy. Czyli wspólnej pamięci. Bo Smoleńsk musi być pamięcią wspólną. Niezależnie od tego, co się tam naprawdę stało”. To właśnie po tych słowach klasowała Zdanowska. Czy Kaczyński uznał, że politycznie nie opłaca się wzmacniać Macierewicza brnięciem w skrajną wersję smoleńskiego mitu? Czy to już początek przewidywanego łagodzenia kursu przed kolejnymi wyborami? Czy może po prostu refleksja, że pamięć narodowej tragedii faktycznie powinna być – na ile to jeszcze możliwe – wspólna, bo w przeciwnym razie, po kolejnej zmianie władzy, może zostać całkowicie wymazana z życia publicznego? Dzisiaj trudno powiedzieć. Jedno jest pewne: pod tym stwierdzeniem Kaczyńskiego warto się podpisać.

© Wszelkie prawa zastrzeżone



IGOR ZALEWSKI

POD WĄS

Nieważne co, ważne którą

Pisałem tu już jakiś czas temu, że w dzisiejszych czasach nadmiar komunikatorów utrudnia komunikację. Do jednego, drugiego i trzeciego można się zwrócić na Facebooku, ale 15. odbiera tylko SMS-y, a 20. nie widzi świata poza Snapchatem. A 108. się uchwalił i do niego trzeba zadzwonić, ale tylko na telefon stacjonarny, bo nie uznaje komórek.

Niedawno zetknąłem się z ciekawą odmianą tego problemu. Otóż gawędziłem sobie z pewnym znajomym ojcem, który – podobnie jak ja – stara się utrzymać jak najlepszy kontakt z dzieckiem z pierwszego małżeństwa. I – jak zauważył ten ojciec – jakość owych relacji jest bezpośrednią funkcją tego, z jakiej formy komunikacji korzysta. Zaczął oczywiście klasycznie i oldskulowo – dzwonił. Okazało się jednak, że nie był to najlepszy sposób. Telefoniczne rozmowy się niezbyt kleiły, długie pauzy obu rozmówców kłuły dotkliwie w uszy, większość spraw z jakichś powodów okazywała się „nie na telefon”. Relacje się psuły. Ojciec dzwonił coraz mniej chętnie, syn coraz mniej chętnie odbierał.

Wtedy jeszcze nasz bohater nie podejrzewał, że kanał komunikacji może mieć znaczenie dla samej komunikacji. Ponieważ gorzej mu się gadało, zaczął pisać. Na Facebooku. Zdziwił się, bo nadprute nieco więzy zaczęły się ponownie kleić. I kiedy już się cieszył, nastąpił kryzys. Kontakt się nagle urwał, syn mniej skwapliwie

zaczął odpisywać na messengerowe liściki. Zaniepokojony ojciec zbadał sprawę i odkrył, że dla nastolatków, a w każdym razie dla jego nastolatka, Facebook stał się passé. Ze względu na dużą liczbę grasujących na nim pierdzieli młodzież uznała, że to nie jej medium, i zaczęła rzadziej wpadać w gościnę do pana Zuckerberga. Ofiarą tego trendu stał się mój rozmówca.

Wiedział już jednak ważną rzecz: to nie on był problemem w komunikacji z synem. Problemem było medium. Przez jeden kanał porozumiewało im się lepiej, przez inny gorzej. Trzeba było po prostu znaleźć ten optymalny. Poszukali, poszukali i znaleźli. Okazało się, że najlepiej im się porozumiewa przez aplikację komunikacyjną WhatsApp. Mają teraz świetny kontakt.

Ktoś się zachnie i powie, że najlepiej pójść z dzieckiem na lody. I wtedy najłatwiej się dogadać. Otóż nie zawsze tak jest. Osobisty kontakt – jakkolwiek heretycko by to brzmiało – nie zawsze musi być kontaktem formą najlepszą. Znam rodzeństwo, które polubiło się dopiero wtedy, gdy zaczęło do siebie pisać e-maile. Nagle zniknęło to wszystko, co irtowało je nawzajem w swoim jestestwie, i odkryło w sobie mądrych, głębokich ludzi, których wcześniej nie dostrzega.

Ludzie mają różne rzeczy do zakomunikowania. Ja na przykład nie mam wiele do powiedzenia światu oprócz tego, że jestem ładny. I dlatego wrzucam na Instagram około tuzina swoich zdjęć dziennie. ©©



MARCIN WOLSKI

KRÓTKO PO WOLSKU

To idzie młodość

Pożegnajmy KOD. Pożegnajmy tę protezę organizacji, która pozwoiliła obozowi III RP przetrwać „wielką smutę” po podwójnej klęsce roku 2015. Rok wystarczył, aby zatonała tratwa ratunkowa – Nowoczesna z kropką (Petru nie stał się polskim Macronem), a Schetyna uporządkował szyki PO. KOD stał się niepotrzebny, przez swą spontaniczność nieobliczalny, wskutek braku młodzieży mało przyszłościowy. Znamienne jest zastąpienie 49-letniego Kijowskiego 69-letnim Łozińskim. Trudno o czytelniejszy sygnał.

Podobno serio myślano o aktywacji Rosiewicza, Grunwalda i Tercetu Egzotycznego

Kijowskiemu mimo wszelkich wad i finansowych uwikłań trudno odmówić jednego – charyzmy. Trybunem ludowym był, na ulicy się sprawdzał. Czy można wyobrazić sobie w trakcie wielkiego strajku sierpniowego zastąpienie Wałęsy jakimś „leśnym dziadkiem” lub zasłużonym intelektualistą?

Tak więc uliczny etap kontrrewolucji mamy za sobą, oczywiście będą jeszcze zadymy, prowokacje i profanacje w wykonaniu rozmaitych UB-ywateli RP, ale marzenia o milionach, przed którymi pisiory wiać będą przez okna, istnieją już chyba tylko w umyśle pana „Bolka”.

Walka wróci do parlamentu, samorządów, mediów. I jestem ostatnim, który lekceważyłby opór korporacji. Oczywiście nie wierzę, żeby opozycji udało się powołać alternatywne państwo z własnymi sądami, a nade wszystkim wolnym Trybunałem Konstytucyjnym, ale krwi wiele napsuć mogą. Przy czym groźniejszy od buntu prawników jest rozszerzający się bojkot artystów. Groźny, bo widoczny.

Niestety, dla dobrej zmiany poza dziennikarzami nie udało się pozyskać nawet części środowisk twórczych (inna sprawa, czy próbowano), wybuchają konflikty w kolejnych teatrach, a zlekceważony początkowo bojkot estradowców przybiera zaskakująco duże rozmiary. Państwo nie ma już monopolu na media, nie kontroluje samorządów ani nie wykorzystuje oręża, jaki stwarza mecenat. Próby podlizywania się „nazwiskom” najczęściej spotykają się ze wzgardą. I nie zanoszą się na zmianę. Pierwsze jaskółki mogą się pojawić za półtora roku, jeśli zostaną wygrane wybory samorządowe. Jeśli...

Dzisiaj właściwie nie ma wyboru. Trzeba postawić na młodość autentyczną (w trakcie „katastrofy opolskiej” podobno serio myślano o aktywacji Rosiewicza, Grunwalda i Tercetu Egzotycznego). Trzeba szukać głębiej nowych nazwisk i nowych twarzy. Wymaga to oczywiście ogromnego wysiłku, spokoju i czasu.

Dojrzewanie trwa długo, a owoce nie zawsze są smaczne. Tyle że nie mamy wyjścia! ©©

Wielu komentatorów życia politycznego zwraca uwagę na to, że dziś można zamówić sondaż wyborczy z praktycznie dowolnym wynikiem. »Wynik będzie taki, jaki oczekuje zamawiający«. W dużej mierze mają rację, ponieważ rynek komercyjny rządzi się prawami, które czasem mogą odbiegać od zasad obiektywizmu i rzetelności».

Ta spiskowa teoria nie została sformułowana przez radykalnego wyborcę niezadowolonego z wyniku sondażowego swojej partii. Można ją znaleźć na stronie internetowej Pracowni Analiz Społeczno-Politycznych w zakładce „O nas”. Firma dodaje oczywiście, że sama nigdy tak nie robi.

Teorię o celowym manipulowaniu sondażami upowszechniają też politycy i dziennikarze, najczęściej gdy ich partia wypada w nich akurat niekorzystnie.

W tej sytuacji obywatel nieznający metodologii prowadzenia badań społecznych może czuć się zdezorientowany. Szczególnie że wyniki sondaży są bardzo rozbieżne. Badania opublikowane od początku kwietnia wskazują, że poparcie dla PiS waha się od 27 do 39 proc., a dla PO – od 19 do 31 proc.

Tymczasem takie wyniki nie są niczym nadzwyczajnym. Sondaże są bowiem bardzo nieprecyzyjne i nie są idealnym odzwierciedleniem poglądów całego społeczeństwa, a tym bardziej prognozą wyników wyborów. Rozbieżności w wynikach nie wskazują na celową manipulację, są dokładnie takie jak wcześniej.

Można z nich wyczytać wyraźny wzrost poparcia dla PO kosztem Nowoczesnej. Dzięki temu trendowi partia Grzegorza Schetyny zbliżyła się w notowaniach do PiS. Ze względu na naturalny brak precyzji w sondażach niektóre z nich pokazały przewagę Platformy Obywatelskiej.

Manipulowanie sondażami w mediach jest możliwe, ale nie jest to spiszek ośrodków badawczych. Manipulacja nie dokonuje się bowiem przy realizacji badania (jak dotąd nie ma dowodów, aby zrobiła to jakakolwiek duża firma), lecz w mediach. Wymuszanie na globalnej korporacji fałszowania wyniku badania musiałoby się wiązać z poważnymi kosztami. Szczególnie że prowadzenie sondaży politycznych nie jest dla ośrodków badawczych podstawową działalnością, wiąże się z niewielką marżą

i w przypadku nierzetelności niesie duże ryzyko utraty wiarygodności.

Manipulacji można dokonać znacznie łatwiej przy analizowaniu wyników. Oprócz celowego formułowania nieweryfikowalnych hipotez opartych na domysłach w mediach pojawia się cała seria przypadkowych błędów popełnianych przy interpretowaniu rezultatów badań.

PO PIERWSZE: MASAKRUJ

Najczęściej popełnianym błędem jest snucie domysłów o skutkach aktualnych wydarzeń politycznych na podstawie jednego sondażu. Tymczasem interpre-

ankierów odpowie co 10., to trudno wyciągać na tej podstawie wnioski dotyczące całego społeczeństwa. Nie wiemy przecież, czy wyborcy jednej z partii odmawiali udzielenia odpowiedzi częściej niż innych. Ośrodki badawcze nie ujawniają, jaki odsetek wytypowanych do badania rzeczywiście wziął w nim udział.

Na wynik badania wpływ ma również sposób, w jaki zadaje się pytanie, a nawet miejsce pytania w kwestionariuszu. Zmiana poparcia dla jednej partii może wynikać nawet ze zmian w składzie i systemie pracy zespołów badawczych.

Krzywe słupki



Marcin Bartnicki

Błędy w interpretowaniu wyników sondaży politycznych popełniane są na każdym kroku. Nie brakuje też celowych manipulacji. Jednak one raczej nie pojawiają się podczas wykonywania badań, tylko przy omawianiu ich wyników. Jak nie dać się zwieść?

towanie wyników pojedynczego badania, bez zwracania uwagi na długoterminowe trendy, zwykle nie ma sensu. Sondaże pokazują poparcie z szerokim marginesem błędu. Już na etapie doboru próby, tzn. wyboru osób, które wezmą udział w badaniu, margines błędu wynosi ok. 3 proc., a w trakcie badania można popełnić kolejne błędy, których znaczenie jest trudne do oszacowania nawet dla osób mających dostęp do wszystkich szczegółów związanych z realizacją badania. Dla obserwatora z zewnątrz, znającego tylko ostateczny wynik sondażu, jest to niemożliwe.

Profesor Henryk Domański z Instytutu Filozofii i Socjologii PAN wskazuje, że największy wpływ na niedokładność wyników sondaży mają odmowy udziału w badaniu i problemy z dotarciem do respondentów. Jeśli z tysiąca osób wytypowanych do badania na pytania

Dlatego przesądzanie o znaczeniu wydarzeń politycznych, gdy jeden sondaż wskaże np. spadek poparcia dla PiS o dwa punkty procentowe i wzrost dla PO o jeden punkt, jest pozbawione podstaw.

Lista możliwych pomyłek w interpretacji wyników jest bardzo długa. – Trzeba np. wziąć pod uwagę, kiedy sondaż jest realizowany. Jeżeli robi się go na szybko, po głośnym wydarzeniu, to wiadomo, że wychwyci jakąś emocję, która nie jest trwała – mówi prof. Norbert Maliszewski z Uniwersytetu Kardynała Stefana Wyszyńskiego. Profesor Domański zwraca uwagę, że być może nawet połowa Polaków nie ma sprecyzowanych sympatii partyjnych, ich odpowiedzi są więc często dziełem przypadku lub chwilowych emocji.

Nie oznacza to oczywiście, że dziennikarze popełniają wszystkie te błędy celowo, dopuszczając się manipulacji. Pomyłki częściej wynikają z braku

podstawowej wiedzy o analizowaniu wyników badań i chęci przebicia się z własną opinią. W telewizji i Internecie łatwiej „zmasakrować” oponenta jednym dosadnym zdaniem niż rzetelną analizą.

PO DRUGIE: WYBIERZ METODĘ

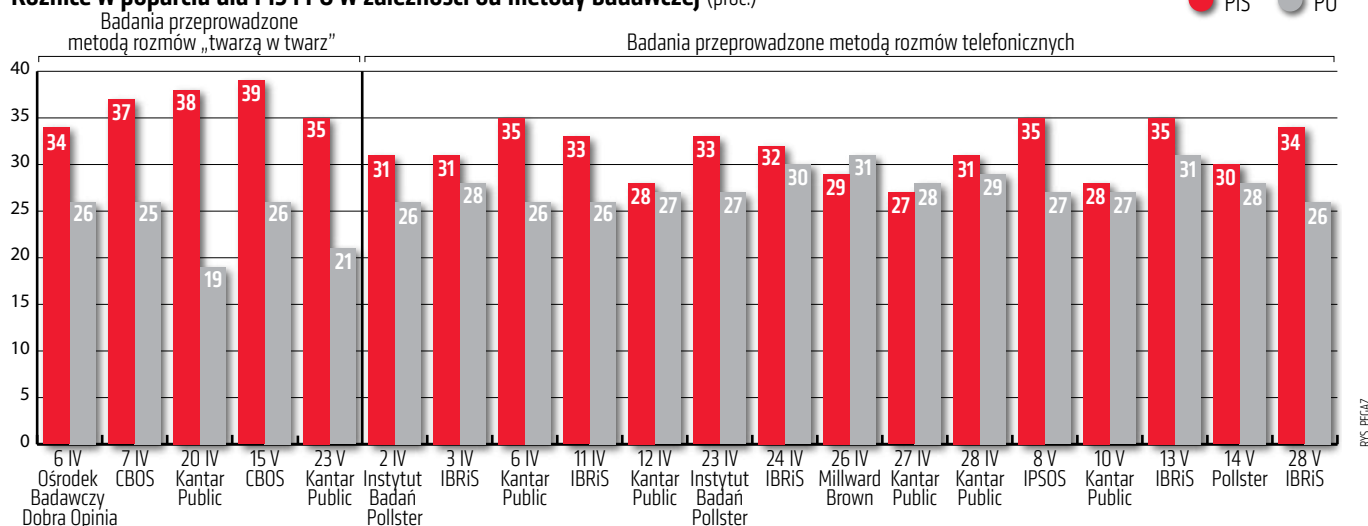
Różnice w wynikach sondaży świadczą często nie tyle o firmie, która je przeprowadza, czy o zmianach poparcia dla partii, ile o wykorzystanej metodzie. Polacy, którzy zgadzają się na rozmowę z ankierem „twarzą w twarz” (metoda CAPI), częściej twierdzą, że głosują na PiS niż na PO.

ka”. Tygodnik przedstawił na okładce uśrednione wyniki sondaży, według których Bronisław Komorowski cieszył się poparciem 44 proc. wyborców, Andrzej Duda – 29 proc., a Paweł Kukiz – 9 proc. Tytuł „Prezydentura. Która tura?” sugerował, że zwycięstwo Bronisława Komorowskiego jest przesądzone. Pięć dni później, w pierwszej turze wyborów prezydenckich, Duda zdobył 34,76 proc., Komorowski – 33,77 proc., a Kukiz – 20,8 proc.

Dziennikarze wyciągają niekiedy wnioski, posługując się wyłącznie wybranymi sondażami, pozostałe uznając

wanych respondentów. Korzystaliśmy z usług różnych ośrodków i znamy branżę. Mamy też dostęp do szczegółowych statystyk dotyczących badania. Dzięki temu z tabelk z danymi, które nie są prezentowane czytelnikom, wiemy, które grupy respondentów częściej odmawiały udziału w badaniach. Jeśli byli to mieszkańcy wsi, to sondaż wskaże niższe poparcie dla PiS i PSL. Częstsze odmowy mieszkańców dużych miast, regionów z zachodniej Polski lub osób z wyższym wykształceniem spowodują z kolei, że słabsze notowania w sondażach będą miały PO i Nowoczesna.

Różnice w poparciu dla PiS i PO w zależności od metody badawczej (proc.)



Natomiast badania przeprowadzane przez telefon (CATI) pokazują znacznie mniejszą różnicę w poparciu dla obu partii. Obecnie za bardziej precyzyjną w polskich warunkach uznawana jest ta druga metoda.

Łączenie wyników badań przeprowadzonych różnymi metodami i w różnym czasie jest błędem nawet, jeśli – tak jak w przypadku Kantar Public – przeprowadziła je jedna firma. Takie uśrednione wyniki można traktować jako ciekawostkę. Wyciąganie na ich podstawie daleko idących wniosków o rzeczywistym poparciu dla partii z metodologicznego punktu widzenia nie ma sensu.

5 maja takie uśrednione wyniki sondaży zaprezentowały „Wiadomości” TVP. PiS otrzymał w nich 44,9 proc., a PO – 24,7 proc. Niemal dokładnie dwa lata wcześniej – 6 maja 2015 r. – taką samą operację przeprowadziła „Polity-

za niewiarygodne. Nie jest to jednak wyszukany sposób na wprowadzenie opinii publicznej w błąd.

PO TRZECIE: BĄDŹ SUBTELNY

Dysponując nawet podstawową wiedzą, każdy może stwierdzić, że jeśli w Polsce nie nastąpi polityczne trzęsienie ziemi, to kolejne sondaże przeprowadzone metodą CAPI dadzą wyższe poparcie PiS. Można również przewidzieć reakcję wielu dziennikarzy, którzy z tego powodu wpadną w euforię lub będą załamywać ręce, chociaż tak naprawdę w rzeczywistych poglądach społeczeństwa wiele się nie zmieniło.

Wyobraźmy sobie teraz, że mamy znacznie głębszą wiedzę o pracy każdej z firm prowadzących sondaże. Wiemy, które ośrodki mają lepsze zespoły realizacji badań i lepiej docierają do wylos-

Taką właśnie wiedzę zwykle dysponuje każdy doświadczony redaktor naczelny, dyrektor programowy lub inna osoba, która przez lata odpowiadała za zamawianie sondaży dla mediów. Najczęściej człowiek podejmujący decyzję kieruje się prostą zasadą: otrzymać sondaż jak najszybciej za jak najmniejsze pieniądze. Jeśli jednak zechce pomóc swojej ulubionej partii, wówczas może w decydującym momencie zmienić firmę i metodę badawczą, aby otrzymać pożądaný rezultat. Nie zauważą tego pracujący dla niego szeregowi dziennikarze, którzy dalej będą snuć teorie o politycznych przyczynach zmian poparcia. Nie zorientują się widzowie ani czytelnicy. Prawo nie zostanie złamane. Ośrodek badawczy przeprowadzi badania tak jak zawsze, nie ingerując w ich wynik. Manipulacja doskonała.

Rozpoczął się medialny festiwal kłamstw. Bronisław Geremek ogłosił publicznie, że działania rządu w dniu 4 czerwca 1992 r. „nosiły wszelkie znamiona zamachu stanu”. Podobnie wypowiedział się przybyły nagle z Waszyngtonu Jan Nowak-Jeziorański, który mówił o „swoistym zamachu stanu” i chęci „doprowadzenia do destabilizacji państwa”. Legendarny „Kurier z Warszawy” w czasie spotkania z Wałęsą miał też dziękować prezydentowi za „uregulowanie stosunków z Rosją” (sic!). Jacek Taylor z Unii Demokratycznej snuł opowieści o tym, że „w Ministerstwie Spraw Wewnętrznych, zaraz po otrzymaniu wiadomości o odwołaniu rządu Jana Olszewskiego, w nocy z czwartku na piątek, aż do chwili, gdy nowo mianowanego szefa resortu Andrzeja Milczanowskiego dopuszczono do MSW, przez ponad 30 godzin niszczone i wywożono materiały”. Za „nocną zmianę” dziękował Wałęsie również Wojciech Jaruzelski: „Rad jestem, że sprawy zostały opanowane, i chcę podkreślić w tym szczególną rolę Lecha Wałęsy”.

Rzekomi świadkowie i teoretycy „zamachu stanu” wygłaszali rytualne zaklęcia, ale nie byli w stanie podać jakichkolwiek konkretnych faktów. Wreszcie prezydent Wałęsa ogłosił, że miał zostać internowany przez Macierewicza w Arłamowie, czyli dokładnie w tym samym ośrodku, w którym izolowano Wałęsę w 1982 r. 12 czerwca 1992 r. nowy szef MSW Andrzej Milczanowski ogłosił, że w dniu ujawnienia listy agentów Macierewicz i Naimski próbowali wyprowadzić z koszar wojska MSW.

Głównym świadkiem rzekomo przygotowywanej operacji internowania Wałęsy miał być doświadczony komunistyczny generał Edward Wejner – bliski współpracownik gen. Czesława Kiszczaka, który na mocy jego decyzji z lipca 1985 r. został dowódcą Nadwiślańskich Jednostek Wojskowych MSW. Mianowany w 1986 r. generałem brygady należał Wejner do najbardziej lojalnych ludzi Jaruzelskiego i Kiszczaka. Jesienią 1991 r. „odziedziczył” go w spadku po PRL minister spraw wewnętrznych Antoni Macierewicz. Wejner wstąpił do LWP w 1951 r. i przez lata piął się w strukturach liniowych i partyjnych wojska.

GRUDNIOWY SOJUSZNIK

Jednak jeden z wątków kariery sojusznika Wałęsy okazał się kluczowy. Chodzi o Grudzień '70 w Trójmieście. Wejner, wówczas podpułkownik i dowódca 35. Pułku Desantowego 7. Dywizji Desan-



Dokumenty dotyczące działalności gen. Edwarda Wejnera
FOT. WOJSKOWE BIURO HISTORYCZNE

Kłopotliwy świadek fikcyjnego zamachu



Sławomir Cenckiewicz

Od razu po tym, jak w nocy z 4 na 5 czerwca 1992 r. „koalicja strachu” przegłosowała w Sejmie odwołanie rządu premiera Jana Olszewskiego, zaczęto mówić o udaremnionym zamachu stanu. Rzeczywiste powody obalenia rządu – kwestia relacji traktatowych z Federacją Rosyjską i strach przed lustracją – zastąpione zostały tezą o przygotowywanym rzekomo przez Antoniego Macierewicza „zamachu stanu”

- 67 - ppłk. Wejner

22 DZIEŃ 2 DZIAŁANIA JEDNOSTKI

10 DNI 15. 12. 1970

W dniu 15. 12. 1970 r. o godz. 8.00 otrzymałem rozkaz od przybyłego do jednostki płk. dypl. Polińskiego zabrania około 200 żołnierzy i udania się do Gdańska w celu ochrony Komitetu Wojewódzkiego PZPR. Kiedy przybyłem z wymienioną grupą w rejon Komendy Miejskiej MO (róg Świerczewskiego i 3 Maja), płk Poliński rozkazał mi wrócić do koszar w celu podjęcia decyzji co do dalszego działania, gdyż tłum w rejonie Komitetu Wojewódzkiego PZPR liczył kilka tysięcy ludzi i był bardzo agresywny. [...] Następnie otrzymałem rozkaz dojść w szyku zwartym do palącego się budynku KW PZPR celem odblokowania od tłumy i wyciągnięcia stamtąd palących się ludzi (żołnierzy WOW, milicjantów i pracowników KW PZPR). W tym celu wydałem odpowiednie rozkazy. Ostrzegłem wszystkich dowódców pododdziałów o użyciu broni tylko na mój wyznaczony rozkaz i tak w kolumnie ósemkowej z bronią w położeniu

towej, razem z podległą sobie jednostką od 15 grudnia 1970 r. brał udział w pacyfikacji buntu w śródmieściu Gdańska. Paradoksalnie Wejner był wówczas świadkiem porannej demonstracji robotniczej pod Komendą Miejską MO w Gdańsku. Nie wiemy, czy widział moment, kiedy Lech Wałęsa stanął w oknie komendanta MO, prosząc przez tubę manifestantów o rozejście się. W każdym razie w dokumentacji dotyczącej Grudnia '70 w Archiwum Wojskowym w Nowym Dworze Mazowieckim znalazłem niedawno spisaną na gorąco (na początku 1971 r.) relację ppłk. Wejnera, który w dramatycznych chwilach walk w okolicy siedziby wojewódzkiej PZPR w Gdańsku wydał rozkaz o użyciu broni ostrej (niezwykle skutecznej tzw. amunicji świetlnej): „W dniu 15 grudnia 1970 r. około godziny 8.00 otrzymałem rozkaz od przybyłego do jednostki płk. dypl. Polińskiego zabrania około 200 żołnierzy i udania się do Gdańska w celu ochrony Komitetu Wojewódzkiego PZPR. Kiedy przybyłem z wymienioną grupą w rejon Komendy Miejskiej MO (róg Świerczewskiego i 3 Maja), płk Poliński rozkazał mi wrócić do koszar w celu podjęcia decyzji co do dalszego działania, gdyż tłum w rejonie Komitetu Wojewódzkiego PZPR liczył kilka tysięcy ludzi i był bardzo agresywny. [...] Następnie otrzymałem rozkaz dojść w szyku zwartym do palącego się budynku KW PZPR celem odblokowania od tłumy i wyciągnięcia stamtąd palących się ludzi (żołnierzy WOW, milicjantów i pracowników KW PZPR). W tym celu wydałem odpowiednie rozkazy. Ostrzegłem wszystkich dowódców pododdziałów o użyciu broni tylko na mój wyznaczony rozkaz i tak w kolumnie ósemkowej z bronią w położeniu



BIURO POSELSKIE JERZEGO BOROWCZAKA

ul. Długi Targ 35/38 A, 80-830 Gdańsk, tel./fax 58 325 54 36, jerzy.borowczak@sejm.pl



P.S. Maciejewski - Jurek
10.08.16.

Dyrektor Departamentu Kadr Ministerstwa Obrony Narodowej

Pan generał Artur Kołosowski

MINISTERSTWO OBRONY NARODOWEJ
KANCELARIA JAWNA NR 9
Nr. 18455/11/bk
Wpłynęło... 26.08.2011
Zał. ... Ark./Str. ...
IV ... W

Szanowny Panie Generale,

W dniu 30.07.2011 r. zwrócił się do mnie jako do Posła Rzeczypospolitej Polskiej Pan gen. Edward Wejner, z prośbą o wsparcie w sprawie wyrządzonej mu krzywdy, jaką wyrządził mu były minister Spraw

Wewnętrznych Pan Antoni Macierewicz i Departament Kadr MSW w 1992 roku.

Jak mówił: - nareszcie z treści książki pod tytułem „Moja III RP”, autorstwa byłego Prezydenta RP - Zwierzchnika SZ Pana Lecha Wałęsy, dowiedział się z przyczyny jego szykan i wyrzucenia ze stanowiska, a później z wojska, co ujemnie do dziś skutkuje w zanizonej emeryturze, którą aktualnie pobiera w Wojskowym Biurze Emerytalno-Rentowym w Gdańsku, gdzie mieszka.

W moim odczuciu fakt ten jest tym bardziej dla mnie przykry, że to spotkało oficera Wojska Polskiego po 43-letniej nienagannej służbie wojskowej, na wielu stanowiskach dowódczych w linii w kraju i za granicą (wojna w Wietnamie 1964-1965 i w Siłach Zbrojnych na Bliskim Wschodzie).

Pan Antoni Macierewicz i Departament Kadr MSW zwalniając generała ze stanowiska i w stan spoczynku 31.12.1992 roku pogwałcił wszystkie przepisy prawne i wojskowe dotyczące zwalniania ze służby żołnierzy zawodowych Wojska Polskiego, by za wszelką cenę pozbyć się generała Edwarda Wejnera, co uczynili bardzo skutecznie.

Upieramnie informuję Pana Generała, że mam moralne prawo, a jako Poseł RP także obowiązek pomóc naprawieniu krzywdy, którą doznał, ponieważ poznałem go już w 1978 roku, kiedy byłem jego podwładnym żołnierzem służby zasadniczej w Polskiej Wojskowej Jednostce Specjalnej, Doraźnych SZ ONZ

55-
39114
Wpłynęło 2. LIPCA 1985
Zał. 1

1985.06.25
Warszawa, dn. 1985.06.25

MINISTER OBRONY NARODOWEJ
Obywatel gen. armii Florian SIWICKI
WARSZAWA

W związku z wakatem na stanowisku Dowódcy Nadwiślańskich Jednostek Wojskowych MSW i brakiem w resorcie Spraw Wewnętrznych odpowiedniego kandydata na powyższe stanowisko uprzejmie proszę Obywatela Ministra o skierowanie do mojej dyspozycji płk dr Edwarda WEJNERA - Dowódcę 14 Mazurskiej Brygady Wojsk Obrony Wewnętrznej w Olsztynie.

Płk WEJNER ze względu na posiadaną wiedzę wojskową i doświadczenie w dowodzeniu jest odpowiednim kandydatem do objęcia stanowiska Dowódcy Nadwiślańskich Jednostek Wojskowych MSW.

Tu gen. Siwicki
1985-07-23

Gen. broni Czesław KISZCZAK

»przez szyję« wraz z płk. Polińskim na czele udałem się w kierunku palącego się budynku KW PZPR. Kiedy kolumna doszła na około 30–50 metrów, tłum nieco rozsunął się od budynku, robiąc nam przejście. W pewnym momencie ktoś krzyknął z tłumu: »bić ich!«. Na ten okrzyk tłum zaatakował nas czynnie, biegnąc do kolumny, bijąc kamieniami, łomami, kijami, przewracając i tratując żołnierzy, starając się za wszelką cenę zdziesiątkować kolumnę. Jednocześnie wielu chuliganów zaczęło wyrywać broń żołnierzom i obracać się w kierunku kolumny. Taki stan zagroził bezpieczeństwu naszego życia. Część żołnierzy nie widząc ratunku przed dalszym naporem kilkudziesięcioletniego tłumu, oddała strzały ostrzegawcze amunicją świetlną w górę. Na to tłum zareagował odskoczeniem do tyłu na około 10–15 metrów».

Warto zaznaczyć w tym miejscu, że 15 grudnia 1970 r. w Gdańsku zginęło pierwszych siedmiu demonstrantów.

„ŚWIADECTWO” PACYFIKATORA

Od tego momentu kariera ppłk. Edwarda Wejnera uległa przyspieszeniu. Awansował w 1973 r. na pułkownika, a kilka lat później został dowódcą 14. Mazurskiej Brygady Wojsk Obrony Wewnętrznej (otrzymywał odznaczenia m.in. Medal Przyjaźni na 60-lecie Armii Czerwonej) i szefem sztabu misji wojskowej ONZ na Bliskim Wschodzie, by w 1985 r. trafić do MSW pod skrzydła Kiszczaka. Powstanie rządu Jana Olszewskiego, a zwłaszcza objęcie stanowiska szefa MSW przez Antoniego Macierewicza, było dla Wejnera i jemu podobnych niemałym szokiem. Zwalczający rząd Olszewskiego prezydent Wałęsa, zaniepokojony zwłaszcza pierwszymi próbami desowietyzacji armii (przez ministra Jana Parysa) i MSW, zyskiwał naturalnych sojuszników wśród oficerów podobnych do Wejnera. W ten sposób pacyfikator rewolty grudniowej 1970 r. w Gdańsku, począwszy od wiosny 1992 r., okazał się sojusznikiem „legendy Solidarności” – Wałęsy, który nieustannie odwołuje się do swojego rzekomego bohaterstwa z Grudnia ’70. Jego zakulisowe kontakty z Belwederem wymierzone w szefa MSW – zwłaszcza związki z Mieczysławem Wachowskim – spowodowały, że miesiąc przed upadkiem rządu Jana Olszewskiego (4 maja 1992 r.) gen. Wejner został odwołany przez ministra Macierewicza z funkcji dowódcy Nadwiślańskich Jednostek Wojskowych MSW.

Wejner wyleciał z MSW na miesiąc przed upadkiem rządu Olszewskiego, ale

stał się na długie lata „naocznym świadkiem” rzekomego zamachu z 4 czerwca 1992 r. Udzielał wywiadów postkomunistom z „Trybuny”, w 2006 r. napisał książkę „Wojsko i politycy bez retuszu” (wychwała w niej „solidarnościowych” szefów MSW: K. Kozłowskiego, H. Majewskiego i A. Milczanowskiego za szacunek,

Objęcie stanowiska szefa MSW przez Antoniego Macierewicza było dla Wejnera i jemu podobnych niemałym szokiem

jakim darzyli byłych oficerów LWP), którą nieustannie cytuje Wałęsa jako dowód na zamach z 4 czerwca 1992 r. Wejner okazał się też „bohaterem” „Gazety Wyborczej”, której publicysta – Wojciech Czuchnowski – obszernie cytował wynurzenia współpracownika Kiszczaka o tym, jak „w końcu marca [1992 r.] w jego jednostce zaczęli się pojawiać urzędnicy MSW, którzy poza jego plecami zaczęli omawiać z podległymi mu oficerami kwestię zadania specjalnego”, czyli „zabezpieczenie gmachów rządowych, a zwłaszcza tych użytkowanych przez Prezydenta RP”, w tym „ośrodka w Arłamowie, sprawdzając szczegółowo tamtejszą straż”).

DŁUGIE ŻYCIE NIBY-ZAMACHU

„Dowody” na tezę o zamachu 4 czerwca 1992 r. chętnie podjęła później sejmowa komisja do zbadania działalności ministra Macierewicza kierowana przez posła Jerzego Ciemnińskiego, ale orzekła, że zarzuty Wejnera, Wałęsy i Milczanowskiego pozbawione są podstaw. Sprawa trafiła też do prokuratury Warszawskiego Okręgu Wojskowego, bo związany z Wałęsą zastępca prokuratora generalnego Stanisław Iwanicki nie dawał za wygraną i domagał się wyjaśnienia, czy „podjęte przez b. kierownictwo MSW decyzje zmierzały do obalenia przemocą ustroju RP” (sic!). 31 sierpnia 1992 r. było już po wszystkim. Kompromitujące śledztwo, w którym zeznawał Wejner, opowiadając o standardowej wizytacji obiektów rządowych i jednostek podległych MSW, umorzono.

Na tym jednak nie kończy się wcale sprawa gen. Edwarda Wejnera. W sierpniu 2011 r. związany z Wałęsą poseł Platformy Obywatelskiej z Gdańska Jerzy Borowczak skierował do szefa Departamentu Kadr

MON, gen. Artura Kołosowskiego, pismo, w którym domagał się naprawienia krzywdy wyrządzonej rzekomo gen. Wejnerowi przez ministra Macierewicza w maju 1992 r., co skutkowało miało obniżeniem wojskowej emerytury. Borowczak powołał się przy tym na „dowód” w postaci książki Lecha Wałęsy „Moja III RP”, w której jest mowa o skutkach „prześladowania” Wejnera przez Macierewicza.

Od siebie natomiast Borowczak skreślił kuriozalne uzasadnienie swojej prośby: „Upierzemnie informuję Pana Generała, że mam moralne prawo, a jako Poseł RP także obowiązek pomóc naprawienia krzywdy, którą doznał, ponieważ poznałem go już w 1978 r., kiedy byłem jego podwładnym żołnierzem służby zasadniczej w Polskiej Wojskowej Jednostce Specjalnej Doraźnych SZONZ w Egipcie, a dowódcą był ówczesny płk Edward Wejner, który w dramatycznych dniach PAMIĘTNEGO GRUDNIA 1970 w Gdańsku – jako dowódca pułku Niebieskich Beretów odmówił wykonania strzelania ostrą amunicją strzelecką i czołgową do stoczniovców gdańskich. Tym samym oficerem wielce odpowiedzialnym i odważnym, groził mu Sąd Wojskowy, degradacja i długoletnie więzienie. Uratował go ówczesny I Sekretarz Komitetu Centralnego PZPR Edward Gierek, który tu w Gdańsku na spotkaniu ze stoczniovcami stwierdził: protest stoczniovców na wybrzeżu był słuszny, mimo to wojskowi przełożeni ówczesnego ppłk. Edwarda Wejnera, przez trzy lata pozbawili go wszelkich wyróżnień, w stopniach, stanowiskach i odznaczeniach. Mieszkańcy Gdańska znają i traktują go z wielkim szacunkiem”.

Generał Artur Kołosowski z Ministerstwa Obrony Narodowej odpowiedział posłowi PO bardzo kategorycznie, „że zwolnienie gen. Edwarda Wejnera w maju 1992 r. nastąpiło zgodnie z odnośnymi przepisami ustawowymi przez ministra spraw wewnętrznych (jako żołnierza będącego w jego dyspozycji). Sporna zasadność daty tego zwolnienia została rozstrzygnięta prawomocnym wyrokiem Naczelnego Sądu Administracyjnego, który oddalił skargę wymienionego w tej sprawie”.

MON nie wchodziło natomiast w wątki historyczne, wiedząc, że bajki Borowczaka o odmowie wykonania rozkazu strzelania do robotników, grożące degradacją i więzieniem, oraz zakazy awansowania Wejnera były zwykłym kłamstwem, któremu przeczą dostępne materiały archiwalne.

Wygrał Polskę na fortepianie



Witold Orzechowski

Bez jego talentu i żarliwego patriotyzmu sprawa polska nie byłaby tak dobrze usłyszana w Ameryce. To w dużej mierze także Paderewskiemu zawdzięczamy odzyskanie kraju. Powinniśmy zatem odzyskać pamięć o nim

Ignacy Jan Paderewski był bardziej znany i popularny nawet od Fryderyka Chopina, który nigdy, jako pianista, nie zdobył Ameryki. Oczywiście Paderewski działał i tworzył 50 lat później, ale pamiętajmy, że obaj geniusze muzyki zdobyli sławę jako pianiści wirtuozi. Sławę Paderewskiego stworzyła rodząca się nowoczesna potęga Ameryki, która stała się pod koniec XIX w. piramidą bogactwa, dolara i kapitalizmu, najbogatszym krajem świata. Paderewski podbił Amerykę od swego pierwszego tournée, gdy tylko postawił stopę w Nowym Jorku w 1891 r., po tym, jak zszedł z parowca „Spray”, przybywając do USA po sukcesach w Londynie. Nową gwiazdą europejskiej muzyki (po entuzjastycznych recenzjach z Anglii) zainteresowali się producenci fortepianów Steinway i postanowili na polskim wirtuozie, wówczas liczącym 31 lat, oprzeć reklamę swoich nowoczesnych instrumentów.

Wielkie znaczenie miały też uroda i czarujący sposób bycia Paderewskiego. W USA, podobnie jak w Anglii, kobiety zachwycaly się jego romantycznym, zniewalającym wyglądem i sposobem grania.

Rudoblonc czupryna na głowie, wygląd przystojnego dandysa, arystokratyczne maniery, opanowanie języków obcych, efektowna gra na fortepianie powodowały, że kobiety obecne na jego koncertach były zelektryzowane i zachowywały się jak pod wpływem czarów lub narkotyków. W czasie koncertów wbiegały na estradę, po występie obiegały budynek filharmonii, piskom i okrzykom nie było końca (zupełnie jak 70 lat później na koncertach The Beatles). To powtarzało się w kolejnych miastach – w Bostonie, Filadelfii, Chicago...

Ignacy Jan Paderewski wykorzystał swoją wielką sławę w Ameryce do walki o niepodległą Polskę

FOT. EAST NEWS



Premier Ignacy Jan Paderewski
z marszałkiem Józefem Piłsudskim
w 1919 r. FOT. MUZEUM NIEPODLEGŁOŚCI/EAST NEWS

Choć nie odnotowywali tego muzykolodzy czy historycy muzyki, to faktem jest, że karierę Paderewskiego zbudowały kobiety. Zarówno te, z którymi był związany uczuciowo (lub romansował) i które go kochały oraz popierały – tak jak pianistka Anette Jessipowa, księżna Rachel de Brancovan, Helena Górską (późniejsza żona), Laurence Alma-Tadema (córka wielkiego malarza), a wcześniej Helena Modrzejewska – jak i tysiące tych Amerykanek, które uczyniły przystojnego i uroczego Polaka swoim obiektem adoracji i westchnień.

Wiele z nich grało jego kompozycje na pianinach, na których często stawiała porcelanowe popiersia polskiego wirtuoza. Na dobranoc nakręcały music boxy wygrywające mazurki Chopina z figurką Ignacego stojącego lub siedzącego przy fortepianie.

W czasie pierwszego tournée artysta dał 80 koncertów w 33 miastach, zaczynając od triumfu w Carnegie Hall. Następnego dnia nowojorskie gazety nazwały go „tytanem fortepianu”, geniuszem, królem pianistów, mistrzem największym ze wszystkich itd. „Oszałamiający triumf”

– napisał krytyk z „Evening Post”. Po tygodniu występów stał się amerykańską gwiazdą, o którą zabiegali milionerzy, politycy i gwiazdy Broadwayu. Paderewski zaprzyjaźnił się z milionerem kolejowym Vanderbiltem, J.P. Morganem, który został jego bankierem, i Josephem Pulitzerem, wydawcą oraz potentatem prasowym, którego gazety miały się mu w przyszłości bardzo przydać, gdy rozpoczął w Ameryce działalność polityczną w czasie I wojny światowej. Poznał też Marka Twaina i Williama Chase’a.

JAK GWIAZDA HOLLYWOOD

Polski wirtuoz w Ameryce otrzymał nowoczesną oprawę i reklamę, jaką zorganizowała mu firma Steinway & Sons. Co prawda to Paderewski, jako młoda gwiazda z Europy, miał reklamować ich fortepiany i pianina (po jego występach sprzedaż wzrosła o 400 proc.), ale również on zyskał nieprawdopodobną reklamę od Steinwaya. Jednym z jej elementów był „Paderewski’s Train”. Ponieważ jeżdżąc od miasta do miasta, Paderewski nie mógł ćwiczyć w hotelach, w których

mieszkał, a ze znalezieniem odpowiedniego instrumentu były trudności, organizatorzy tournée wpadli na pomysł, aby uruchomić pociąg z wagonem-salonką, w którym były pokój do wypoczynku, sypialnia i fortepian do ćwiczeń.

W wagonie obok jechał drugi zapasowy fortepian wraz ze stroicielem. Był też wagon z lokajem, ze służącym, z fotografem i tragarzami do noszenia bagaży artysty oraz przesuwania lub wynoszenia fortepianu, jeśli ten w sali koncertowej mu nie odpowiadał. Potem doczepiono następny wagon z kuchnią, jadalnią i osobistym kucharzem. Jeszcze inny wagon był dla przyjaciół i gości Paderewskiego, których zabierał w podróż na swój koncert, a oddzielny – dla dziennikarzy i recenzentów relacjonujących koncerty w mediach.

Pociąg stał się sensacją. Gdy w czasie drugiego tournée ruszył z Bostonu do Filadelfii, wzdłuż torów ustawiły się dziesiątki tysięcy ludzi. Wszyscy oni czekali od nocy i oklaskiwali przejeżdżający pociąg, a Ignacy Paderewski stał w oknie z cygarem w ręku i pozdrawiał tłum.

Pierwsze tournée przyniosło Paderewskiemu milion dolarów (w dzisiejszej wartości), a następne jeszcze więcej. W historii muzyki nikt dotąd nie był wyżej opłacony – ani Caruso, ani Melba, ani Antoni Rubinstein, którzy uchodzili za największe gwiazdy muzyki. Przez następne lata Ignacy Paderewski odbył 18 tras koncertowych (po 80–100 koncertów w każdej) w samych USA, nie licząc koncertów dodatkowych, dobroczynnych ani tych w Białym Domu dla kolejnych prezydentów, takich jak Theodore Roosevelt, W. Taft, W. Wilson i Herbert Hoover.

Uważał się przede wszystkim za kompozytora, a karierę pianisty traktował jako sposób zarabiania. Marzył o sławie Richarda Wagnera, na którym się wzorował i którego podziwiał. Jego opera „Manru” została wystawiona w 1902 r. z wielkim powodzeniem w Metropolitan Opera w Nowym Jorku (na jej otwarcie) i zyskała entuzjastyczne recenzje, choć miała dość okropne libretto i nudną akcję. Polski pianista zarejestrował w USA ponad 100 nagrań na płytach gramofonowych, które ukazywały się w ogromnych nakładach.

PATRIOTA I POLITYK WALCZĄCY O SWÓJ KRAJ

Gdy wybuchła I wojna światowa, Paderewski, szczęśliwie żonaty z Heleną Górską (wieloletnią przyjaciółką, która porzuciła dla niego męża), po wielu romansach z najpiękniejszymi arystokratkami Europy, przebywał w Szwajcarii, w Morges nad Jeziorem Lemańskim, gdzie miał swój pałac.

W 1915 r. wraz z żoną przyjechali do Ameryki. Paderewski zawiesił działalność koncertową (grał tylko na potrzeby Polonii i polskiej armii we Francji albo w ramach pomocy ofiarom wojny w Polsce) i swoją energię oraz sławę postanowił wykorzystać na rzecz ojczyzny. Jego kontakty z elitą finansową i polityczną Stanów Zjednoczonych pozwoliły mu z łatwością docierać do wszystkich, aby ich zainteresować sprawą odzyskania przez Polskę niepodległości po 120 latach zaborów.

Przyjaźń z płk. Edwardem M. House'em, najważniejszym doradcą ds. zagranicznych prezydenta Woodrowa Wilsona, pozwoliła mu dostać się do Białego Domu i sprawę polską przedstawić samemu prezydentowi.

Wilson pod wpływem Paderewskiego stał się orędownikiem niepodległości

Polski i gdy USA przystąpiły do wojny, co przesądziło o zwycięstwie aliantów, domagał się wytyczenia nowych granic w Europie. Punkt 13 Memorandum Wilsona na Konferencję Pokojową w Wersalu (1919) zawierał żądanie restytucji Polski na mapie Europy.

Bez wpływu Ignacego Jana Paderewskiego na decydentów politycznych epoki – prezydenta Wilsona, premierów Wielkiej Brytanii lorda Balfoura (z którym się przyjaźnił), i Lloyd George'a, premiera Francji Clemenceau – sprawa polska mogłaby się nie przebić na powojennym targowisku w Wersalu. Gdy ustalono nowy ład geograficzny i polityczny świata, polscy politycy – z Romanem Dmowskim, Józefem Piłsudskim, Wincentym Witosem i innymi przywódcami krajowymi – nie byli znani w Europie, a co dopiero w Ameryce.

Paderewski osobiście udzielał wskazówek najważniejszym politykom świata, przedstawiał krzywdę Polski, która została rozgrabiona oraz zagarnięta przez Rosję, Prusy i Austrię, odwoływał się do ich poczucia sprawiedliwości. I swój cel osiągnął. Pomogła mu w tym oczywiście światowa sława, którą osiągnął jako artysta.

Kiedy w styczniu 1919 roku rozpoczęła się pod Paryżem Konferencja Pokojowa, Ignacy Paderewski stanął na czele polskiej delegacji i po przyjęciu warunków prezydenta Wilsona przez zwycięskie państwa podpisał się na traktacie. Jak sam to określił – tak spełnił się cel jego życia.

Gdy jako mały chłopiec w rodzinnym dworze w Kuryłówce na kresach został pobity batami przez rosyjskich Kozaków, którzy przyjechali aresztować jego ojca, poprzysiął sobie, że życie poświęci dla ratowania Polski. Jego kariera pianistyczna była ważna, aby zyskać pozycję i sławę. A zdobycie Ameryki potrzebne było, aby osiągnąć cel najważniejszy: wolność dla Polski.

Ignacy Jan Paderewski był premierem wolnej Polski przez pierwszy rok jej nowego istnienia. Jego życie i cel, który mu w nim przyświecał, powinny zawsze stanowić dla nas ważną lekcję. Tymczasem tego wielkiego Polaka trochę zapomnieliśmy. Czas to zmienić.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

Autor jest producentem i reżyserem filmowym, autorem scenariusza do serialu TVP „Kariera Nikodema Dyzmy”. Pracuje nad projektem filmu o Paderewskim.

KSIĘGARNIA



WYBIERAMY
RECENZUJEMY
REKOMENDUJEMY

DO KAŻDEGO ZAMÓWIENIA

PREZENT



Konieczna rejestracja w sklepie.
Oferta ważna do 11 czerwca 2017 r.



39,90 zł
29,90 zł



49,00 zł
32,50 zł



39,90 zł
31,90 zł



59,00 zł
39,50 zł



39,90 zł
26,50 zł

ZAMÓW:

www.ksiegarniadorzeczy.pl

☎ 12 431 25 78



**Z Wacławem Sikorskim,
żołnierzem Armii Krajowej i członkiem
Zrzeszenia „Wolność i Niezawisłość”**
rozmawia Piotr Włoczyk

Mój kat ma się świetnie

PIOTR WŁOCZYK: W miejscu aresztu przy ul. Rakowieckiej w Warszawie powstaje właśnie Muzeum Żołnierzy Wyklętych i Więźniów Politycznych PRL. Ilu świadków pańskiego śledztwa i procesu w więzieniu mokotowskim wciąż żyje?

WACŁAW SIKORSKI: To było 70 lat temu. Dzisiaj żyjemy już tylko ja i mój kat – mój rówieśnik, 92-letni Jerzy Kędziora, nieprawdopodobny sadysta z UB. Ten zwyrodnialec powinien teraz siedzieć, ale tak się to wszystko potoczyło dla niego szczęśliwie, że Kędziora jest na wolności i żyje sobie spokojnie w Warszawie. Jeżeli zaś chodzi o moich kolegów z celi śmierci więzienia mokotowskiego, to wszyscy oni już nie żyją.

Kim byli ci koledzy?

Siedziałem w celi śmierci m.in. z mjr. Hieronimem Dekutowskim „Zaporą” i jego żołnierzami Edmundem Tudrusem oraz Arkadiuszem Wasilewskim, a także Adamem Gajdkiem z WiN. Wszystkich ich odnaleziono niedawno na „Łączce”.

Adam Gajdek niedługo przed śmiercią dostał w paczce na Boże Narodzenie 1948 r. dwie cebulki związane wstążeczką. Nie można było przesyłać listów, co najwyżej paczki. Pokazał mi to, a ja skojarzyłem to z ciężką jego żony. Powiedziałem mu, że chyba ma bliźniaki. I wie pan co? Faktycznie okazało się, że urodzili mu się dwaj chłopcy! Nigdy jednak nie było mu dane ich zobaczyć – niedługo potem został rozstrzelany.

Nie wszystkim podoba się to nowe muzeum, nie mówię tylko o weteranach systemu komunistycznego. Część Polaków mówi, że ma już dość żołnierzy wyklętych.

A ja się bardzo cieszę, że w końcu zadbano o stworzenie miejsca pamięci w tym bardzo symbolicznym miejscu – w więzieniu, w którym komuniści wyrządzili porządnym ludziom tyle krzywdy. Trzeba nie mieć serca, żeby mieć „dosyć” tego tematu. Ja sam byłem tam „tylko” bity, ale niektórzy wspaniali ludzie, których wówczas poznałem, zostali tam zamordowani – np. mjr Dekutowski.

Jak wyglądało pana przesłuchanie?

Przesłuchiwał mnie oficer, którego twarzy właściwie nigdy nie widziałem – lampa świeciła mi cały czas prosto w oczy. To było w Pawilonie X na Mokotowie, który podlegał wyłącznie Ministerstwu Bezpieczeństwa Publicznego. Krzyczał cały czas: „Podpisz to!”.

Co to był za papier?

Przyznanie się, że jestem zdrajcą, szpiegiem amerykańskim, że ujawniałem personalia ludzi pracujących w MON. W momencie aresztowania – Informacja Wojskowa aresztowała mnie 28 lipca 1948 r. – pracowałem właśnie w MON. Wszyscy oficerowie nade mną to byli ruscy. Bardzo słabo po polsku mówili. Ja miałem maturę i potrzebowali kogoś, kto pisałby dla nich po polsku. Chciałem odejść





z wojska, iść na studia, ale mi nie pozwolono. Mój wujek Władysław Jedliński po wojnie był wysoko w strukturach Zrzeszenia „Wolność i Niezawisłość”, był szefem siatki wywiadowczej tej organizacji. Gdy wpadł wraz z innymi WiN-owcami, ubecy potwornie ich katowali. I w końcu ci ludzie nie wytrzymali, podali moje nazwisko...

Czyli faktycznie był pan źródłem informacji o tym, co się działo w Ludowym Wojsku Polskim.

Tak, ale w niewielkim zakresie, większość mi dopisano. Przecież Amerykanów to ja na oczy wtedy nie widziałem.

Na początku standarowo odmawiał pan podpisania zeznań?

Tak. Ten śledczy przekonywał mnie, że jest mu mnie szkoda, żebym podpisał zeznania, bo inaczej przyjdzie „kapitan Kędziora”. Powiedział mi: „Jemu wszyscy podpisują”. Jakiś czas odmawiałem podpisania, więc w końcu rzeczywiście przyszedł Kędziora. No i się zaczęło.

Bicie?

Nie tylko. Najpierw było: „Job twoju mać, podpiszesz czy nie?”. Kędziora wplatał co rusz ruskie słowa. Siedziałem na kiblu, bo wszystko odbywało się w jednej z cel. Katowanie zaczęło się od kopania – w plecy i tyłek. „Skurwysynu, nie widzisz, o co cię proszę?” – krzyczał.

Kazał mi się posunąć, postawił nogę na kiblu obok mnie i... jak mnie huknął w lewe ucho, to słuch straciłem. Bębenek mi pękł. Po jakimś czasie słuch trochę wrócił, ale do dziś bardzo źle słyszę na to ucho, muszę nosić aparat. Kędziora bił mnie nahajką, pałkami, „repertuar” miał bardzo urozmaicony. Przykładowo kazał mi robić przysiady...

... to akurat nie brzmi tak strasznie.

Tylko że Kędziora kazał mi stawać twarzą do ściany tak blisko, żebym dotykał jej nosem. I w ten sposób – nie odrywając od niej nosa – miałem robić przysiady. Proszę kiedyś spróbować. Nie da się. Drugi ze śledczych odliczał każdy przysiad, uderzając w kłosz lampy. Oczywiście przychodził moment, gdy siłą rzeczy musiałem oderwać twarz od ściany i wtedy Kędziora z całej siły uderzał moją głową o mur. Kablem, drutem mnie lał po plecach, nerkach. Kędziora nigdy mnie nie przesłuchiwał, on przychodził tylko po to, żeby mnie bić.

Jeszcze było sadzanie na odwróconym stołku – noga wrzyna się wtedy człowie-

kowi w odbyt... Nie dziwię się, iż niektórzy nie wierzą, że aż tak potwornie było na UB. Gdybym sam tego nie przeżył, to być może podchodziłbym z dystansem do tak drastycznych opisów.

Tak było do końca tego śledztwa, czyli do Bożego Narodzenia 1948 r. W sumie pięć miesięcy bicia w wykonaniu Kędziory.

Jak często był pan katowany?

Im się podobało: trzy, cztery razy w tygodniu. Bicie to jednak nie wszystko. W zapasie był jeszcze karcer. Buda mniej więcej metr na metr. Rozbierali mnie do naga i wchodziłem tam na czworakach. Siedziałem tam może dobę, a może dwa dni. Ciężko powiedzieć, ile dokładnie, bo czas przestawał wtedy dla mnie płynąć. Wszystko robiło się pod siebie... Miałem 23 lata, a proszę sobie wyobrazić, że płakałem tam jak małe dziecko. Potem z karceru z powrotem brali mnie na śledztwo i znów bicie.

Inny obrazek ze śledztwa: trwa przesłuchanie, otwierają się drzwi i wchodzi nagle jakiś facet w mundurze majora i krzyczy po rusku: „Nu kak, gadajet li niet?”. Potem spojrzał na płamę wody pod ciekącym kaloryferem i powiedział przesłuchującemu mnie oficerowi: „Jak nie gada, to dać mu tak w dupę, żeby poleciało z niego jak z tego kaloryfera”. Takie to instrukcje przekazywali sobie przy Rakowieckiej.

Po takim traktowaniu szybko zacząłem podpisywać wszystko, co mi podsuwali. Tak mnie tam katowali i męczyli, doprowadzili do takiego stanu, że podpisałbym każdy papier. Każdy! Dopiero niedawno, podczas procesu Kędziory, czytałem te materiały. Same bzdury tam powypisywali.

Proces kiblowy mógł się dzięki temu rozpocząć.

Wszystko odbywało się w jednej z więziennych cel w Pawilonie X. Podsądny siedział zwykle na kiblu, stąd nazwa. Mój adwokat powiedział mi, że wyrok jest już napisany i nic się z tym nie zrobi. Składowi przewodniczył „sędzia” Roman Różański.

„Sędzia” mówi pan z przekąsem...

Ponieważ facet, który mnie sądził, nie był żadnym sędzią! Różański przed wojną rznął na harmonii w ukraińskim zespole w Kołomyi...

Wyrok: śmierć przez rozstrzelanie. Jak pan to przyjął?

■ Tak jak każdy młody człowiek: nogi się pode mną ugięły. Miałem 23 lata, chciałem żyć. Po procesie zaciągnęli mnie do celi nr 35 na tzw. ogólniaku więzienia mokotowskiego.

Kto tam siedział?

Towarzystwo było mieszane. Dużo kaesów [kara śmierci – przyp. red.], dożywocia, ale ludzie z mniejszymi wyrokami też tam siedzieli. Wie pan, tam było tylu ludzi, że czasem nie byliśmy w stanie się odnaleźć na tej niewielkiej przecież przestrzeni. Któregoś razu postanowiliśmy się policzyć. Łóżek mieliśmy 27, a tymczasem okazało się, że było nas tam ok. 120! „Zapora” też tam był, siedziałem z nim aż do jego śmierci 7 marca 1949 r.

Była chwila na pożegnanie?

Gdy już wyprowadzali „Zaporę” na śmierć, ustawiła się do niego kolejka, ale oddziaływały nas poganiał. To było pod wieczór, ok. godz. 18, kazali mu wyjść z rzeczami. Chyba nie przesadzę, jeżeli powiem, że się zaprzyjaźniliśmy. To był fantastyczny, przemili człowiek.

W ogóle w celach poznałem samych niezwykłych ludzi. Zaczęło się od gen. Antoniego Hedy „Szarego”. Byliśmy aresztowani tego samego dnia i przyjaźniliśmy się aż do jego śmierci w 2008 r.

Na Mokotowie poznałem też legedarnego lotnika Stanisława Skalskiego. Opowiadał nam o podniebnych pojedynkach z Niemcami, bardzo urozmaicało to monotonię więzienną.

Siedzieli tam ze mną również przedwojenni oficerowie, np. legionista płk Jan Kryski, który jeszcze przed wojną brał udział w aresztowaniu za przekręty przy zakupie masek przeciwgazowych Michała Roli-Żymierskiego.

Ówczesnego ministra obrony narodowej?!

Tak, tego samego. II RP ukarała go za przekręty, więc potem zwąchał się z komunistami.

Siedział jeszcze ze mną ks. Kazimierz Fertak, który za poświęcenie sztandaru ludzi z NSZ dostał 15 lat więzienia.

Mieliśmy w celi jeszcze jednego duchownego – kapucyna brata Baltazara, czyli Andrzeja Cekusa, skazanego na 10 lat. Zaprzyjaźniliśmy się, niedawno bracia z jego zakonu poprosili mnie o opisanie tej sprawy, co też chętnie uczyniłem.

Brat Baltazar pytał mnie, czy boję się śmierci. Odpowiedziałem, że tak, oczy-

wiście. I on chciał napisać podanie do władz, żeby zamienić nasze wyroki...

Ta postawa wygląda znajomo.

No właśnie... Gdy tylko dowiedzieli się o tym inni więźniowie z celi, zaczęli go namawiać, żeby tego nie robił. Pamiętam, że „Zapora” powiedział wtedy: „Braciszku, nie wolno tego robić, bo was obu zabiją”.

Nie zgodziłem się na tę propozycję, choć byłem naprawdę przerażony, że mnie zabiją. Czekaliśmy obaj w strachu prawie trzy miesiące. W każdej chwili mogli mnie wziąć na rozwałkę, ta niepewność jutra była potworna.

W końcu 29 kwietnia przyszli po mnie i powiedzieli: „Sikorski, wychodzić, ale bez ciuchów!”. Gdyby to był wieczór, to wiadomo, że wtedy rozstrzelali. To było jednak południe, więc to musiała być inna sprawa. W kancelarii okazało się, że Bierut zamienił mi KS na dożywocie!

Polska do dziś patyczkuje się z tymi ludźmi, a ci bandyci nie mieli żadnych zahamowań, gdy sprawowali władzę

Jakim cudem?

Najwidoczniej zadziałało odwołanie do władz, które pomógł mi napisać Władysław Siła-Nowicki – razem siedzieliśmy w więzieniu. Ja nie miałem zielonego pojęcia o pisaniu odwołań, nic nie wiedziałem o procesach.

Dalej były więzienia w Rawiczu, Sztumie (krótko), później z powrotem Rawicz, Warszawa-Mokotów i Wronki aż do końca. Właśnie we Wronkach mnie wypuścili. Nigdy nie zapomnę historii z pociągu, gdy wracałem z więzienia do Warszawy. Byłem w więziennych ciuchach, każdy w pociągu wiedział, skąd jadę. Ludzie zaczęli mnie pytać o moją historię. Gdy powiedziałem im, za co siedziałem, zaczęli wyciągać jedzenie, karmić mnie. Łzy same napływają do oczu, gdy wspominam ten odruch solidarności.

Do domu wróciłem 9 lutego 1956 r. o godz. 9. Mama przy powitaniu spytała mnie, czy wiem, że dziś są moje urodziny – urodziłem się o godz. 9.10. Zupełnie o nich zapominałem, ale powiedziałem mamie, że gdybym pamiętał, to poczekał-

bym na klatce te 10 minut dłużej, żeby wrócić dokładnie o czasie.

Kiedy zaczął pan walkę o postawienie swojego kata przed sądem?

Od razu po upadku komuny. Jestem ostatnią z żyjących ofiar Kędzior. Po raz pierwszy byłem przesłuchiwany w tej sprawie w prokuraturze na początku lat 90. Prokurator położył przede mną kilkadziesiąt zdjęć różnych osób. Spytał, czy jestem w stanie rozpoznać Kędziorę. Oczywiście poznałem go.

Przez prawie 20 lat nic jednak nie wychodziło z osądzenia tego bandyty. IPN wszczął w 2004 r. śledztwo w sprawie Kędzior, ale umorzono je z powodu... śmierci ofiar. A ja?! Protestowałem w IPN przeciwko temu i jakoś udało się pociągnąć sprawę Kędzior dalej. W końcu został on skazany w 2012 r. na cztery lata więzienia. Poznał mnie na sprawie sądowej. Byłem oskarżycielem posiłkowym.

Powiedział przy tej okazji, że mnie nie bił i że jego zdaniem wszystko było wtedy załatwiane... „kulturalnie”. Poza tym powiedział, że przecież ja się przyznałem do wszystkiego. To już był szczyt bezczelności.

Ostatecznie nawet te cztery lata go ominęły.

Kędziora odwołał się od wyroku i zmniejszono mu odsiadkę do trzech lat. Znowu się odwołał do Sądu Najwyższego, ale na szczęście najwyższa instancja podtrzymała wyrok. Ostatecznie i tak nic z tego nie wyszło, bo sąd wypuścił go z więzienia po odbyciu tylko części kary z uwagi na wiek i – ponoć – zły stan zdrowia.

Chyba jednak nie chciałby pan, żeby państwo polskie trzymało w więzieniach chorych starców?

Tylko że komuniści bez zmrżenia oka skazali moją babcię w podeszłym wieku na więzienie za niedoniesienie na UB na własnego zięcia, mojego wujka Władysława Jedlińskiego, który był w WiN. Polska do dziś patyczkuje się z tymi ludźmi, a ci bandyci nie mieli żadnych zahamowań, gdy mieli władzę.

Cała ta sprawa z Kędziorą została podjęta za późno. Trzeba było ich wszystkich rozliczyć od razu po 1989 r., zabrać im emerytury zdobyte na męczeniu ludzi. Niestety, dopiero po latach zrozumiałem, że to był problem systemowy. Jednostka – w tym przypadku mówię o sobie – nie miała szans doprosić się sprawiedliwości w starciu z państwem, które przy okrągłym stole zagwarantowało katom bezkarność.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone



PIOTR ZYCHOWICZ

REALHISTORIK

Bolszewicy kontra Żydzi

Podczas wojny domowej w Rosji doszło do wielu pogromów ludności żydowskiej – grabieży, gwałtów i zabójstw. Według utartej opinii te pożałowania godne czyny były dziełem tylko białych. Rosyjskie formacje kontrrewolucyjne prześladowały Żydów w odwecie za wsparcie, jakiego część tej społeczności udzieliła rewolucji.

Sporo w tym prawdy – biali rzeczywiście dokonywali pogromów. Bolszewicy nie byli jednak wcale święci. Szczególnie „bojowa” wobec Żydów była 1. Armia Konna Siemiona Budionnego. O tej nieznanej karcie wojny domowej w ciekawej książce „O czerwonej Rosji, czerwonej Europie i czerwonym świecie” pisze prof. Aleksander Smoliński.

Pierwszy duży pogrom żołnierze Konarmii urządzili na początku 1920 r., po zajęciu Rostowa. W mieście znajdowały się składy wina, które zostały opróżnione przez czerwonych zdobywców. Następnie całkowicie pijani bolszewicy przystąpili do rabowania sklepów i rozbojów. Co ciekawe, powojenna „historiografia” sowiecka twierdziła, że pogromu tego dokonali..., „podszuwający się pod czerwonych biali”.

Potem było tylko gorzej. Jeźdźcy Budionnego grabili Żydów pod-

czas marszu na front polski, a także w samej Polsce.

„Niektórzy nieświadomie politycznie towarzysze kalają sławę dywizji – napisano w jednym z bolszewickich meldunków – dokonując podczas marszu grabieży ludności cywilnej, czym niszczą jej sympatię do Armii Czerwonej. Kradną oni wszystkie możliwe rzeczy, nie wyłączając damskich sukien. Armia Czerwona jest przeciw obrońcą ludzi pracy, a nie ich wrogiem”.

Jak widać – teoria swoje, a praktyka swoje. Co ciekawe, pogromy dokonywane przez czerwonoarmistów zostały odnotowane w wielkiej literaturze.

„Kilku kozaków rozstrzeliwało za szpiegostwo starego Żyda ze srebrną brodą – pisał Isaak Babel. – Starzec skowytał i wyrzywał się. Wówczas Kudria wziął go za głowę i wsadził ją sobie pod pachę.

Żyd przycichł i rozkraczył nogi. Kudria prawą ręką wyciągnął kindżał i zarznął starca ostrożnie, żeby się nie zabryzgać”.

Antysemickie wybryki żołnierzy Armii Czerwonej to ciekawy przyczynek do dyskusji o tzw. żydokomunie. Jak widać, prawdziwa historia często bardzo różni się od funkcjonujących na jej temat stereotypów. ©



★★★★★

ALEKSANDER
SMOLIŃSKI„O CZERWONĄ
ROSJĘ,
CZERWONĄ
EUROPĘ
I CZERWONY
ŚWIAT”WYDAWNICTWO
NAUKOWE UMK

SŁAWOMIR KOPER

HISTORIA WIECZNIE ŻYWA

PRL na wesoło

Stanisław Bareja zawsze specjalizował się w komediach. Początkowo były to filmy typowo rozrywkowe, z czasem reżyser coraz częściej wprowadzał karykaturalnie przetworzone elementy z otaczającej nas rzeczywistości. Nikt nie zapomni znakomitych dialogów z „Poszukiwanego, poszukiwanej” („Mój mąż

i w każdej swojej produkcji miał niewielką rolę, ale nigdy nie umieszczano jego nazwiska na liście wykonawców.

Sceny z jego komedii na stałe weszły do kultury masowej, reżyser był bowiem najlepszym specjalistą od filmowania absurdów codziennego życia w PRL. Jego „Misia” uważa się za absolutne arcydzieło, natomiast serial „Alternatywy 4” od pierwszej emisji zyskał status kultowego. Bareja wiernie oddał ówczesne realia.

Ogromne osiedle znajdujące się w ciągłej budowie, fatalna komunikacja, brak infrastruktury i problemy, które pod koniec XX stulecia w stolicy europejskiego państwa powinny już od dawna należeć do przeszłości. Z powodu peryferyjnego położenia dzielnicy występowały długie przerwy w dostawie prądu, ciepła i wody, a ogłoszenie tzw. 20. stopnia zasilania budziło wśród mieszkańców Ursynowa prawdziwą panikę. Oznaczało to w praktyce odcięcie osiedla od cywilizacji, gdyż w związku z przeciążeniem sieci przesyłowych bez skrupułów wyłączano prąd czy ogrzewanie. Unikano w ten sposób „strat” ciepła, które powodowała „najdalsza i najbardziej oddalona nitka sieci miejskiej”.

Kolejny serial Barei, „Zmiennicy”, był już niestety jego ostatnim dziełem. Reżyser zmarł przedwcześnie, w wieku zaledwie 57 lat (14 czerwca 1987 r.), i nigdy już się nie dowiemy, jakie absurdy III Rzeczypospolitej uznałby za godne do przedstawienia na ekranie. ©

„Alternatywy 4” od pierwszej emisji zyskały status serialu kultowego

jest z zawodu dyrektorem”), scen z produkcją bimbru na przemysłową skalę przez Mieczysława Czechowicza (Bareja osobiście też pędził znakomitej jakości samogon) ani puenty filmu sugerującej, że w PRL dobra pomoc domowa zarabia znacznie lepiej niż wykształcony inteligent. Po latach trudno zresztą uwierzyć, że Bareja nie cieszył się wówczas specjalnym uznaniem środowiska filmowego, a niektórzy aktorzy odmawiali współpracy z obawy, że później nie zostaną zatrudnieni przez „poważnych” reżyserów.

Na szczęście większość była jednak innego zdania, Bareja miał zresztą też swoich ulubionych wykonawców. Niemal w każdym jego filmie pojawiali się Wiesław Gołas i Wojciech Pokora, tworząc niezapomniane kreacje, a wtajemniczeni wiedzieli też o pewnej „słabości” reżysera. Bareja lubił grać



Tomasz P. Terlikowski

Dlaczego Kościół w Belgii czy Holandii umiera? Ponieważ jest jak sól, która straciła smak! Nie jest nikomu do niczego potrzebny

Smutnym, ale bardzo mocnym dowodem na prawdziwość tej tezy jest historia z ostatnich tygodni, z niezwykle zasłużonym dla Belgii i belgijskiej psychiatrii zgromadzeniem Braci Miłosierdzia. Wspólnota ta, założona w roku 1807, od samego początku pomagała osobom z demencją, a w wieku XX wyrosła na potęgę psychiatryczną, bo z jej pomocy korzystało i korzysta ponad 5 tys. chorych psychicznie. Do niedawna jednym z elementów przyciągających chorych do ich placówek było to, że... akurat w nich nie wykonywano eutanazji, ale od kilku tygodni jest inaczej. Zarząd zakonnych szpitali zdecydował bowiem, że i w ich placówkach eutanazje będą wykonywane. „Poważnie traktujemy beznadziejne cierpienia nie do zniesienia i prośbę pacjentów o eutanazję. Z drugiej jednak strony chcemy chronić życie i zadbać o to, by eutanazja była wykonywana tylko wtedy, gdy nie ma już rozsądnej możliwości wyleczenia pacjenta” – napisali przedstawiciele zgromadzenia na swojej belgijskiej stronie internetowej.

DEPRESJA? DEMENCJA? WSKAZANIE DO LIKWIDACJI

O jakie to poważne sytuacje chodzi? Odpowiedź jest prosta – o niemal każde. Eutanazja, zgodnie z belgijskim prawem, dostępna jest obecnie dla osób ze schizofrenią, z zaburzeniami osobowości, depresją i autyzmem. I choć wydawać się może absurdem uznanie, że pomocą osobie w depresji czy z myślami samobójczymi może być jej uśmiercenie, a rehabilitacja autyzmu może polegać na likwidacji chorego, to tak właśnie to w Belgii wygląda, a od niedawna tak samo będzie wyglądać w katolickich szpitalach prowadzonych przez zgromadzenie Braci Miłosierdzia. – Chcemy, by nasi pacjenci mieli możliwość wyboru opcji: pro-life albo eutanazji – mówi szef ciała zarządzającego szpitalami zgromadzenia Raf De Rycke. Jego zdaniem postawa taka nie jest sprzeczna z tym,

czego naucza Franciszek, który mocno sprzeciwia się eutanazji. – Zaczynamy od tych samych fundamentalnych wartości: nienaruszalność życia jest dla nas ważnym fundamentem, ale nie jest ona dla nas wartością absolutną. W tej kwestii nadajemy na innych falach niż Rzym – mówi De Rycke.

Innego zdania jest jednak przełożony generalny zgromadzenia, także Belg, brat René Stockman. – Ubolewamy nad tą nową wizją – podkreślał już w pierwszych dniach po opublikowaniu informacji o eutanazyjnych planach zakonnych szpitali generał zgromadzenia. A kilka naciśnię dni później w niezwykle mocnym tekście opublikowanym na łamach „Catholic Herald” zakonnik podkreślał, że decyzja zarządu szpitali jest nie do pogodzenia z katolicyzmem, chrześcijań-

stwem i charyzmatem zakonu. „Od dwustu lat Bracia Miłosierdzia i nasi pracownicy robili wszystko, aby towarzyszyć, leczyć, wspomagać pacjentów w najlepszy z możliwych sposobów” – podkreślił brat. „Obecnie medycyna czyni ogromne postępy w leczeniu chorób psychicznych, a nawet, gdy nie jesteśmy w stanie wyleczyć ich do końca, zawsze możemy towarzyszyć chorym” – zaznaczył.

Jego zdaniem zachowanie tej decyzji miałyby złe konsekwencje prawne, bo może oznaczać, że szpitale Braci Miłosierdzia przestaną być bezpiecznymi miejscami dla chorych. Dlatego – podkreśla brat Stockman – jedynym rozsądnym wyjściem jest... wycofanie się z tej decyzji i przywrócenie sytuacji całkowitej nienaruszalności życia ludzkiego. „Możemy mieć jedynie nadzieję i modlić





wchodzi tylko dwóch zakonników. Świecka większość zarządu – złożona z kulturowych już tylko katolików, którzy niewiele mają wspólnego z realnie przeżywaną wiarą – zagłosowała za eutanazją, a zakon nic im zrobić nie może. Ostre opinie generała są więc tylko słowami, za którymi nie idą, bo iść nie mogą, konkretne decyzje.

Jakby tego było mało, choć Bracia Miłosierdzia wcześniej nie wykonywali eutanazji w swoich szpitalach, to ich pacjenci i tak byli poddawani eutanazji. Zgodnie bowiem z przyjętymi wcześniej zasadami, jeśli pacjent zaczynał domagać się śmierci, to umawiano go na „zabieg” w innym, świeckim szpitalu i specjalna karetka dowoziła go tam. Jednak nawet takie – wydawać by się mogło – „kompromisowe” (choć, powiedzmy jasno, jest to niedopuszczalne moralnie i religijnie) rozwiązanie nie zadowalało państwa. Od jakiegoś czasu sądy belgijskie orzekały wysokie grzywny nakładane na katolickie ośrodki, które odmawiały wykonywania eutanazji czy odwoziły proszących o nią pacjentów w inne miejsce. I to właśnie te kolejne kary, a także rosnący nacisk władzy sprawiły, że zarząd szpitali należących do zgromadzenia zdecydował się zmienić swoje podejście do eutanazji. Co to oznacza? W największym skrócie tyle, że wycofanie się z tej decyzji będzie niezmiernie trudne prawnie i społecznie.

DŁUGO ODMAWIANE POPARCIE

Będzie to tym trudniejsze, że bardzo długo nie widać było najsłabszego choćby poparcia dla osamotnionego, sprzeciwiającego się eutanazji przełożonego generalnego zgromadzenia ze strony belgijskich biskupów. A nawet gorzej, jako pierwszy w mediach wypowiedział się znany ze swoich prohomoseksualnych i postępowych poglądów bp Johan Bonny z Antwerpii. Hierarcha, co ciekawe, zaczął swoją wypowiedź dla mediów od tego, że nie przeczytał jeszcze dokumentu Braci Miłosierdzia ani nie zna go w całości. W niczym nie przeszkodziło mu to jednak podkreślić, że jego zdaniem dokument wygląda na „zniuansowany”. – Wyobrażam sobie, że kongregacja taka jak Bracia Miłosierdzia, która jest aktywna na całym świecie, może mieć trudności z zachowaniem takich samych standardów moralnych w różnych miejscach – mówił bp Bonny. – Szczególnie bracia muszą wypracować modus vivendi w naszym społeczeństwie między medycznym punktem widzenia,

moralnymi ocenami, opinią publiczną a otaczającą kulturą – przekonywał biskup.

Te słowa nie powinny zresztą szczególnie zaskakiwać, jeśli weźmiemy pod uwagę, że dosłownie kilka tygodni temu katolicki uniwersytet w Louvain zwolnił z pracy filozofa, który w skrypcie dla studentów uznał aborcję za zabójstwo. Na stronach uniwersytetu można było także znaleźć oświadczenie, z którego wynika, że katolicki rzekomo uniwersytet uznaje aborcję za prawo kobiet, a jakiekolwiek próby jego negatywnego oceniania odrzuca i uznaje za niezgodne z własnymi wartościami. Szpitale tego uniwersytetu od dawna wykonują aborcję. Decyzję w sprawie wykładowcy Stéphane’a Merciera wsparł oficjalnie także rzecznik prasowy Konferencji Episkopatu Belgii.

Na szczęście – po kilku tygodniach zwłoki – w kwestii eutanazji w zakonnych szpitalach biskupi belgijscy zajęli roztropniejsze i bardziej katolickie stanowisko. „Nie możemy się zgodzić, by eutanazja była praktykowana na chorych psychicznie pacjentach, którzy nie są terminalnie chorzy” – napisali biskupi. I dodali, że zgoda na eutanazję to „atak na fundamenty naszej cywilizacji”. Te słowa osłabili jednak podkreśleniem, że „wzywają do wielkiej ostrożności w tej kwestii”, a także do „kontynuowania dialogu w tej sprawie”. Oświadczenie, choć niewątpliwie ważne, nie jest jednak dość jednoznaczne, bo można z niego wyciągnąć wnioski, że w sytuacji choroby terminalnej eutanazja jest jakimś rozwiązaniem. Wezwanie do dalszego dialogu to zaś uznanie, że stanowisko dopuszczające likwidację chorych jest w ogóle, na poważnie, warte dyskusji.

Cała ta historia z niezmierną wyrazistością pokazuje powód, dla którego Kościół w Belgii powoli przestaje istnieć. Jego przedstawiciele robią bowiem wszystko, by przekonywać, że niczym nie różnią się od liberalnego świata, że są tak samo liberalni i tak samo otwarci, że akceptują wszystkie jego nowinki, a jeśli do czegoś wzywają, to jedynie do ostrożności i dialogu. Tyle że taki Kościół nie jest nikomu do niczego potrzebny. Jest jak sól, która straciła smak, i jako taka nadaje się tylko do wyrzucenia. Kościół, jeśli chce przetrwać w Europie (bo gdzie indziej ma się, co warto przypominać, nieźle), musi odrzucić tę drogę. Belgia i Holandia, a także smutna historia Braci Miłosierdzia dobitnie ją bowiem falsyfikują. © © Wszelkie prawa zastrzeżone

się, że przekonanie o całkowitej nienaruszalności życia stanie się z powrotem jedyną dopuszczalną opcją. To jedyne podejście zgodne z charyzmatem naszej kongregacji. W ten sposób żył i taki sposób życia oraz posługiwania nam powierzył nasz umiłowany założyciel sługa Boży Peter Joseph Triest” – podkreślił brat Stockman. A za słowami poszły działania. Przełożony generalny zgromadzenia zgłosił sprawę do Stolicy Apostolskiej, która wszczęła dochodzenie w tej skandalicznej sprawie.

SŁOWA, SŁOWA, SŁOWA

Tyle tylko, że te ostre i jednoznaczne sformułowania, a także dochodzenie wszczęte przez Watykan, nic w istocie nie zmieniają. Decyzję podjął bowiem zarząd szpitali zgromadzenia, w którego skład



Witold Repetowicz
z Iraku

Barbarzyńcy Państwa Islamskiego w trzy lata dokonali w Hatrze większych zniszczeń, niż to starożytne miasto doświadczyło kiedykolwiek w swej historii

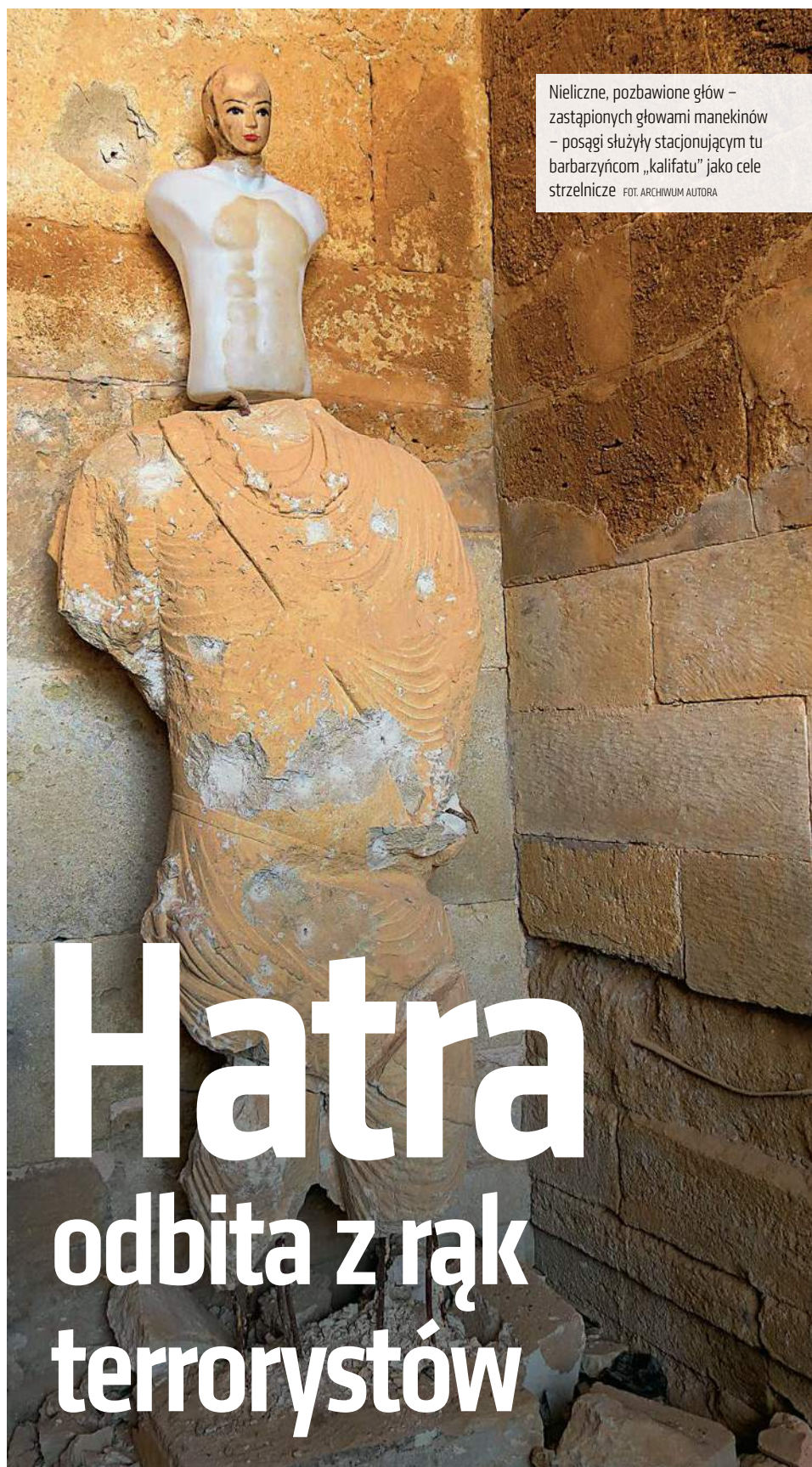
Wiosną równinny bezkres zachodniej części irackiej prowincji Niniwa pokryty jest zielonym dywanem trawy.

Przez większość roku to tylko piach. Tereny te kryją jednak prawdziwy klejnot, do którego niegdyś ciągnęli i turyści, i archeolodzy, a który zwie się Hatra.

Ruch na tej pustyni, pozbawionej w zasadzie utwardzonych dróg, jest niezwykle intensywny. Tak jest tu od kilku miesięcy, czyli od czasu, gdy szyckie oddziały irackie Haszid Szaabi, wspierane przez miejscowych sunnickich beduinów z oddziałów Haszed Aszari, przeganiają z tego terenu coraz słabsze, ale zaciekle stawiające opór, oddziały Państwa Islamskiego.

Iracka prowincja Niniwa zajmuje obszar ponad 37 tys. km kw., czyli nieco więcej niż województwo mazowieckie, z czego dwie trzecie znajduje się na zachodnim brzegu przecinającego ją Tygrysu. Stolicą tej często wspominatej w Biblii krainy jest Mosul, od ponad pół roku odbijany przez armię iracką. To po zdobyciu tego właśnie miasta dawna Al-Kaida Iraku ogłosiła powstanie kalifatu pod nazwą Państwo Islamskie. Tereny Niniwy na wschód od Tygrysu zostały już odbite, ale zachodnia część jest inna. Im dalej na zachód od Tygrysu, tym mniej osad i dróg. Łatwiej też jest się zgubić.

Stanęliśmy. Nasza kolumna składała się z sześciu land roverów i pick-upów. Pierwsza grupa dziennikarzy, zmierzająca do odbitej dwa dni wcześniej (26 kwietnia) przez Irakijczyków Hatry. Wysiedliśmy. Droge, której nie było, zagroziło nam przypominające wijącą się wstęgę pęknięcie w ziemi: koryto wyschniętej rzeki. Za nim teren lekko się podnosił, zasłaniając to, co było dalej. Kierujący kolumną Irakijczycy z medialnego oddziału Haszed Szaabi po kilku minutach konsultacji przez krótkofalówki zakomenderowali: „Wsiadać! Zawracamy!”. Okazało się,



Nieliczne, pozbawione głów – zastąpionych głowami manekinów – posągi służyły stacjonującym tu barbarzyńcom „kalifatu” jako cele strzelnicze FOT. ARCHIWUM AUTORA

Hatra odbita z rąk terrorystów

że zabłądziliśmy i wjechaliśmy na tereny Państwa Islamskiego.

Pędziliśmy z miasteczka Tel Abtah, jednego z nielicznych na tym terenie, do Hatry. W linii prostej to ok. 45 km. Jadąc widocznymi na mapie drogami – jakieś 250 km. Jechaliśmy więc poniekąd na przełaj. Stąd ta drobna przygoda, która na szczęście nie miała żadnego nieprzyjemnego finału w postaci pomarańczowego wdzięku i widowiskowej egzekucji.

PERŁA NA PUSTYNI

Niniwa to kolebka cywilizacji. Miejsce, gdzie kolejno rozwijały się starożytne państwa Sumerów, Akadyjczyków i Asyryjczyków. Sam Mosul powstał na gruzach asyryjskiej stolicy, której imię wciąż nosi cała ta prowincja: Niniwa. Nieco bardziej na południe, w dolinie Tygrysu, znajdują się jeszcze ruiny dwóch innych asyryjskich metropolii: Aszuru oraz Nimrodu. Jednak to Hatra, choć powstała nieco później, była do niedawna uważana za najważniejszy zabytek tej prowincji. To ona jest pierwszym obiektem w Iraku wpisanym na listę światowego dziedzictwa UNESCO (w 1985 r.), a reżim Saddama Husajna podjął szeroko zakrojone prace rekonstrukcyjne, dokładnie jednak odznaczając elementy wprowadzane w ramach odbudowy od tych oryginalnych. W przeciwieństwie do wspomnianych wcześniej trzech asyryjskich miast Hatra nie została zbudowana nad Tygrysem, lecz w środku niczego, na pustyni.

Dlatego ujrzelśmy ją już z odległości kilku kilometrów. To zresztą ogromny obiekt, ale rozrzucone na przestrzeni 320 ha ruiny, poza głównym kompleksem świątynnym, mają bardziej wartość archeologiczną. Otaczają je dwa rzędy murów, na których dwukrotnie, w II w. n.e., połamali sobie zęby Rzymianie, próbując zdobyć to miasto. W 116 r. był to potężny cesarz Trajan, którego zwycięskie wyprawy wojenne uwieczniły jego imię w rzymskiej frazie: „Sis felicior Augusto, melior Traiano”, tj. „Bądź szczęśliwszy od Augusta i lepszy od Trajana”. Tutaj, pod Hatrą, nie okazał się jednak aż tak dobry. W 198 r. tego samego próbował Septymiusz Sewer, ale z podobnym, czyli marnym skutkiem.

Położenie Hatry stało się przyczyną dwóch rzeczy, które w XX w. przyniosły jej sławę architektonicznej perły górnej Mezopotamii. Po pierwsze, lokalizacja na styku Wschodu i Zachodu, w cywilizacyjnej kolebce, przyniosła swoisty eklektyzm, połączenie wpływów greckich, rzymskich,

perskich, partyjskich, arabskich i asyryjskich w miejscowej sztuce, architekturze oraz panteonie bóstw. Po drugie, absolutna izolacja tego miasta-państwa, czyli brak jakichkolwiek innych osad w jego pobliżu na przestrzeni kilkunastu kolejnych wieków, spowodowała, że ruiny zachowały się w perfekcyjnym stanie, nierozgrabione przez poszukiwaczy darmowego materiału budowlanego. Wystarczyły jednak trzy lata rządów barbarzyńców Państwa Islamskiego w tym miejscu, by dokonać większych zniszczeń, aniżeli miasto to, czy też jego ruiny, doświadczyło kiedykolwiek w swej historii. W 2015 r. pojawiły się nawet informacje, że Państwo Islamskie zrównało Hatrę z ziemią. Na szczęście okazały się nieprawdziwe.

Gdy siły specjalne (al-Amalijat al-Chasa) Haszed Szaabi zdecydowały się nas przepuścić przez bramę wewnętrznych murów miasta, pierwszym moim odczuciem była ulga. Zobaczyłem bowiem, że Hatra wciąż stoi. W odległości kilkuset metrów od głównego wejścia wyraźnie było widać zbudowaną w greckim stylu świątynię, otoczoną kolumnami w stylu korynckim. Za stojącym za nią murem znajduje się natomiast główny kompleks świątynny.

SKALA BARBARZYŃSTWA

Wahanie specjalsów Haszed Szaabi wynikało z troski o nasze bezpieczeństwo. Teren bowiem nie został jeszcze oczyszczony z tzw. IED (Improvised Explosive Devices), czyli bomb śmięciowych. To właśnie one zbierają największe żniwo śmierci w tej wojnie i raptem dzień wcześniej zabiły tu jednego irackiego dziennikarza. W końcu podjęto decyzję, że możemy wejść, ale musimy iść ścieżkami wskazanymi przez prowadzących nas żołnierzy. To oni właśnie dwa dni wcześniej, w wyniku operacji specjalnej, odbili to miejsce z rąk Państwa Islamskiego. Zaskoczeni terroryści nie stawiali większego oporu. Większość z nich uciekła i tylko kilku próbowało ostrzeliwać atakujących z wyrzutni rakietowych, ukrytych w niszach świątyni. Haszed Szaabi miało rozkaz nieużywania ciężkiej broni na terenie kompleksu ruin, by nie spotęgować zniszczeń. Oddziały te nie korzystają też z lotniczego wsparcia koalicji pod przywództwem USA. Jednak z helikoptera armii irackiej oddano dwa bardzo precyzyjne strzały, które dosłownie usmażyły broniących się terrorystów, nie uszkadzając w najmniejszym stopniu świątyni, w których się ukrywali. W jednej z nich obok zniszczonego pick-upa wciąż

leżały zwęglone szczątki jednego z tych, którzy dążąc do szybkich uciech cielesnych z 72 dziewicami, już w życiu doczesnym mogli doświadczyć kary, jaka ich zapewne czeka w piekle.

Dwóch młodych żołnierzy w czarnych mundurach z emblematami przedstawiającymi głowę orła na tle spadochronu i dwusiecznego miecza Alego (pierwszego szyickiego imama) poprowadziło nas najpierw do dwóch pomieszczeń gospodarczych, w których niedawno jeszcze były warsztaty archeologiczne. W pierwszym z nich na podłodze leżały fragmenty pocisków i dziwne obiekty przypominające długie, cienkie rurki zakończone kabelkami. – To elementy do produkcji bomb umieszczanych w samochodach, którymi później atakują nas terroryści samobójcy – wyjaśnił żołnierz. W drugim pomieszczeniu znajdowała się natomiast katownia.

W końcu doszliśmy do głównego kompleksu świątyni. Tutaj dopiero można było ujrzyć skalę barbarzyństwa Państwa Islamskiego. Terroryści usunęli niemal wszystkie liczne posągi, przedstawiające bogów i władców, a także skuli oblicza w równie licznych płaskorzeźbach. Dla ludzkości był to jeden z najważniejszych i najlepiej zachowanych przykładów sztuki partyjskiej. Dla terrorystów – zakazane przez ich boga portretowanie żywych istot: ludzi i zwierząt. Nieliczne, pozbawione głów – zastąpionych głowami manekinów – posągi służyły stacjonującym tu barbarzyńcom „kalifatu” jako cele strzelnicze. Do tego samego służyły terrorystom liczne kolumny, o czym świadczą tysiące dziur i odprysków. Część zniszczonych rzeźb wrzucili oni do dwóch nisz bocznych jednej ze świątyni, a następnie замуrowali ajwany do nich prowadzące.

Ajwan to duża zwieńczona łukiem brama prowadząca do wnętrza świątyni, pałacu lub niszy. Dzisiaj kojarzy się on głównie z meczetami, ale wymyślili je właśnie Partowie i świątynie Hatry obfitują w ten oryginalny element architektoniczny. Najpotężniejszy tutejszy ajwan prowadzi do wnętrza świątyni asyryjskiego boga Słońca – Szamasza, patrona miasta. Tego na szczęście nie zniszczyli.

Hatra wciąż robi wrażenie i pozostanie ważnym pomnikiem cywilizacji międzyrzecza Eufratu i Tygrysu. Część rzeźb być może uda się odtworzyć i ponownie ustawić tam, gdzie stały przez kilkanaście wieków. Skala nieodwracalnych zniszczeń jest jednak ogromna. © © Wszelkie prawa zastrzeżone

TATUAŻEM W TERRORYSTÓW

Do ogromnego arsenału środków, za pomocą których Europejczycy walczą z islamskimi zamachowcami (dla niewtajemniczonych: marsze żałobne, marsze protestacyjne, trzymanie się za ręce, składanie kwiatów, wypisywanie kredą na ulicach hasła), dołączył właśnie kolejny. Po jednym z najtragiczniejszych w Wielkiej Brytanii zamachów, w którym terrorysta zabił w Manchesterze bombą 22 osoby, a blisko 60 ranił, Brytyjczycy ruszyli do salonów tatuaży. Tam każą sobie tatuować rysunek pszczoły, która jest symbolem Manchesteru. Jak relacjonowały brytyjskie media, przed salonami ozdabiania ciał ustawiały się kolejki, niektóre z nich liczyły po kilkaset osób. Dla tych, którzy załamali ręce nad nową koncepcją sprzeciwiania się terrorystom, jest małe pocieszenie – tatuażyści postanowili zebrane podczas tej akcji pieniądze przeznaczyć na pomoc rodzinom ofiar ostatniej tragedii.



FOT. CHRISTOPHER FURLONG/GETTY IMAGES

WIEKOWI NIELETNI

To wiadomość podwójnie wstrząsająca. Po pierwsze dlatego, że oto delikatni i ostrożni Szwedzi (którzy nie podają nawet narodowości etnicznej sprawców przestępstw, by nie piętnować żadnej grupy społecznej) postanowili sprawdzić wiek przebywających w ich kraju uchodźców – szwedzki urząd migracyjny wysłał na badania 4,2 tys. „uchodźców”, którzy składając wnioski o azyl, mogli celowo zaniżyć na papierze swój wiek. Trzeba przyznać, że jak na Szwedów był

to akt wyjątkowej opresji wobec przyszłości. Sprawa jest szokująca po wtóre dlatego, że – jak wynika z danych szwedzkiego Krajowego Urzędu Medycyny Sądowej (a przebadano dopiero 14 proc. podejrzanych) – w ponad 75 proc. okazało się, że podający się za nieletnich mężczyźni (zaledwie 4 proc. wśród przeznaczonych do sprawdzenia to kobiety) mieli 18 lub więcej lat. Jest też dowód, że coś naprawdę niedobrego stało się z tolerancyjnymi Szwedami – ich urząd migracyjny zamierza wysłać na badania dotyczące ustalania wieku w sumie ponad 14 tys. imigrantów.

PREMIA ZA KOTA

Firmy od dawna stosują wiele zabiegów, by – poza płaceniem pensji – zatrzymać na dłużej u siebie pracowników. Dają karty wstępu na siłownię, baseny oraz zapewniają prywatną opiekę zdrowotną. Czasem pozwalają przyprowadzać do pracy psa czy kota. Japońska firma Ferray nie tylko zgadza się, by pracownicy przyszli z kotem (dziś w biurze regularnie pojawia się 10 futrzaków), lecz także daje specjalne premie tym pracownikom, którzy zdecydowali się na przysiągnięcie bezpańskiego czworonoga (ok. 45 dol. miesięcznie). Wszystko to jest pomysły i chwalebne, choć – jak przyznaje szefostwo tego informatycznego przedsiębiorstwa – stwarza też problemy. Wydajność pracy się obniżyła, bo kucury potrafią czasem wcisnąć niespodziewanie jakiś przycisk na klawiaturze komputera.

OSKARŻYŁA SZKOŁĘ O ZBRODNIĘ

Wiadomo, że czasy się zmieniały i dziś uczniowie mogą pozwolić sobie na dużo albo nawet bardzo dużo (włączając zakładanie kosza ze śmieciami na głowę nauczycielowi), bo nauczycielom nie wolno nic, a rodzice zwykle wstawiają się za występny potomstwem, zamiast zafundować im rzetelne wychowanie. Czasem jednak dzieci potrafią swoje zdanie dobrze uzasadnić. Tak zrobiła jedna z uczennic w Glasgow. Gdy wypełniała ankietę o szkole, w miejscu odpowiedzi na pytanie: „Co twój nauczyciel mógłby robić lepiej?” oskarżyła swojego pedagoga o... łamanie konwencji genewskiej. Dowodziła, że karanie całej klasy za złe zachowanie jednej osoby wypełnia znamiona zakazanej przez konwencję działalności zbiorowej, co można zakwalifikować jako „zbrodnię wojenną”. Nie wiadomo, jaka była reakcja nauczyciela.

DENTYSTKA SADYSTKA

Klienci prywatnych klinik stomatologicznych powinni uważać, zwłaszcza w Rosji. Jedna z mieszanek Petersburga uwierzyła lekarce, która przedstawiła jej „zakres koniecznych usług dentystycznych” do wykonania. W ten sposób pacjentka wydała ponad 800 tys. rubli i straciła 22 całkiem zdrowe zęby. W ich miejsce wstawiono jej protezy marnej jakości. Przeciwno dentystce wszczęto śledztwo. ©

STRONĘ PRZYGOTOWAŁ ŁUKASZ ZBORALSKI



SZEWACH WEISS

Nie dajmy się **terrorystom**

Problem uchodźców stał się jednym z najważniejszych tematów medialnych i politycznych nie tylko w Europie, lecz także na całym świecie. W tej debacie publicyści i politycy często używają Państwa Izrael jako przykładu kraju, który umie skutecznie bronić się przed terroryzmem. Coś w tym jest, ale również wokół tej sprawy narastają mity. I warto je wyjaśnić. Nie każdy uchodźca jest muzułmaninem, nie każdy uchodźca jest terrorystą i nie każdy terrorysta jest uchodźcą.

Co do Izraela – kilka faktów historycznych. Państwo Izrael jest stworzone przez uchodźców i dla uchodźców. Przez migrantów dla migrantów żydowskich.

Nie tylko Izrael jest krajem zbudowanym przez imigrantów. Najważniejszym przykładem takiego kraju są Stany Zjednoczone, a także Kanada, większość państw południowoamerykańskich, Australia, Nowa Zelandia itd. Migranci i uchodźcy nie są zjawiskiem nowym.

Teraz sprawa migrantów łączona jest z terroryzmem. W tym miejscu warto podkreślić, że np. Palestyńczyk dokonujący zamachu w Izraelu przez społeczeń-

stwa własnego państwa, ale na tle historycznym, kulturowym i teologicznym likwidacja judeochrześcijaństwa. Z tego powodu prawie cały świat stał się frontem, co wzbudza strach. Jednak strach istnieje na świecie nie tylko z powodu takiego terroru. Wyobrażam sobie setki milionów ludzi żyjących w strachu w Chinach czy obywateli Korei Północnej, która stała się obozem koncentracyjnym.

Każdy zamach terrorystyczny ma okropny potencjał, a liczba ofiar jest przypadkowa. Zjawisko terroryzmu doprowadza do tego, że państwa demokratyczne odchodzą od swoich reguł i np. ogłaszają stany wyjątkowe. Z tego punktu widzenia terrorystom udało się ograniczyć prawa człowieka prawie na całym świecie. Nie każde państwo podchodzi do tej sprawy tak samo. Wielka Brytania prezentuje opanowane podejście. To jednak tylko pozory, bo całe królestwo płacze po Manchesterze.

Jednak co robi Izrael, by zmniejszyć liczbę ofiar? Po pierwsze, zbudowano mur. Była to decyzja bardzo krytykowana, jednak ten mur oszczędza życie obywateli Izraela – Żydów, Palestyńczyków, Arabów. Mam nadzieję, że kiedyś doczekamy się pokoju i materiały, z których mur jest zbudowany (konstrukcja typu „lego” to umożliwi), zostaną użyte np. do budowy parkanów w parkach.

Po drugie, Izrael ma bardzo sprawny i doświadczony wywiad zewnętrzny oraz wewnętrzny. Po trzecie, istnieją umowy, przeważnie nieoficjalne, z Autonomią Palestyńską, z jej prezydentem Mahmudem Abbasem dotyczące bezpieczeństwa. Bez pomocy Izraela jego życie byłoby zagrożone ze strony Hamasu. Z południowej strony sytuacja jest bardziej skomplikowana, bo tam de facto istnieje państwo, na którego czele stoi Hamas, ale które jest pod pełną kontrolą Iranu.

Nawet wtedy, gdy uda się osiągnąć stały pokój na Bliskim Wschodzie, nikt, a zwłaszcza doświadczony polityk, nie będzie mógł obiecać, że zamachów nie będzie. Zawsze znajdą się ludzie i grupy przeciwnie kompromisowi, które będą terroryzować Bliski Wschód i Izrael. Czy można się do tego przyzwyczaić? Pewnie nie, ale chyba nie ma alternatywy.

Trzeba żyć dalej. I nawet w tej atmosferze strachu w dalszym ciągu szanować prawa człowieka i bronić się przed stereotypowym podejściem do wszystkich muzułmanów, a także zrobić wszystko, by uspokoić tę wiosnę narodów w Syrii i Iraku. A na to są szanse tylko przy współpracy Stanów Zjednoczonych i Rosji.

Większość imigrantów w ostatnich latach to nie są uchodźcy uciekający przed wojną w Syrii. Są zatem emigrantami czy uchodźcami? To nie jest najważniejsze, bo tak naprawdę szukają wolności, lepszego życia. Chcą mieszkać w wolnym świecie, na wyższym poziomie. Czasami uciekają od dyktatury, czasami z powodu prześladowań na tle etnicznym, ale przeważnie z powodów ekonomicznych. Tak jak jest od setek lat, kiedy ludzie szukali lepszego miejsca do życia. W historii zdarzały się też wielkie migracje z Europy. I też można powiedzieć, że były związane z terroryzmem. To, co robili mieszkańcy europejskich krajów wobec Indian, wobec rdzennych mieszkańców i plemion żyjących chociażby w centralnej czy południowej Ameryce, było znacznie okropniejsze od tego, z czym mamy do czynienia dziś. Do tych kwestii trzeba podchodzić bardzo poważnie, bo oczywiście trudno żyć w atmosferze strachu, ale trzeba patrzeć na ten problem z różnych perspektyw, również z perspektywy historycznej. © **oprac. raw**

**Nie każdy uchodźca jest muzułmaninem,
nie każdy uchodźca jest terrorystą
i nie każdy terrorysta jest uchodźcą**

stwo izraelskie postrzegany jest jako terrorysta, ale dla większości Palestyńczyków czy Arabów jest bohaterem.

Tak samo jest z terrorystami z Państwa Islamskiego (PI), które nie ma dokładnie określonych granic, ale jest siłą opartą na ideologii islamskiego ekstremizmu, której celem nie jest



Jacek Przybylski

Po Nowym Jorku, Berlinie czy Paryżu również w Warszawie i Krakowie zamiast kupować własne auto, można je wynająć niczym miejski rower na kwadrans lub kilka godzin

Sciągamy aplikację na smartfona. Podchodzimy do stojącego na ulicy auta. Za pomocą telefonu otwieramy drzwi, odpalamy auto i wyruszamy w podróż po mieście. Samochód zostawiamy niemal w dowolnym miejscu... To nie wyznanie skruszonych młodocianych złodziei aut, lecz uproszczony opis tego, jak w praktyce działa jeden z modeli carsharingu, który z ogromnym rozpędem wjeżdża właśnie na ulice Warszawy.

Koncepcja tzw. współdzielenia samochodów, która pojawiła się w Szwajcarii już po II wojnie światowej, na dobre przyjęła się na Zachodzie kilkanaście lat temu. Obecnie systemy krótkoterminowego wynajmu aut działają już w ponad tysiącu miast. Według najnowszego raportu Global Market Insights wartość globalnego rynku carsharingu ma wzrosnąć z 1,2 mld dol. w roku 2015 do nawet 16,5 mld dol. w 2024 r. W latach 2016–2024 roczne tempo wzrostu ma zaś wynieść aż 35 proc.

Obecnie z wynajmowanych na minuty aut korzysta na całym świecie ok. 10 mln osób. A według analiz ABI Research do 2030 r. z usług carsharingowych będzie korzystał już 400 mln osób. Rynek rośnie, ponieważ użytkownicy współdzielonych aut nie muszą wykładać pieniędzy na ich kupno, utrzymanie, ubezpieczenie, naprawy lub mycie. Nie muszą nawet pamiętać o tankowaniu. Wszystko jest już bowiem wliczone w cenę krótkoterminowego wynajmu, której wysokość zależy od czasu wynajęcia samochodu oraz pokonanego dystansu.

Władze wielu zachodnich metropolii od lat promują ten sposób komunikacji, bo pozwala on na ograniczenie liczby aut, a przez to zmniejszenie korków i zanieczyszczenia powietrza. Szacuje się, że jeden samochód jeżdżący w formule współdzielenia może zastąpić w ruchu

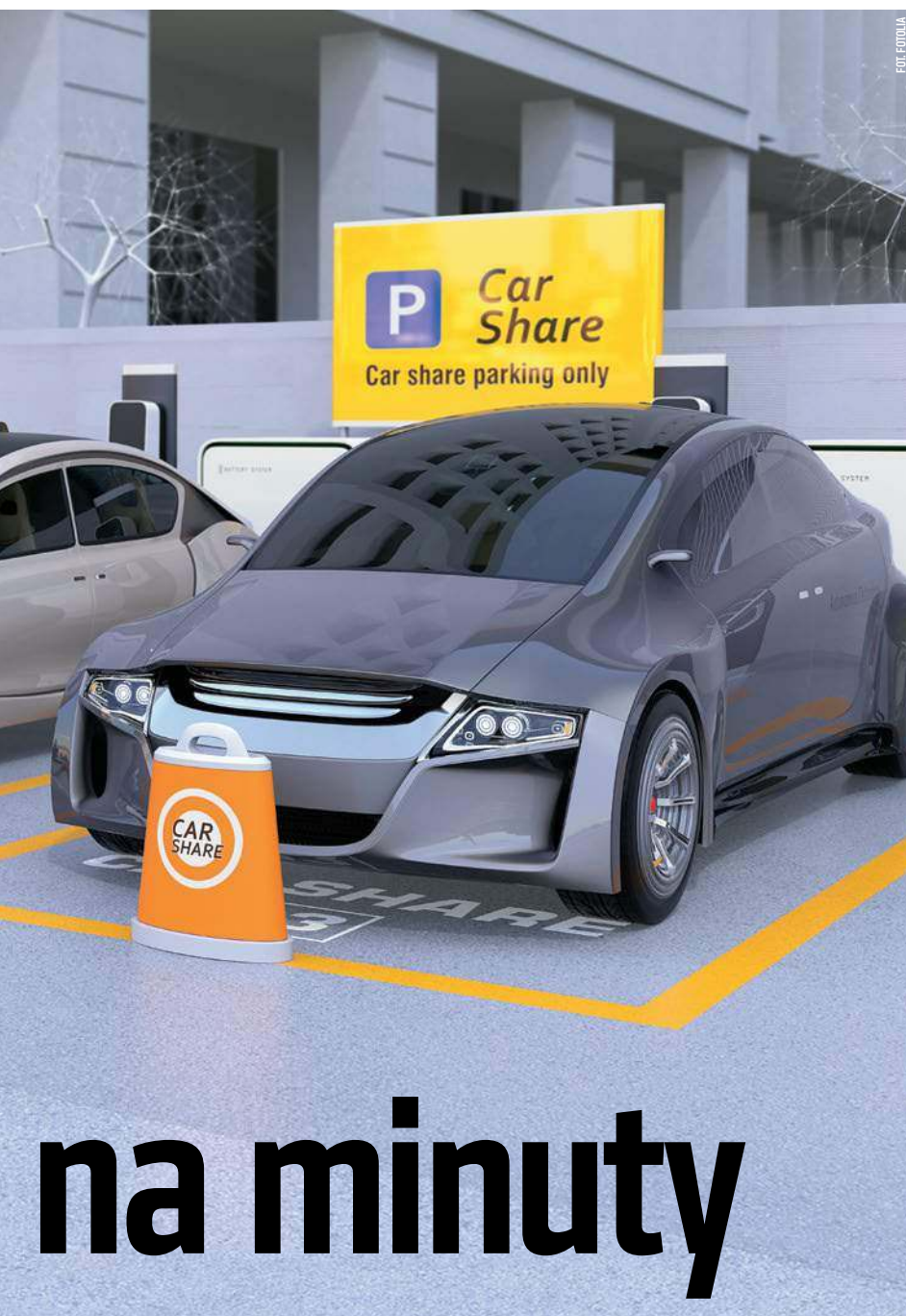


miejskim od 12 do 19 aut prywatnych. Z badań wynika również, że użytkownicy wypożyczanych na krótki czas samochodów jeżdżą o prawie jedną trzecią mniej, niż gdyby korzystali z prywatnego auta.

SMARTFON ZAMIAST KLUCZYKA

1 czerwca w Warszawie system współdzielenia aut uruchomiła firma Traficar. Do dyspozycji klientów jest 100 srebrnych samochodów Renault

Clio, które odnaleźć można na ulicach siedmiu dzielnic (Śródmieście, Żoliborz, Woli, Ochoty, Mokotowa, Pragi-Północ i Pragi-Południe). Docelowo usługa ma objąć całą stolicę, a do dyspozycji użytkowników ma być 300 samochodów. W ciągu najbliższych dwóch tygodni uruchomienie podobnej usługi w Warszawie planuje również spółka Panek CarSharing, która udostępni użytkownikom 300 hybrydowych toyot yaris.



na minuty

W Krakowie – gdzie Traficar uruchomił carsharing 1 października zeszłego roku – w systemie firmy zarejestrowało się już ponad 15 tys. osób, którzy pokonali w sumie ponad 400 tys. km. Początkowo kierowcy mieli do dyspozycji 100 aut, ale zainteresowanie usługą jest na tyle duże, że od maja krakowska flota powiększyła się do 200 samochodów.

Jak to dokładnie działa? W przypadku usług oferowanych przez Traficar

oraz Panek CarSharing najpierw rejestrujemy się w systemie (trzeba podać dane osobowe, zrobić zdjęcie prawa jazdy oraz podpisać kartę płatniczą, z której będą ściągane opłaty), a po aktywowaniu konta na interaktywnej mapie miasta szukamy wolnych samochodów najbliższych nas (aplikacje podpowiadają szacunkowy czas dojścia do konkretnego wozu). Wybrane auto możemy bezpłatnie zarezerwować

na 15 minut (w przypadku platformy Traficar) lub 30 minut (w przypadku Panek CarSharing). A gdy już do niego dojdziemy, znów wystarczy smartfon, aby auto otworzyć (warto jednak najpierw obejrzeć dokładnie pojazd, aby się upewnić, że wszystko jest z nim w porządku, i zgłosić operatorom ewentualne uszkodzenia).

Korzystając z usług Traficar, aby otworzyć drzwi za pomocą telefonu, skanujemy widniejący na szybie kod QR. Kluczyk znajduje się w środku. W przypadku Panek CarSharing nie skanujemy kodu, zamiast tego klikamy „otwórz” w aplikacji, a po wejściu do auta uruchamiamy je po prostu za pomocą przycisku „start”. Po kilkunastu czy kilkudziesięciu minutach jazdy samochód można zostawić w niemalże dowolnym miejscu. Niemalże – bo choć autem można po wypożyczeniu wyjechać poza wyznaczoną strefę działania Traficar – to przynajmniej w razie zostawienia trzeba je w jednej z wymienionych siedmiu dzielnic.

W Panek CarSharing pozostawianie aut ma być jeszcze łatwiejsze dla mieszkańców dalszych rejonów Warszawy. – Chcemy być obecnie nie tylko w centrum, lecz także w peryferyjnych dzielnicach stolicy. Samochodów powinno być dużo, dlatego deklarowana liczba 300 aut to dopiero początek. Carsharing największy sens ma bowiem wtedy, gdy użytkownika od samochodu dzieli nie więcej niż 500 m. Poza strefami planujemy również tworzenie specjalnych wysp, w których będzie można zostawić auto, np. w okolicach sklepów IKEA czy lotniska Modlin – opowiada „Do Rzeczy” Katarzyna Panek, rzecznik prasowy spółki Panek.

Zarówno Traficar, jak i Panek CarSharing działają w tzw. modelu otwartym (free-floating). Inny model działania (station-based) przyjęła firma 4Mobility, która w Warszawie funkcjonuje od końca 2016 r. W tym przypadku auto również otwiera się za pomocą smartfona i również płaci się tylko za czas, w którym rzeczywiście korzysta się z samochodu. Auto można oddać w jednej z 35 baz firmy albo zostawić w warszawskim Śródmieściu. W ramach promocji użytkownicy, którzy np. pokonają pożyczonym samochodem więcej niż 200 km, mogą bez dodatkowych opłat zostawić auto na Żoliborzu, Woli, Ochocie, Mokotowie, Pradze-Południe lub Pradze-Północ.

4Mobility ma obecnie ponad 50 aut. Zainteresowanie usługą jest jednak na

■ tyle duże, że firma planuje w najbliższych miesiącach powiększenie floty do ponad 250 samochodów, a także rozszerzenie liczby baz do 70 pkt. W przypadku 4mobility pojazd można zarezerwować nawet z 10-dniowym wyprzedzeniem. – Jeśli ktoś zamierza przyjechać do Warszawy pociągiem, to może mieć pewność, że w wybranej bazie auto będzie na niego czekało – podkreśla w rozmowie z „Do Rzeczy” prezes 4Mobility Paweł Błaszczak.

TANIEJ NIŻ TAKSÓWKĄ?

Ceny za korzystanie z samochodów Traficar w Warszawie i Krakowie są identyczne. Za każdy rozpoczęty kilometr jazdy trzeba zapłacić 80 gr, minuta jazdy kosztuje 50 gr, a minuta postoju 10 gr. W Panek CarSharing jest 50 gr za minutę i 50 gr za każdy przejechany kilometr. Oprócz tego firma chce wprowadzić specjalną ofertę dla klientów biznesowych i osób, które chciałyby wjechać pożyczonym autem na wakacje. W przypadku 4mobility opłaty zależą od klasy wybranego samochodu. Za auto C standard trzeba zapłacić 41 gr za minutę i 80 gr za każdy kilometr, a za wóz klasy D premium 54 gr za minutę plus 90 gr za każdy kilometr. Samochody można też wypożyczyć np. na całą dobę, wówczas koszt wynosi odpowiednio 159 zł i 259 zł za 24 godziny. Na przykład przejazd z Biblioteki Uniwersytetu Warszawskiego na Dworzec Zachodni powinien kosztować ok. 11 zł (według kalkulatora cen zamieszczonego na stronie Traficar.pl), podczas gdy kalkulator kursu jednej z sieci taksówkarskich koszt przejazdu tego odcinka szacował na ok. 32 zł. Zarówno klienci Traficar, Panek CarSharing, jak i 4mobility nie muszą też przejmować się opłatami za parkowanie w płatnej strefie – koszty biorą na siebie operatorzy systemów współdzielenia aut.

– CarSharing to alternatywa dla posiadania własnego samochodu oraz dopełnienie komunikacji miejskiej. Świetna okazja do posiadania samochodu bez konieczności jego zakupu – tłumaczy w rozmowie z „Do Rzeczy” Katarzyna Panek. – Największe zainteresowanie obserwujemy wśród młodych od 19. do 25. roku życia. To osoby, które chciałyby jeździć samochodem, ale nie chcą prosić o niego rodziców. Druga grupa, która aktywnie interesuje się naszą ofertą, to osoby w wieku 30–35 lat. Zainteresowani

ofertą współdzielenia aut są też klienci biznesowi, którzy uważają, że to ciekawa alternatywa dla samochodów służbowych – dodaje Katarzyna Panek.

– Szacuje się, że wynajem samochodów na minuty jest opłacalny zwłaszcza dla tych, którzy w prywatnych lub służbowych autach pokonują mniej niż 10 tys. km rocznie – mówi „Do Rzeczy” prezes 4mobility Paweł Błaszczak.

Z kolei ze statystyk firmy Traficar wynika, że mieszkańcy Krakowa najczęściej współdzielonymi samochodami podróżują na zakupy oraz uczelniane wydziały. – Po reakcji użytkowników na uruchomienie usługi w Warszawie widzimy, że była ona oczekiwana i mamy nadzieję, że zakończy się takim sukcesem jak w Krakowie. Najwięcej naszych klientów stanowią osoby młode, najczęściej w wieku 25–28 lat, które często nie posiadają własnego samochodu. Mam nadzieję, że wraz z rosnącą dostępnością aut na korzystanie z carsharingu będą

35

proc.

W TAKIM TEMPIE MOŻE CO ROKU ROSNĄĆ WARTOŚĆ GLOBALNEGO RYNKU CARSHARINGU

się decydować też starsze osoby, które obecnie mają w rodzinie dwa samochody. Dzięki usłudze współdzielenia aut będą mogły wówczas zrezygnować z posiadania jednego z aut – mówi w rozmowie z „Do Rzeczy” prezes Traficar Piotr Groński. – Carsharing, zwłaszcza na krótkim dystansie, może być istotnie tańszy od taksówki, a jeśli w jednym samochodzie jadą trzy osoby, to przejazd naszym autem może okazać się nawet tańszy niż podróż komunikacją miejską – dodaje Piotr Groński, podkreślając, że jego spółce zależy na uruchomieniu usług we Wrocławiu, w Poznaniu, a także w aglomeracjach trójmiejskiej i śląskiej.

RYNKOWI GIGANCI

Według prognoz Europejskiego Stowarzyszenia Producentów Samochodów (ACEA) do 2030 r. 10 proc. samochodów w miastach będzie jeździć w ramach carsharingu.

Nawet w Stanach Zjednoczonych wraz z rozwojem usług pozwalających na współdzielenie samochodu, a także serwisów ułatwiających przewóz osób

coraz więcej ludzi rezygnuje z posiadania własnego auta. Z opublikowanego pod koniec maja sondażu przeprowadzonego przez Reuters/Ipsos wynika, że wśród Amerykanów, którzy w ciągu ostatniego roku sprzedali samochód, 9 proc. nie kupiło sobie nowego wozu. Zamiast tego zaczęli korzystać z aplikacji ułatwiających przewóz osób typu Uber czy Lyft (obie firmy nie mają jednak własnej floty, a jedynie łączą pasażerów i wożących ich kierowców).

Producenci samochodów już szykują się więc na czasy, gdy coraz mniej osób będzie chciało posiadać auto. BMW w Seattle, Portland i w nowojorskim Brooklynie testuje projekt ReachNow, który pozwala klientom korzystać jednocześnie z dwóch rodzajów usług: współdzielenia pojazdów (miłośnicy carsharingu mają do dyspozycji flotę aż 700 aut, które można wynająć na krótki czas lub na maksymalnie pięć dni) oraz przewozu osób. Dzięki temu mieszkanie w Seattle może w piątek znaleźć w aplikacji samochód stojący blisko jego apartamentu, pojechać na imprezę na koniec miasta, a następnego ranka wrócić do domu już jako pasażer.

Zwolennicy wynajmowania samochodów na minuty w Stanach Zjednoczonych mają też możliwość korzystania m.in. z platformy Car2go należącej do koncernu Daimlera, a także Maven będącej własnością General Motors, Zipcar, której właścicielem jest Avis Budget Group, Enterprise CarShare czy Hertz 24/7. W sumie firmy te kontrolują ponad 90 proc. rynku współdzielenia aut w Stanach Zjednoczonych.

Usługi carsharingu są też bardzo popularne w Niemczech, gdzie oferuje je już ponad 125 firm. Łączna flota dostępna dla niemieckich użytkowników zwiększyła się zaś z ok. 1000 aut w 2000 r. do 16 tys. w roku 2016. Prognozy zakładają dalszy wzrost popularności współdzielenia aut. Z raportu McKinsey & Company wynika, że już 31 proc. Niemców z dużych miast deklaruje, iż w ciągu najbliższych 10 lat zamierza częściej korzystać z samochodów współdzielonych.

W Polsce carsharing może w najbliższych miesiącach stać się bardziej popularny nie tylko dzięki komercyjnym firmom. Nad publicznymi systemami współdzielenia aut pracują też bowiem m.in. Warszawa, Gdynia oraz Wrocław.

© Wszelkie prawa zastrzeżone



PIOTR GABRYEL

PROSTO ZYCZAKIEM„500+” dla
każdego górnika

Jak wiadomo, w Polsce oprócz zwykłych dzieci, które – co można zrozumieć – wymagają wsparcia podatników, są jeszcze – co już trudno pojąć – „dzieci” całkiem niezwykle, można by rzec „dzieci specjalnej troski”, bo przeważnie zdrowe jak tury, duże chłopcy, które bez stałej pomocy podatników, czyli innych dorosłych Polaków, nie potrafią się utrzymać przy życiu na poziomie, który by ich satysfakcjonował. To m.in. górnicy, którzy od lat bez skrupułów wyciągają ręce po cudze pieniądze.

Loto właśnie – tak jak niemal co roku – jesteśmy świadkami pompowania kolejnej puli gigantycznych pieniędzy publicznych (publicznych, bo pochodzących w znacznej mierze z państwowych firm) do upadłych kopalń węgla kamiennego. Tym razem na podtrzymanie przy życiu górniczych bankrutów muszą się złożyć: Polskie Górnictwo Naftowe i Gazownictwo, które przez swą spółkę zależną PGNiG Terenika wrzuci do górniczego worka bez dna 300 mln zł, tyle samo – 300 mln zł – Enea, a 200 mln zł – Towarzystwo Finansowe Silesia, natomiast po „drobne” 100 mln zł wyrzucą w górnicze błoto Polska Grupa Energetyczna oraz Energa. Rok wcześniej na ten sam cel trzy z tych firm – PGNiG, Energa i PGE – musiały wyrzucić 1,5 mld zł.

A co z tymi setkami milionów złotych

w ostatnich latach, z grubymi miliardami, licząc od zarania III RP, które górnicy zalegają ZUS? Kto za nich spłacił te długi? Czyż nie wszyscy pozostali płatnicy ZUS, którzy z tego powodu muszą uiszczać wyższe składki?

Swoją drogą, ciekawe, czy ktoś potrafiłby zliczyć te wszystkie miliardy złotych, które przez niemal 30 lat biedni polscy podatnicy wydali na utrzymywanie przy życiu nierentownego górnictwa, czyli fundowanie każdemu górnikowi oprócz wysokich 12 pensji w roku także nie niższych „trzynastki” i „czternastki”, a potem jeszcze – do śmierci – dwa razy wyższych od przeciętnych emerytur. Kto potrafiłby zliczyć te wszystkie miliardy złotych bezceremonialnie wyciągane polskim podatnikom z kieszeni przez polityków i wydawane zawsze pod pozorem kolejnej, oczywiście jak zwykle niezbędnej i – rzecz jasna – tym razem już naprawdę ostatniej, „restrukturyzacji”, czyli jeszcze jednego łączenia albo dla odmiany dzielenia tych samych co zawsze nierentownych, bo mało wydajnych, górniczych przedsiębiorstw, którym wiatr, tak się jakoś składa, wieje ustawicznie prosto w oczy, a to wiatr z Rosji, a to z Chin, a to z Australii, gdzie jakimś trafem potrafiono węgiel wydobywać dużo taniej, bo może bez konieczności płacenia górnikom aż 14 pensji w roku i tak wysokich emerytur. ©



KRZYSZTOF RYBIŃSKI

RYBIM OKIEMKoniec
świata ropy?

Niedawno ukazała się analiza Uniwersytetu Stanforda, według której w ciągu ok. 15 lat samojedzde samochody elektryczne wyprą z rynku auta na ropę, co doprowadzi do dramatycznego spadku cen tego surowca.

W wielu miastach – na początku w krajach rozwiniętych, a potem wszędzie – zniknie smog, dzięki czemu ludzie będą zdrowsi. Jakość życia wzrośnie, bo sterowanie samojedznych samochodów elektrycznych zlikwiduje korki w miastach. Zyskamy także finansowo, bo jako zdrowsi

Kraje arabskie stracą możliwość finansowania wydatków publicznych z dochodów z eksportu ropy, co doprowadzi do stopniowej degradacji infrastruktury. Dubaj może czekać los opuszczonego miasta-zombie.

Poważne problemy gospodarcze będzie miała też Rosja, co może doprowadzić do stopniowej zmiany układu sił na globalnej scenie politycznej i utraty przez Federację Rosyjską pozycji jednego z głównych aktorów sceny globalnej.

Nowe technologie i spadki cen ropy łącznie będą wspierały wzrost gospodarczy w krajach rozwiniętych, przy czym twórcy i właściciele nowych technologii będą się bogacić jeszcze szybciej niż obecnie. Rozwarstwienie dochodów między właścicielami nowych technologii a ich użytkownikami będzie dalej się pogłębiało.

Era autonomicznych samochodów elektrycznych, czyli zaawansowanych robotów na czterech kółkach, to będzie także okres dramatycznych zmian na rynku pracy. Silny wzrost bezrobocia czeka nie tylko Arabów i pracowników koncernów naftowych, lecz także kierowców oraz przedstawicieli wielu innych zawodów, które będą wyparte przez roboty i technologie sztucznej inteligencji.

Oczywiście nie wiemy, czy scenariusz stworzony przez Uniwersytet Stanforda się ziści. Warto jednak zadbać o odpowiednie wykształcenie, aby nie znaleźć się wśród przegranych. ©

**Twórcy i właściciele
nowych technologii
będą się bogacić
jeszcze szybciej
niż obecnie**

będziemy mniej wydawać na leczenie, zaoszczędzimy także na kosztach kupna benzyny.

Problemy mogą mieć firmy produkujące samochody, bo nastąpi radykalny spadek popytu. Przeciętny samochód w mieście jeździ jedną godzinę, góra dwie na dobę, w nowym systemie samochody będą jeździły cały czas, więc będzie ich potrzeba 10 razy mniej. Firmy naftowe i kraje żyjące z dochodów z ropy zbankrutują, chyba że odpowiednio wcześniej uda im się zdywersyfikować gospodarkę. Recesja i zubożenie społeczeństw w tych krajach doprowadzą do daleko idących zmian geopolitycznych.



Ani krowa, ani odcisk



Stefan Sękowski

Prawicowe pomysły na kryzys Unii Europejskiej sięgają od wystąpienia z jej struktur do zawierzenia jej przyszłości Najświętszej Panience. Brak konstruktywnych recept wynika z tego, że nie wiemy, czym jest dla nas UE

O tym, że Unia Europejska jest w głębokim kryzysie, wiemy od dawna. Tylko że z tej wiedzy nic nie wynika. I nie piszę w tym miejscu o eurokratach, którzy tego kryzysu nie widzą, a wszelkie wskazania na to, że jest gorzej, niż było, zbywają stwierdzeniem, że jedyną odpowiedzią na problemy Europy jest więcej Europy. Niestety, także ci, którzy widzą, że źle się dzieje, skupiają się na ubolewaniu. To nie wystarczy. Jesteśmy członkiem UE i jej kryzys jest także naszym kryzysem.

Ostatnio pojawiło się jednak kilka propozycji, co z tym fantem zrobić. Tomasz

Cukiernik w swojej książce „Socializm według Unii” pyta: Dlaczego właściwie nie pójdziemy drogą Wielkiej Brytanii i nie opuścimy Unii? Tytuł aż ocieka przykładami unijnych absurdów, i nie są to tylko oklepane przykłady typu „ślimak jako ryba” i „marchewka jako owoc”. Przykładowo: ze względu na dyrektywę unijną „etykieta opisująca dany preparat ziołowy nie może informować, że wspomaga on leczenie”, o ile dane zioło nie przejdzie drobiazgowego badania. Efekt jest taki, że dostęp do wiedzy o naturalnych specyfikach stosowanych przez ludzkość od tysięcy lat jest mocno ograniczony.

Autor cytuje eurodeputowaną Partii Niepodległości Zjednoczonego Królestwa Margot Parker, która wskazuje, że np. aby sprzedawać na europejskim rynku ręczniki, trzeba przestrzegać setek unijnych regulacji. Unijne przepisy, dotyczące także np. polityki klimatycznej, doskwierają nie tylko poszczególnym branżom, lecz także całej gospodarce. I to nie są wcale wypadki przy pracy, ale efekty systemu, w ramach którego UE ma zapobiegawczo dbać o bezpieczeństwo i dobrobyt swoich obywateli.

Unia szkodzi nam jednak nie tylko poprzez regulacje, lecz także przez chwalone... dotacje unijne. To przez nie polskie

samorządy skokowo się zadłużyły. Wśród rekordzistów Cukiernik wymienia choćby takie miejscowości jak Rewal, którego zadłużenie na koniec 2015 r. „sięgnęło niemal 280 proc. dochodów”, i Bielice. Jak mówił autorowi prezydent Gliwicz Zygmunta Frankiewicz: „Dotacje unijne przyznawane są według uznanych priorytetów, celów, przyjętych i zatwierdzonych na różnych szczeblach strategii. I bardzo często zdarza się tak, że te cele nie są tymi, które byśmy samodzielnie wybierali”. To samo tyczy się także pomocy udzielanej przedsiębiorcom, którzy zamiast myśleć o tym, czego potrzebują ich potencjalni klienci, zastanawiają się, co spodoba się w Brukseli. Udzielane im dotacje niszczą konkurencję między przedsiębiorstwami, które korzystają z unijnych pieniędzy, i tymi, które tego nie robią.

JAK TRWOGA, TO DO BOGA

Mimo to polexit nie byłby dobrym rozwiązaniem. Znacznie łatwiej jest podjąć decyzję o niewiejszcu do Unii niż o wyjściu z niej, gdyż to wymaga wypłatania się nie tylko z gąszczu regulacji, lecz także z licznych powiązań, jakie od tamtego czasu wytworzyły się między Polską a innymi unijnymi państwami oraz gospodarkami.



FOT. FOTOLIA

Nie mówiąc już o geopolityce ani korzyściach, jakie płyną ze wspólnego rynku, z których Cukiernik zdaje sobie sprawę, choć je bagatelizuje, pisząc: „[...] przecież Unia cały czas dąży do bycia państwem i po to zawłaszcza dla siebie coraz to nowe obszary legislacji, więc nie powinna mówić, że daje nam cztery wolności, czyli coś ekstrawagantowego”. Tymi „oczywistościami” raczej nie będziemy się już na terenie UE cieszyć, gdy ją opuścimy – twierdzenie, że po polexicie moglibyśmy korzystać z takich samych praw na terenie UE jak Szwajcarzy, jest iluzoryczne, gdyż pozostałe państwa Unii wcale nie muszą się na to zgodzić.

Zgadzam się jednak z Cukiernikiem, że nawet jeśli nie chcemy wychodzić z UE, to zawsze można użyć polexitu jako strasza na Unię, by wynegocjować konieczne zmiany. Jednak wydzwięk całej książki jest mocno pesymistyczny – dla UE nie ma już właściwie ratunku. Podobnie zresztą jak artykułu szefa Centrum Analiz Klubu Jagiellońskiego Marcina Kędzierskiego „Europejska pierestrojka. UE jak i ZSRR zabija brak solidarności” opublikowanego na Jagiellonski24.pl. W niektórych aspektach Kędzierski widzi sytuację w jeszcze ciemniejszych barwach niż

Cukiernik, bo zagrożone są nawet „cztery wolności”, co do których pozytywnej natury nawet wolnorynkowi krytycy UE nie mają wątpliwości. Swobodny przepływ osób i usług blokować się starają politycy choćby z Francji.

I – zdaniem Kędzierskiego – nic nie jesteśmy w stanie na to poradzić, bo nawet gdybyśmy „na powrót stali się prymusem integracji europejskiej”, to i tak nie zmienilibyśmy kierunku integracji, który zarysowali przywódcy Niemiec, Francji, Hiszpanii i Włoch (tzw. Formidable 4) w deklaracji wersalskiej ogłoszonej 6 marca, gdyż „decyzja ta leży całkowicie poza nami”. A ten kierunek, obmyślony na Europę różnych prędkości, jest dla UE szkodliwy. Kędzierski proponuje nam jednak nie tyle wystąpienie z UE, ile raczej przygotowanie się na jej rozpad poprzez szukanie sobie nowych sojuszników czy to wśród państw UE (np. Szwecja), czy to spoza Unii (Chiny), a także rozwijanie współpracy z nimi. Jednak prawdziwą wisienką na torcie jest propozycja... zawierzenia Unii Europejskiej Maryi. W ten sposób autor nawiązuje do wydarzenia sprzed ponad 60 lat, kiedy to „8 grudnia 1955 roku, w uroczystość Niepokalanego Poczęcia Najświętszej Maryi Panny, Konrad Adenauer i Robert Schuman zatwierdzili flagę Rady Europy i w katedrze w Strasburgu, poświęconej Maryi, zawieźli jej proces integracji europejskiej”.

To rozzarowujące, że najbardziej konstruktywną propozycją szefa think tanku jest oddanie losów UE w ręce Najświętszej Pani. I nie chodzi tu o rytualne wyśmianie „religianckiego” pomysłu – każdy, kto wierzy w to, że Bóg (także za wstawieniem świętych) bierze udział w kształtowaniu historii świata, powinien taki pomysł traktować poważnie. Jednakże jeśli człowiek strzela, a Pan Bóg kule nosi, to człowiek musi najpierw wystrzelić. A w magazynku pusto.

POLSKA INICJATYWA

Swoją kulę postanowił wystrzelić szef gabinetu prezydenta RP Krzysztof Szczerski w swojej książce „Utopia europejska. Kryzys integracji i polska inicjatywa naprawy”. Kryzys unijny porównuje do zbliżającego się potopu: wokół ludzie nie zdają sobie sprawy z powagi sytuacji i śmieją się z Noego, który stara się przygotować na kataklizm. Jednak Szczerski nie zachęca jedynie, tak jak Kędzierski, do tego, by budować arkę, która tylko Polskę uratuje przed falami. Twierdzi, że ostateczną kata-

strofę można jeszcze powstrzymać. Trzeba jednak sięgnąć do podstaw, na jakich bazuje integracja. I nie chodzi o czysty powrót do Wspólnoty Europejskiej, UE już nigdy nie będzie zwykłą organizacją międzynarodową.

„Chodzi o to, by zdając sobie sprawę ze skomplikowanej natury polityki europejskiej, przywrócić jej zasady (a nie rozwiązania prawnoinstytucjonalne, choć te również wymagają korekt), które leżały u jej podstaw – subsydiarność, równość państw i wolność narodów”. Szczerski przypomina, że demokracja może działać realnie tylko na poziomie państw narodowych. Zamiast rozbudowywać uprawnienia Parlamentu Europejskiego, powinno się postawić na „demokrację międzyrządową” i wzmocnić rolę państw członkowskich w procesie decyzyjnym, korzystając w rozumieniu demokracji ze spuścizny I Rzeczypospolitej. Ważna jest też odbudowa europejskiej tożsamości, bazującej także na chrześcijaństwie, walka z przeregulowaniem. Nieco zagadkowo brzmi także nawoływanie do „policentryczności” UE, w której „ma prawo istnieć wiele równoległych centrów integracji” – w momencie, gdy Polska sprzeciwia się budowaniu „Europy wielu prędkości”. Można to traktować jednak jako protest przeciwko dominacji państw tradycyjnie przewodzących Unii, także w kontekście budowy przez prezydenta Andrzeja Dudę, z którym Szczerski współpracuje, sojuszu państw Europy Środkowo-Wschodniej (Trójmorze).

Autor rozwija te zasady w swojej książce, korzystając ze swej bogatej wiedzy politologicznej. Książka jest na pewno bardziej manifestem niż planem dojścia do celu. A jednak wolę takie przedstawienie oferty na europejskim rynku idei, choćby popyt był (na razie?) niewielki, niż zwijanie swojego bazarku. Żeby zrealizować reformę UE, trzeba bowiem wiedzieć, do czego chcemy dążyć. Ujęcie Szczerskiego daje możliwość skupienia się wokół wizji, której się nie ma, jeśli traktuje się Unię tylko albo jako dojną krowę, albo uciążliwy odcisk na pięcie. Reforma zaczyna się od idei, którą można zarazić innych (może nawet zwłaszcza poza granicami naszego kraju), i warto mieć ją przed oczami, co nie przeczy konieczności budowania także „arki ratunkowej” na wszelki wypadek. Szeroko rozumiany Pałac Prezydencki – tak bierny, jeśli chodzi o kreowanie polityki w innych dziedzinach – może stać się źródłem takiej idei, jeśli potraktujemy ją poważnie. ©

Autor jest zastępcą redaktora naczelnego „Nowej Konfederacji”.

Pracownicy biur turystycznych, restauracji, a nawet kierowcy w La Paz malują na drzwiach chińskie oznaczenia w nadziei, że z gęszczy motorów, drezyn i innych taksówek właśnie ich wyłowią chińscy turyści czy biznesmeni. Nie są łatwymi klientami, ale są i zostawiają tu coraz więcej pieniędzy. Chiny kontrolują 18 proc. boliwijskiego handlu zagranicznego. W całej Ameryce Południowej to już jest niemal 15 proc. Od 2013 r. Pekin zwiększył swoje inwestycje w regionie 150 razy. Zadłużając jednocześnie najbiedniejsze państwa. Boliwia jest na drugim miejscu zaraz po Wenezueli, ale i inni korzystają z otwartych linii kredytowych w czasach, gdy coraz ciężiej o zrozumienie amerykańskich i niemieckich banków czy nawet Banku Światowego.

Deglobalizacyjne pohukiwania Trumpa, europejski zastój gospodarczy, anty-NAFTA, anty-TTIP – wszystko to nie mogło trafić na lepszy moment dla misternie planowanej i od 20 lat egzekwowanej chińskiej ekspansji w regionie. Na długo zanim nastał Trump ze swoją izolacjonistyczną retoryką, Chiny wpisały Amerykę Południową na listę strategicznych regionów świata, ważnych dla ich mocarstwowych aspiracji. Czy – jak mówił prezydent Xi podczas ostatniej wizyty w La Paz – „odbudowy globalnej równowagi społeczno-politycznej”. Ni mniej, ni więcej oznacza to wykorzystanie chińskiego potencjału handlowego i możliwości finansowych do podważenia powojennego porządku świata, a w szczególności amerykańskiego pomysłu na Amerykę Południową. Co nie jest prostym zadaniem. Zaczynając od Coca-Coli, oraz iPhone’a, a kończąc na Hollywood, Ameryka Południowa jest opętana amerykańską kulturą i techniką. Nic dziwnego, że Chiny nie przebiegają w środkach, wykorzystując wszelkie objawy amerykańskiej słabości, takie jak choćby sztywne prawo antykorupcyjne.

Burzliwy romans prezydenta Boliwii Evo Moralesa z Gabrielą Zapatą jak w pigułce oddaje wszystko to, co może zrodzić się z połączenia chińskiego ekspansjonizmu z południowym temperamentem i boliwijskim nepotyzmem. Zapata oprócz przyjaźni z prezydentem i dzieckiem, które mu urodziła, zawodowo związała się z chińską firmą inżynierską, która wkrótce po podpisaniu z nią umowy otrzymała od rządu kontrakt na ponad 580 mln dol. Rzecz wyszła na jaw krótko przed referendum, które miało pozwolić Morale-

Chińska Ameryka Południowa



Tomasz Wróblewski
z La Paz

Chiny wzięły na cel południowoamerykańskie kraje. Pożyczają i inwestują zwłaszcza tam, gdzie można wyprzeć biznes z USA



sowi rządzić czwartą kadencję. Ostatecznie Morales przegrał nieznacznie liczbą głosów, wspólne dziecko z Zapatą zmarło niespełna rok po urodzeniu, a chińska firma rozwiązała z nią umowę. Poplecznicy prezydenta natychmiast zwrócili się przeciwko jego niedawnej kochance. Zapata oficjalnie została oskarżona o korupcję, a przez indiańskich szamanów uznana za złą duszę (to pozwalało lepiej wytłumaczyć narodowi nie tylko śmierć dziecka i korupcję, lecz także przegrane referendum).

Morales nie daje za wygraną. Ma nadzieję wystartować w wyborach w 2019 r., w czym ma mu pomóc nie tylko „wyjaśniona sprawa” Zapaty, lecz także jego tradycyjni chińscy beneficjenci, nowe kredyty, nowe inwestycje i więcej miejsc pracy. Głównie inwestycje w drogi, zakłady energetyczne i pomoc w eksploatacji nowych złóż gazu oraz srebra.

ZJADANIE PO KAWAŁKU

Za rządów Moralesa obroty handlowe z Chinami wzrosły z 75 mln dol. rocznie



FOT. FOTOLIA

wymuszając decyzje polityczne. Od 2001 r. chińskie inwestycje w regionie wzrosły z 15 mld dol. do 320 mld dol. w roku 2016. Dwa największe chińskie banki pożyczyły krajom Ameryki Południowej 130 mld dol. Więcej niż w sumie pożyczyły tu Bank Światowy i MFW. Charakterystyczne, że wiele chińskich inwestycji wydaje się wątpliwe pod względem możliwości zwrotu. Za każdym razem jednak, kiedy nadarza się okazja przejęcia sektora do niedawna zarezerwowanego dla wielkich amerykańskich koncernów, takich jak kopalnie srebra, miedzi, zakłady energetyczne, firmy telekomunikacyjne, Pekin nie żałuje pieniędzy. Prezydent Xi odwiedził już większość państw Ameryki Południowej trzykrotnie, a przywódcy południowoamerykańscy złożyli w Pekinie ponad 30 wizyt. W tym dwie Evo Moralesowi, który publicznie powtarzał, że jest uczniem myśli Mao.

Nadzieje na zbudowanie silnych więzów politycznych w oparciu o tzw. dyktatorów, takich jak Chaves i Morales, i ich lewicowe partie stopniowo jednak słabną. Spadające ceny ropy i gazu każą poszczególnym przywódcom szukać wsparcia na Zachodzie. Dywersyfikować swoje portfele handlowe. Pekin szybko dostosowuje się do nowych realiów. Kilka państw, w tym Boliwia, otrzymało ofertę stałych cen skupu gazu na 10 lat, co natychmiast poprawiło budżet państwa. Z nowymi kredytami do Ameryki Południowej płyną transfery technologii, wszędzie tam, gdzie państwa uzależnione były od zachodniej technologii przetwórstwa, przemysłu maszynowego i samochodowego. Na ulicach Santa Cruz, do niedawna senniejszej boliwijskiej miejscowości w środku dżungli, coraz częściej między wielkimi bmw i lexusami handlarzy narkotyków pojawiają się chińskie SUV-y i zwykłe samochody dostawcze. Sklepy pełne są nie tylko chińskiej tandety, lecz także coraz częściej urządzeń domowych składanych w Boliwii.

WALKA Z USA

Kilka tygodni temu w wystąpieniu przed komisją amerykańskiego Kongresu ds. Ameryki Południowej głównodowodzący południowej armii adm. Kurt Tiddy powiedział, że „Chiny w Ameryce Południowej stawiają sobie zarówno polityczne, jak i ekonomiczne cele, sprzeczne z naszymi interesami i bezpieczeństwem Stanów Zjednoczonych”. Według Tiddy’ego forsowany tu nowy porządek społeczno-polityczny, oparty na silnych

rządach lekceważących prawa człowieka i wolności rynkowe, jeżeli nawet nie stanowi dziś dla Ameryki militarnego zagrożenia, to w krótkim czasie może poważnie ograniczyć możliwości operacyjne Stanów Zjednoczonych w regionie, nie mówiąc o utracie wpływów politycznych. Wszędzie tam, gdzie południowoamerykański rząd wyraża antyamerykańskie opinie albo zмага się z gospodarczą dominacją zachodnich firm, Chiny natychmiast wkraczają, oferując wsparcie finansowe i klarowną alternatywę dla handlu z Zachodem. Amerykańskim, kanadyjskim czy europejskim firmom trudno jest konkurować z Chinami. I rzecz nie tylko w cenach. Wymogi dotyczące przejrzystości, prawo antykorupcyjne i ograniczenia właścicielskie powodują, że USA stopniowo przegrywają ten wyścig. Nawet w takich obszarach jak turystyka, gdzie Stany Zjednoczone dotychczas nie miały sobie równych. Nowe imponujące chińskie kurorty otwierają się głównie z myślą o turystach z Azji. Każda amerykańska próba odbudowy relacji w Ameryce Południowej – tak jak ostatnio z Brazylią czy Argentyną – spotka się natychmiast z kontrofertą kredytową czy inwestycyjną Chin. Zazwyczaj bardziej atrakcyjną i mniej wymagającą, jeżeli chodzi o kwestie polityczne czy przestrzeganie praw człowieka.

Dzisiaj Trump teoretycznie mógłby mieć szansę na odzyskanie wpływów, oferując nowe kontrakty na surowce i produkty, które w czasach spowolnienia coraz trudniej jest Chinom importować. Trump większość czasu spędza jednak na atakowaniu Meksyku i debatowaniu na temat szkodliwości umów handlowych. Zarówno z Ameryką Południową, jak i z Chinami. Świadomie czy nie wypycha te dwa narody sobie nawzajem w ramiona.

Nowa linia kredytowa oferowana przez Pekin, na ponad 11 mld dol., praktycznie podwoi zadłużenie Boliwii, już dziś rekordowo wysokie – na poziomie 39,2 proc. PKB. Zastrzyk gotówki i inwestycji może pozwoli Moralesowi wygrać wybory, ale mała szansa, żeby kraj coraz bardziej pogrążony w socjalistycznych regulacjach, barierach inwestycyjnych dla zagranicznych firm (z wyjątkiem Chin) był w stanie wyjść z zadłużenia. Tajemnicą pozostaje tylko, na co liczą Chiny, które zaledwie rok wcześniej musiały spisać na straty 65 mld długu wobec Wenezueli i innego skrajnie lewicowego przywódcy, w którym również pokładały wielkie nadzieje.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

do blisko 3 mld dol. Chiny praktycznie zmonopolizowały inwestycje w wydobywaniu surowców, telefonię, energetykę i rolnictwo. Z 49 państwowych inwestycji realizowanych obecnie w Boliwii 12 w całości prowadzą chińskie firmy. W tym jedna z największych w regionie elektrowni wodnych i nowa linia kolejowa.

Kraj po kraju Chiny z niespotykaną dotąd energią wkraczają na południowoamerykańską scenę. Sprzedając swoją technologię, skupując surowce, żywność i na każdym kroku korumpując czy wręcz

TEST „DO RZECZY”: SAMSUNG GALAXY TAB S3

Eleganckie wzornictwo, niesamowicie piękny ekran i funkcjonalny rysik – to największe zalety najmocniejszego i najdroższego tabletu z logo Samsunga.

Galaxy Tab S3, główny konkurent dla iPada Pro z logo Apple, to urządzenie dla profesjonalisty lub gimnazjalisty z bogatego domu. Tablet pokryty szkłem zarówno z przodu, jak i z tyłu wygląda elegancko (dla trwalszego efektu „wow!” w zestawie przydałyby się jednak lokaj, który regularnie wycierałby odciski palców z urządzenia). Jest smukły (237,3 x 169 x 6 mm) i lekki (429 g).

Najważniejszą zaletą tego modelu jest znakomity wyświetlacz Super AMOLED. Przekątna ekranu wynosi 9,7 cala, a rozdzielczość aż 2048 x 1536. Niesamowity kontrast, wysoka jasność oraz piękne nasyczone barwy sprawiają, że urządzenie idealnie nadaje się zarówno do czytania e-prasy, grania, jak i do oglądania filmów podczas służbowych lub wakacyjnych wyjazdów. Ekran w testowanym tablecie jest już przystosowany do wyświetlania treści w trybie HDR – jakość obrazu w tej technologii robi fantastyczne wrażenie. Szkoda tylko, że treści tego rodzaju na razie nie ma jeszcze zbyt wielu.

Na pochwałę zasługuje też system czterech głośników umieszczonych w rogach tabletu.

Dochodzące z nich dźwięki są wyraźne, głośne i przyjemne. Oczywiście w porównaniu z innymi urządzeniami mobilnymi, bo jeśli ktoś naprawdę liczy na głębokie basy czy przestrzen-



ne brzmienie z małych tabletowych głośniczków, to może się nieco rozczarować. Bateria o pojemności 6 tys. mAh sprawia, że na jednym ładowaniu testowany tablet wytrzyma ok. 9–10 godzin.

Ci, którzy muszą robić dużo odręcznych notatek lub wykorzystują tablet do sporządzania artystycznych szkiców, docenią również funkcjo-

nalny rysik S Pen. Jest on już w zestawie. Szkoda tylko, że inżynierowie Samsunga nie przewidzieli miejsca, aby zmieścić go w obudowie tabletu, i trzeba go nosić osobno. Drugi minus: jeśli piszemy dużo tekstów lub większą część dnia spędzamy przy arkuszach kalkulacyjnych, to klawiaturę musimy dokupić.

Urządzenie ma 32 GB pamięci oraz 4 GB pamięci RAM. Za szybkość działania odpowiada procesor Qualcomm Snapdragon 820. Płynność zazwyczaj jest bardzo dobra, chociaż sporadyczne przycięcia się zdarzają – być może gdyby Samsung zastosował jeszcze nowszy procesor, to problemu nie byłoby wcale.

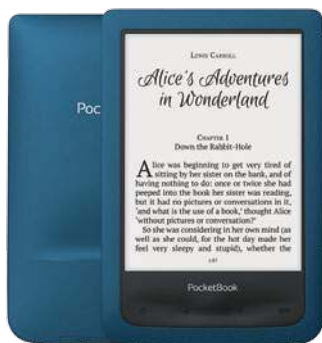
W tej klasie cenowej przydałyby się również wyższej jakości aparaty fotograficzne (te w najlepszych smartfonach tej koreańskiej firmy robią dużo lepsze zdjęcia niż ich tabletowe odpowiedniki). Brakuje też powszechnej już w smartfonowej klasie wodoodporności.

Samsung Galaxy Tab S3 nie jest więc perfekcyjny, ale to i tak najlepszy dostępny obecnie na rynku tablet z systemem Android. Niestety, urządzenie koreańskiego producenta dorównuje iPadom nie tylko wydajnością, lecz także ceną, która za wersję z łącznością LTE wynosi 3299 zł. ©©

Jacek Przybylski

POCZYTAJ MI, MAMO...

Książka musi szeleścić przy przewracaniu kartek, pachnieć farbą drukarską, przyciągać wzrok okładką i niekiedy ilustracjami. I nic nie jest w stanie przekonać mnie do zastąpienia jej audiobookami czy elektronicznymi czytnikami e-booków, choć przyznam, że po tym, jak pewna blondyna załaziła kawą mojego Miłoszewskiego, z większym



rozumieniem patrzę na zwolenników kurzo- czy wodo- (i blondynko-) odpornych elektronicznych czytników. W tej kategorii całkiem ciekawie wygląda nowy PocketBook Aqua 2, czyli wodoodporny czytnik e-booków z wyświetlaczem E-Ink Carta.

Czytnik e-booków przygotowany przez szwajcarskiego producenta ma wymiary 114,6 x 174,4 x 9 mm i waży 180 g, a tworzywo, z którego został wykonany, pokryte powłoką soft touch. Sam ekran czytnika ma przekątną 6 cali i rozdzielczość

1024 x 758 pikseli. Urządzenie spełnia standardowe normy wodoodporności, czyli można korzystać z niego w wodzie do 1 m głębokości (przez ok. 30 min). Piasek jest dla urządzenia groźny głównie w przypadku, gdy zakopimy je na plaży i zapomnimy gdzie. Pamięć operacyjna to 256 MB, a pamięć danych – 8 GB. Producent pomyślał także o podświetlaniu ekranu i wsparciu dla plików MP3, bezprzewodowej łączności Wi-Fi, przeglądarki internetowej i kilku ciekawych

aplikacjach. Bateria ma pojemność 1500 mAh, a cena tego gadżetu wynosi ok. 600 zł.

SŁUCHAWKI NA LATO

No dobra, skoro już mamy ciekawą lekturę na letnie wieczory – choćby i w wersji elektronicznej – to warto też pomyśleć o dobrej muzyce, a przynajmniej takiej, której dźwięk będzie wysokiej jakości i jednocześnie nie będzie

przeszkadzać tym, którzy wolą delektować się ciszą, szumem morza, ptaków śpiewem i innymi tego rodzaju doznaniem. Wśród wielu modeli uznanie zyskują słuchawki Parrot Zik 3, i to nie tylko dzięki ciekawemu, oryginalnemu designowi. Te bezprzewodowe słuchawki mimo kilku wad – sztywny i dość ciężki pałąk, ważący razem z nausznikami ok. 275 g – zasługują na uznanie choćby dzięki czujnikowi obecności. Zdjęcie słuchawek z głowy powoduje automatyczne zatrzymanie muzyki. Zasięg słuchawek to ok. 9 m, mogą one także pracować w trybie USB audio. Dzięki sparowaniu ich ze specjalną aplikacją zyskujemy możliwość kontroli stanu naładowania baterii, wyboru trybu aktywnej redukcji szumów i określenia wirtualnej przestrzeni odtwarzanego dźwięku. Cena: ok. 1,4 tys. zł. ©©

Wojciech Wybranowski



Liderzy leczenia

Ranking szpitali i oddziałów szpitalnych 2017

PARTNERZY
RANKINGU:



ALAB *laboratoria*
szkolenia i weryfikacja

CENTRUM MEDYCZNE
gamma
diagnostyka - leczenie - rehabilitacja

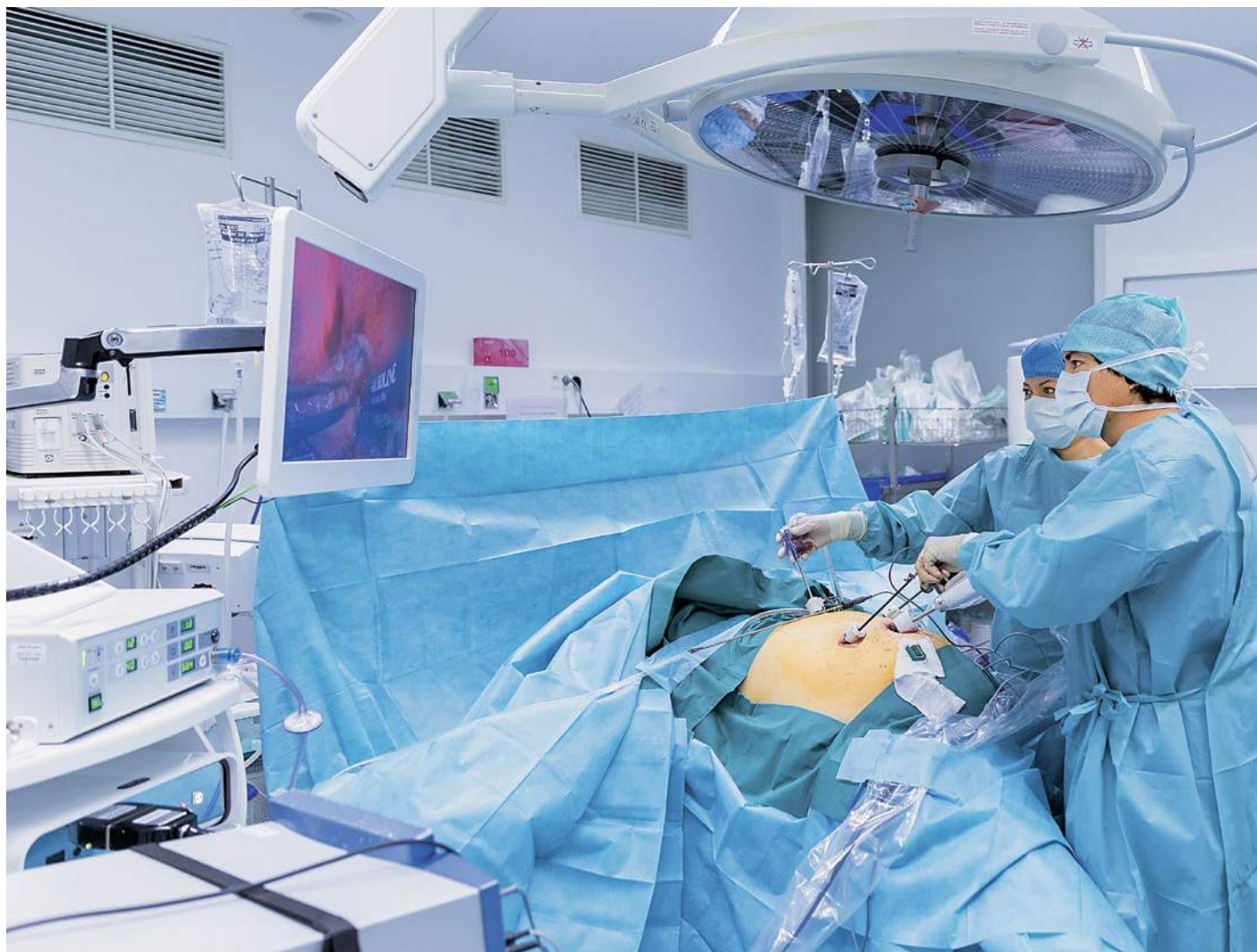
INFARMA

MediRaty
finansowanie usług medycznych



termedia

mz
menedżer zdrowia



Katarzyna Pinkosz

Można leczyć nowocześnie, z pasją i ze znakomitymi efektami – pokazuje ranking szpitali. Zwycięskie placówki mogą być wizytówką nie tylko polskiej, lecz także europejskiej medycyny

Od tego, czy trafnie wybierzemy szpital, w którym będziemy się leczyć, często zależą szanse na pokonanie choroby. Żeby ułatwić znalezienie najlepszych placówek, powstał ranking, którego autorzy wzięli pod lupę m.in. zakres dostępnej diagnostyki, liczbę wykonywanych zabiegów czy współczynnik zakażeń pooperacyjnych. Wyniki napawają

optymizmem – są w Polsce najwyższej klasy szpitale.

MEDALE W LECZENIU SERCA

Wizytówki polskiej medycyny to z pewnością kardiologia i kardiochirurgia. W leczeniu zawałów serca jesteśmy jednym z europejskich liderów. W Polsce przeprowadza się najbardziej skomplikowane zabiegi i operacje. Jest to możliwe dzięki znakomitym zespołom kardiologów i kardiochirurgów oraz niezwyklej konsolidacji środowiska. Ekspertom obliczającym punkty w rankingu w kategoriach: kardiologia i kardiochirurgia bardzo trudno było wybrać najlepsze ośrodki. Zwyciężyło Śląskie Centrum Chorób Serca w Zabrzu, jednak cała pierwsza dziesiątka w obu kategoriach jest na znakomitym poziomie.

Profesor Tomasz Hryniewiecki, dyrektor Instytutu Kardiologii w Aninie (II miejsce w kategorii kardiologia, III miejsce w kategorii kardiochirurgia), uważa, że wysoka pozycja szpitala w rankingu to

przede wszystkim zasługa świetnego zespołu lekarzy, składającego się zarówno z osób doświadczonych, jak i młodych, ambitnych. – Mamy chyba największą w Polsce grupę młodych lekarzy-rezydentów: ponad 60 osób kształci się w kardiologii i kardiochirurgii. To nadzieja na przyszłość, jeśli tylko pozostaną w Polsce – mówi prof. Hryniewiecki.

Kilka dni temu w Instytucie Kardiologii obchodzono uroczystość 25-lecia wykonania w Polsce pierwszej ablacji w zaburzeniach rytmu serca. Obecnie ablacje są przeprowadzane w wielu szpitalach w Polsce, jednak te najbardziej skomplikowane tylko w kilku ośrodkach, m.in. w Instytucie Kardiologii. – Widzę bardzo dynamiczny postęp. Mamy się czym chwalić – dodaje prof. Hryniewiecki.

Znakomity zespół oraz wielodyscyplinarność to atuty Górnośląskiego Centrum Medycznego im. prof. Leszka Gieca (II miejsce – kardiochirurgia, V miejsce – kardiologia). – Naszą siłą jest to, że mamy



FOT. FOTOLIA

możliwość bardzo kompleksowego leczenia pacjentów: od ambulatoryjnej opieki specjalistycznej przez szpitalnictwo do rehabilitacji. Mamy 24 oddziały – jeśli zaistnieją jakiegokolwiek powikłania, to leczymy je sami, pacjenci nie są transportowani do innych szpitali – mówi prof. Krystian Wita, dyrektor ds. leczenia. Katowicki szpital jest liderem w przeprowadzaniu wielu nowatorskich operacji. – Jesteśmy jednym z wiodących ośrodków w Europie, w których przeprowadzane są operacje zamykania metodą przezskórną przecieków okołozastawkowych – dodaje prof. Wita.

PASJA LECZENIA RAKA

W leczeniu nowotworów odbiegamy od europejskiej średniej. Tym bardziej cieszy, że w przypadku niektórych ich rodzajów pacjenci są leczeni tak samo nowocześnie jak w innych krajach.

Klinika prof. Wojciecha Zegarskiego z bydgoskiego Centrum Onkologii

Jak powstał ranking

Ranking „Szpitale 2017” został opracowany przez Centrum Konsultacyjne Medical Ranking wydawnictwa medycznego Termedia. Ankiety wysłane do szpitali opracował zespół ekspertów w poszczególnych dziedzinach (pracownicy NFZ, profesorowie, konsultanci wojewódzcy i krajowi). Eksperti stworzyli system wag i algorytmów. Odpowiedzi były weryfikowane przez ekspertów współpracujących z wydawnictwem Termedia i „Menedżerem Zdrowia”.

Kardiologia:

- 1. ZABRZE** Śląskie Centrum Chorób Serca w Zabrzu **456 pkt**
- 2. WARSZAWA** Instytut Kardiologii im. Prymasa Tysiąclecia Stefana Kardynała Wyszyńskiego **428 pkt**
- 3. WARSZAWA** Samodzielny Publiczny Centralny Szpital Kliniczny, I Katedrą i Kliniką Kardiologii Warszawskiego Uniwersytetu Medycznego **407 pkt**
- 4. POZNAŃ** Szpital Kliniczny Przemienienia Pańskiego Uniwersytetu Medycznego im. Karola Marcinkowskiego **382 pkt**
- 5. KATOWICE** Samodzielny Publiczny Szpital Kliniczny nr 7 Śląskiego Uniwersytetu Medycznego w Katowicach, Górnośląskie Centrum Medyczne im. prof. Leszka Gieca **381 pkt**
- 6. BYDGOSZCZ** Szpital Uniwersytecki nr 1 im. dr. A. Jurasza w Bydgoszczy **377 pkt**
- 7. ZAMOŚĆ** Samodzielny Publiczny Szpital Wojewódzki im. Papieża Jana Pawła II **371 pkt**
- 8. LUBLIN** Szpital Wojewódzki im. Papieża Jana Pawła II **362 pkt**
- 9. WROCŁAW** 4. Wojskowy Szpital Kliniczny z Polikliniką SPZOZ **356 pkt**
- 10. NOWA SÓL** Wielospecjalistyczny Szpital Samodzielny Publiczny Zakład Opieki Zdrowotnej w Nowej Soli **331 pkt**

Kardiochirurgia:

- 1. ZABRZE** Śląskie Centrum Chorób Serca w Zabrzu **94 pkt**
- 2. KATOWICE** Samodzielny Publiczny Szpital Kliniczny nr 7 Śląskiego Uniwersytetu Medycznego w Katowicach, Górnośląskie Centrum Medyczne im. prof. Leszka Gieca **88 pkt**
- 3. WARSZAWA** Instytut Kardiologii im. Prymasa Tysiąclecia Stefana Kardynała Wyszyńskiego **83 pkt**
- 4. RZESZÓW** Kliniczny Szpital Wojewódzki nr 2 im. św. Jadwigi Królowej **78 pkt**
- 5. WROCŁAW** 4. Wojskowy Szpital Kliniczny z Polikliniką SPZOZ **77 pkt**
- 6. KRAKÓW** Krakowski Szpital Specjalistyczny im. Jana Pawła II **76 pkt**
- 7. WARSZAWA** Wojskowy Instytut Medyczny **73 pkt**
- 8. POZNAŃ** Szpital Kliniczny Przemienienia Pańskiego Uniwersytetu Medycznego im. Karola Marcinkowskiego w Poznaniu **72 pkt**
- 9. WARSZAWA** Centralny Szpital Kliniczny Ministerstwa Spraw Wewnętrznych i Administracji w Warszawie **71 pkt**
- 10. BYDGOSZCZ** Szpital Uniwersytecki nr 1 im. dr. Antoniego Jurasza **70 pkt**
- 10. WROCŁAW** Medinet sp. z o.o. **70 pkt**

Chirurgia:

- 1. BYDGOSZCZ** Centrum Onkologii im. prof. Franciszka Łukaszczyka w Bydgoszczy **94 pkt**
- 2. POZNAŃ** Wielkopolskie Centrum Onkologii im. Marii Skłodowskiej-Curie w Poznaniu **89 pkt**
- 3. KRAKÓW** SPZOZ Szpital Uniwersytecki w Krakowie **83 pkt**
- 3. OPOLE** SPZOZ Opolskie Centrum Onkologii w Opolu im. prof. Tadeusza Koszarowskiego **83 pkt**
- 5. KRAKÓW** SPZOZ Szpital Uniwersytecki w Krakowie **81 pkt**
- 6. GDYNIA** Szpitale Wojewódzkie w Gdyni sp. z o.o. **75 pkt**
- 7. WARSZAWA** Centralny Szpital Kliniczny Ministerstwa Spraw Wewnętrznych i Administracji w Warszawie **73 pkt**
- 8. WARSZAWA** Wojskowy Instytut Medyczny **72 pkt**
- 9. BIAŁYSTOK** Białostockie Centrum Onkologii im. Marii Skłodowskiej-Curie **69 pkt**

■ (I miejsce w kategorii: chirurgia – leczenie nowotworów układu pokarmowego) może się równać z najlepszymi w Europie. – Tajemnica sukcesu? Rzetelna praca, a poza tym ciągle podnoszenie własnych umiejętności, szkolenie ludzi, audytowanie, wykonywanie operacji pokazowych dla chirurgów z całej Polski i z zagranicy, specjalizacja, czyli skoncentrowanie się na chirurgii przewodu pokarmowego, szczególnie jelita grubego – wylicza prof. Zegarski. Jego klinika wykonuje rocznie ok. 500 operacji nowotworów jelita grubego i jest pod tym względem jednym z największych ośrodków w Europie. 70 proc. operacji profesor wykonuje laparoskopowo (średnia europejska to 35 proc.), dzięki czemu maleje ryzyko powikłań. Dużo mówi się ostatnio o Breast Cancer Units, czyli ośrodkach, gdzie leczy się kompleksowo nowotwory piersi. W kierowanej przez prof. Zegarskiego Katedrze i Klinice Chirurgii Onkologicznej wraz z Oddziałem Klinicznym Chorób Piersi funkcjonuje nie tylko Breast Cancer Unit, lecz także pierwszy w Polsce Colorectal Cancer Unit zajmujący się wielospecjalistycznym leczeniem raka jelita grubego.

– Nikt tu nam niczego nie dał: sami staraliśmy się o sprzęt, zdobywaliśmy umiejętności. Porozumienie szefa kliniki z dyrektorem szpitala to klucz do sukcesu. Ja opowiadam, co można zrobić, on szuka źródeł finansowania. A potem okazuje się, że to, co innowacyjne i doskonale robione, jest też tańsze. Ciągłe trzeba wprowadzać coś nowego, wyprzedzać innych i pamiętać, że beneficjentem sukcesów musi być chory – dodaje prof. Zegarski.



prof. Marek Rudnicki, uniwersytet w Illinois, członek Amerykańskiego Towarzystwa Chirurgów:

Rankingi amerykańskich szpitali zaczęto przeprowadzać już 27 lat temu. Dzisiaj „US News and World Report” porównuje ok. 5 tys. centrów medycznych w 25 specjalnościach. Pozwala to pacjentowi się dowiedzieć, który szpital ma najlepsze efekty leczenia. Oprócz tego są rankingi prowadzone przez różne organizacje – dzięki temu można porównać każdą możliwą procedurę medyczną. Szpitale konkurują między sobą, nie mogą więc pozwolić sobie na to, by pozostać poza rankingiem. Nawet lekarze zaczynają już być oceniani. Ocena szpitali ma kilkadziesiąt wskaźników, takich jak liczba pacjentów, lekarzy, pielęgniarek, częstość występowania infekcji i zdarzeń niepożądanych. Szpitale na swoich stronach internetowych publikują informacje o jakości leczenia. Chcą to robić, gdyż jeśli jeden szpital takie dane publikuje, a inny nie, to pacjenci uważają, że ten, który publikuje, jest lepszy. Dzięki temu widać ogromny postęp, jeśli chodzi o zmniejszenie liczby infekcji i powikłań pooperacyjnych, śmiertelności, częstość powtórnych przyjęć. Poza tym ubezpieczyciele szukają szpitali, które gwarantują dobrą jakość. Szpital, który ma najlepsze wyniki, ma najwyższy kontrakt – dlatego jeszcze bardziej dąży do poprawy leczenia. Niską cenę leczenia jest olbrzymi, ponieważ za tym idą pieniądze.



dr Jerzy Gryglewicz, ekspert w zakresie ochrony zdrowia, Uczelnia Łązarskiego:

Rankingi wywołują dyskusję na temat jakości szpitali. Niestety, obecnie NFZ przy ustalaniu wysokości kontraktów w niewielkim stopniu uwzględnia kryteria jakościowe. Nie były one także brane pod uwagę przy ustalaniu szpitali, które mają znaleźć się w tzw. sieci szpitali. Był to poważny zarzut wobec autorów koncepcji sieci. Ministerstwo Zdrowia jednak dostrzega problem: w styczniu tego roku przedstawiło projekt założeń ustawy o jakości w ochronie zdrowia i bezpieczeństwie pacjenta.

Ustawa narzuci obowiązek, by w każdym szpitalu było monitorowanie zdarzeń niepożądanych i analizowanie, dlaczego do nich doszło. Również po stronie NFZ jest świadomość tego, że należy promować jakość. Płatnik powinien móc zwiększyć kontrakty w szpitalach, które leczą lepiej, a tam, gdzie leczenie jest słabsze, kontrakty powinny być mniejsze. Jakość musi być premiowana, żebyśmy byli leczeni w szpitalach, gdzie ryzyko powikłań jest mniejsze.



Michał Bedlicki, zastępca dyrektora Centrum Monitorowania Jakości w Ochronie Zdrowia:

Pacjenci chcą sami decydować, gdzie mają się leczyć. Każda informacja umożliwiająca skonfrontowanie swoich doświadczeń z wiedzą profesjonalistów na temat danej placówki jest bardzo pożyteczna. Wiele krajów przeprowadza tego typu rankingi. Istotne jest to, by były dobrze przygotowane i zrealizowane.

Szpitale bardzo chętnie starają się przejrzeć w rankingach jak w lustrze. Powody są dwa. Pierwszy: jeśli ranking jest prowadzony przez kilka lat w porównywalny sposób, to szpital ma możliwość zobaczenia, jak zmienia się jego funkcjonowanie. Drugi powód to porównanie się z innymi. Zarówno zarządy, jak i właściciele szpitali starają się dowiedzieć, jak ich placówki wypadły. Rankingi dostarczają też informacji, jakie są słabe punkty, co należy poprawić. Ranking mobilizuje szpitale, bo jeśli widzą, że konkurencja jest jedno miejsce czy dwa wyżej, to starają się podjąć wysiłek, który pozwoliłby na poprawę miejsca. To pozytywny bodziec zmierzający do poprawy funkcjonowania szpitali.

Nie obawia się, że po nagłośnieniu rankingu jeszcze więcej chorych z Polski będzie szukać pomocy w bydgoskim Centrum Onkologii. – To świetnie, bo właśnie powiększamy klinikę, zwiększamy liczbę łóżek, zatrudniamy asystentów – opowiada. Tajemnicą sukcesu jest też pasja szefa

kliniki. – Ja tym żyję na co dzień, cieszę się nowatorską operacją, tym, że wypisuję chorego w czwartej, a nie w dziesiątej dobie po operacji – dodaje prof. Zegarski.

Trzecie miejsce w kategorii chirurgia przypadło Szpitalowi Uniwersyteckiemu w Krakowie. Okazał się on też liderem w ginekologii i urologii. Klinikę Urologii i Urologii Onkologicznej doceniono za leczenie kamicy układu moczowego, duże zabiegi urologiczne oraz endoskopowe. Zespół prof. Piotra Chłosty wykonuje też rozległe operacje wycinania czopów nowotworowych. Z kolei Oddział Kliniczny Ginekologii i Onkologii, kierowany przez prof. Kazimierza Pityńskiego, w leczeniu zaburzeń statyki narządu rodowego stosuje metody z użyciem tkanek własnych organizmu i materiału sztucznego. Najwyższą jakość usług medycznych potwierdza certyfikat Europejskiego Towarzystwa Ginekologii Onkologicznej, który oddział otrzymał jako pierwszy w Polsce.

KOMPLEKSOWOŚĆ W ORTOPEDII

Według Fundacji Watch Health Care na świadczenie ortopedyczne pacjenci cze-



Anna Czech, posłanka na Sejm, przewodnicząca Zespołu ds. Organizacji Ochrony Zdrowia, dyrektor Szpitala Wojewódzkiego im. św. Łukasza

w Tarnowie:

Szpital starają się o uzyskanie certyfikatu jakości, akredytację ministra zdrowia, jednak udział w rankingach jest dla nich również bardzo ważny. Motywuje to do poprawy jakości leczenia, szczególnie gdy widać, w jakich obszarach uzyskało się więcej punktów, a w jakich mniej. Zawsze później ranking jest poddawany analizom przez kierownictwo szpitala.

Gdy następuje nagłe pogorszenie stanu zdrowia, pacjent wybiera jednostkę publiczną pełniącą dyżur całodobowo. W przypadku operacji planowych pacjent kieruje się zaufaniem do lekarza, komfortem leczenia, opiniami innych chorych i ich rodzin. Jednak rankingi szpitali są bardzo ważną wskazówką. Od wielu lat kieruję szpitalem i widzę, jak podnosi się jakość opieki nad pacjentami: placówki dysponują coraz lepszym sprzętem diagnostycznym, coraz lepszymi urządzeniami do operacji.

kają w Polsce średnio ponad 11 miesięcy, a na wszczepienie endoprotezy stawu biodrowego nawet ponad dwa lata. Po operacji pacjent powinien mieć możliwość rehabilitacji – taką kompleksową opiekę chce wprowadzić Ministerstwo Zdrowia. W niektórych szpitalach funkcjonuje ona już od dawna m.in. w Samodzielnym Publicznym Szpitalu Klinicznym im. prof. Adama Grucy w Otwocku, który zwyciężył w rankingu w kategorii ortopedia. – Zaczęliśmy modernizować szpital ok. 10 lat temu. Byliśmy bardzo zadłużeni, więc musieliśmy ekonomizować leczenie, postępować zgodnie z biologią leczenia, ale nie przeciwko niej – mówi prof. Wojciech Marczyński, szef Kliniki Ortopedii. Pacjent przychodzi na planową operację z kompletem badań, wyleczony ze stanów zapalnych, które mogłyby komplikować leczenie. Dzięki temu udało się zmniejszyć liczbę powikłań po operacji. Szpital został całkowicie wyremontowany, kupiono nowoczesny sprzęt diagnostyczny. – Chorzy następnego dnia po operacji endoprotezowania są pionizowani, a po kilku dniach mogą opuścić szpital na własnych nogach. Jeśli potrze-

- **10. BRZÓZÓW** Szpital Specjalistyczny w Brzozowie 66 pkt
- 10. SŁUPSK** Wojewódzki Szpital Specjalistyczny im. Janusza Korczaka w Słupsku 66 pkt

Urologia:

- 1. KRAKÓW** SPZOZ Szpital Uniwersytecki w Krakowie 118 pkt
- 2. BYDGOSZCZ** Szpital Uniwersytecki nr 1 im. dr. Antoniego Jurasza 110 pkt
- 3. WARSZAWA** Wojskowy Instytut Medyczny 105 pkt
- 4. BYDGOSZCZ** Centrum Onkologii w Bydgoszczy im. prof. Franciszka Łukaszczyka 102 pkt
- 4. SŁUPSK** Wojewódzki Szpital Specjalistyczny im. Janusza Korczaka w Słupsku sp. z o.o. 102 pkt
- 6. TORUŃ** Specjalistyczny Szpital Miejski im. Mikołaja Kopernika w Toruniu 91 pkt
- 6. BEŁCHATÓW** Szpital Wojewódzki im. Jana Pawła II w Bełchatowie 91 pkt
- 8. BYDGOSZCZ** Szpital Uniwersytecki nr 2 im. Jana Biziela 90 pkt
- 8. ŁÓDŹ** Wojewódzkie Wielospecjalistyczne Centrum Onkologii i Traumatologii im. Mikołaja Kopernika 90 pkt
- 8. KATOWICE** Med Holding SA prowadząca Niepubliczny Zakład Opieki Zdrowotnej, Szpital im. prof. Emila Michałowskiego 90 pkt

Ginekologia:

- 1. KRAKÓW** SPZOZ Szpital Uniwersytecki w Krakowie 156 pkt
- 2. OLSZTYN** Wojewódzki Szpital Specjalistyczny w Olsztynie 149,5 pkt
- 3. WARSZAWA** Wojskowy Instytut Medyczny 148,5 pkt
- 4. WARSZAWA** Szpital Specjalistyczny im. Świętej Rodziny SPZOZ 146 pkt
- 5. WEJHEROWO** Szpital Specjalistyczny im. Floriana Ceynowy w Wejherowie 142,5 pkt
- 6. WARSZAWA** Szpital Specjalistyczny „Inflancka” im. Krysi Niżyńskiej „Zakurzonej” 140,5 pkt
- 7. ELBLĄG** Wojewódzki Szpital Zespolony w Elblągu 134 pkt
- 7. POZNAŃ** Ginekologiczno-Położniczy Szpital Kliniczny Uniwersytetu Medycznego im. Karola Marcinkowskiego w Poznaniu 134 pkt
- 9. WARSZAWA** Centrum Medyczne „Żelazna” sp. z o.o., Szpital Specjalistyczny św. Zofii w Warszawie 132,5 pkt
- 10. WROCŁAW** Wojewódzki Szpital Specjalistyczny we Wrocławiu 131,5 pkt

Ortopedia:

- 1. OTWOCK** Samodzielny Publiczny Szpital Kliniczny im. prof. Adama Grucy, Centrum Medycznego Kształcenia Podyplomowego 312 pkt
- 2. PIEKARY ŚLĄSKIE** Samodzielny Publiczny Wojewódzki Szpital Chirurgii Urazowej im. dr. Janusza Daaba w Piekarach Śląskich 294 pkt
- 3. POZNAŃ** Ortopedyczno-Rehabilitacyjny Szpital Kliniczny im. Wiktora Degi Uniwersytetu Medycznego im. Karola Marcinkowskiego w Poznaniu 279 pkt
- 4. BYDGOSZCZ** Szpital Uniwersytecki nr 1 im. dr. Antoniego Jurasza 249 pkt
- 5. SZCZECIN** Samodzielny Publiczny Szpital Kliniczny nr 1 235 pkt
- 6. RUDNA MAŁA, GŁOGÓW MAŁOPOLSKI** Nowe Techniki Medyczne, Szpital Specjalistyczny im. Świętej Rodziny sp. z o.o. 221 pkt
- 7. RZESZÓW** Kliniczny Szpital Wojewódzki nr 2 im. św. Jadwigi Królowej 219 pkt
- 8. ŁÓDŹ** Centralny Szpital Kliniczny Uniwersytetu Medycznego w Łodzi 212 pkt
- 9. WARSZAWA** Szpital Praski pw. Przemienienia Pańskiego sp. z o.o. 201 pkt
- 9. WARSZAWA** Wojskowy Instytut Medyczny 201 pkt

bują rehabilitacji, to trafiają na nowy, bardzo nowoczesny oddział rehabilitacji – opowiada prof. Marczyński.

W otwockim szpitalu jest 13 sal operacyjnych, odbywa się dziennie średnio ok. 40 operacji dziennie. Na oddział powikłań pooperacyjnych trafiają chorzy z całej Polski. Lekarze starają się naprawić błędy

popelnione podczas operacji w innych placówkach. Szpital miałby możliwość przeprowadzania większej liczby operacji. Ograniczają go kontrakty z NFZ. Może sytuacja się zmieni, gdy przy otrzymywaniu kontraktów zacznie być brana pod uwagę jakość? Na to liczą wszystkie zwycięskie szpitale.

Skuteczne terapie w szpitalu



Anna Król

Polskie społeczeństwo się starzeje, rośnie liczba chorób cywilizacyjnych. Jest duże prawdopodobieństwo, że każdy z nas lub ktoś z naszych bliskich trafi do szpitala. Warto wiedzieć, jakie szanse daje pacjentom skuteczna i bezpieczna farmakoterapia

Szpital to nie jest miejsce, w którym chciałoby się przebywać długo. A ogromny wpływ na to, ile czasu spędzi tam pacjent, ma jakość opieki szpitalnej, na którą oprócz zabiegów medycznych składa się też stosowanie odpowiednich leków. Te nowoczesne mogą znacznie przyspieszyć wypisanie do domu.

ZGODNIE Z RECEPTARIUSZEM

Szpital ma obowiązek zapewnić pacjentowi bezpłatnie leki i wyroby medyczne konieczne podczas hospitalizacji. A lekarz ma możliwość wyboru terapii finansowanych przez państwo.

Skuteczność i bezpieczeństwo – to największe korzyści, jakie pacjenci zyskują dzięki stosowaniu leków zgodnych z najnowszą wiedzą medyczną. Nowoczesne leki anestetyczne pozwalają bezpiecznie przeprowadzać zabiegi operacyjne i diagnostyczne. Innowacyjne terapie pomagają poprawić komfort pacjenta. Widać to choćby na przykładzie sposobu podawania leków. Niektóre preparaty biologiczne mogą być aplikowane w formie krótkich iniekcji podskórnych zamiast wielogodzinnych wlewów dożylnych, jak to było w przypadku leków starszej generacji.

Apteki szpitalne zaopatrują się w leki zgodnie z wytycznymi receptariusza szpitalnego. Jest on rodzajem przewodnika po lekach, mającego pomagać w wyborze najbardziej bezpiecznego i skutecznego produktu. Wybór leków do receptariusza

opiera się na danych medycznych, a także ekonomicznych, związanych z cenami leków. O ostatecznej zawartości receptariusza szpitalnego decyduje komitet terapeutyczny składający się m.in. z farmakologów i farmaceutów klinicznych.

Receptariusze powinny być przynajmniej raz w roku aktualizowane, z uwzględnieniem postępu w farmakoterapii (w tym efektywności leczenia) oraz dostępności leków finansowanych przez płatnika. Muszą też spełniać wytyczne

Ogromny wpływ na to, ile czasu w szpitalu spędzi pacjent, ma jakość opieki, na którą oprócz zabiegów składa się też stosowanie odpowiednich leków

zawarte w kontrakcie, który szpital podpisuje z NFZ, oraz być zgodne z prawem obowiązującym w zakresie zamówień publicznych.

KORZYŚCI Z INNOWACJI

Receptariusze szpitalne są tworzone z jak największą starannością, ich głównymi celami powinny być dobro pacjenta oraz korzyści, jakie ma przynieść leczenie. Podczas zamawiania leków

w szpitalach, oprócz względów medycznych, brany jest jednak też pod uwagę aspekt ekonomiczny.

Wielu lekarzy uważa, że kierowanie się przy wyborze leku głównie ceną może być niebezpieczne dla chorych. Dlatego duże wątpliwości budzi kwestia zamiennictwa w obszarze leków biologicznych i biopodobnych. W tym przypadku nie można mówić wprost o zamiennikach, jak to jest w przypadku leków chemicznych. Leki biologiczne zawierają substancję produkowaną lub ekstrahowaną ze źródła biologicznego (żywych organizmów). To m.in. insulina (leczenie cukrzycy), heparyna (zawały serca, zakrzepica), hormon wzrostu (niskorosłość), erytropoetyna (leczenie anemii). Leki biopodobne są produktami leczniczymi, podobnymi do referencyjnego biologicznego produktu leczniczego. Nie oznacza to jednak, że ich profil bezpieczeństwa, efektywność terapeutyczna oraz inne właściwości są tożsame. Leki biologiczne stosuje się często w terapiach nowotworowych (np. w leczeniu niedrobnokomórkowego raka płuca), kardiologicznych (np. w leczeniu trombolitycznym zawału mięśnia sercowego). Przy tak szczególnym trybie leczenia (np. w onkologii, reumatologii, dermatologii, gastroenterologii) konieczna jest konsekwencja. Jeżeli pacjent zaczyna kurację lekiem referencyjnym, to wskazane jest podawanie go do jej zakończenia.

Nie tylko kryterium cenowe powinno więc decydować o wyborze leku, lecz także lekarz i pacjent powinni mieć dostęp w szpitalu do wszystkich opcji terapeutycznych znajdujących się w wykazie refundacyjnym. Lekarz i pacjent muszą wiedzieć, jaki lek jest stosowany – powinni znać jego nazwę handlową. To istotne w kontekście ewentualnych działań niepożądanych, które mogą wystąpić po każdym leku.

Bezpieczne i skuteczne terapie stosowane w leczeniu szpitalnym są standardem terapeutycznym od lat. W dłuższej perspektywie mogą skorzystać na nich także szpitale. Nowoczesne leki, oprócz naukowo udowodnionych długofalowych korzyści terapeutycznych, takich jak wydłużenie czasu życia chorego czy poprawa jego samopoczucia, podnoszą też komfort związany z pobytem w szpitalu. Mogą wpływać np. na skrócenie czasu hospitalizacji, zmniejszenie ryzyka powikłań (np. w przypadku leków anestetycznych) czy działań niepożądanych. To ważne dla każdego pacjenta.



4,5 godziny dla mózgu



Agnieszka Fedorczyk

Rocznie udar ma 90 tys. Polaków. Aż 20 proc. z nich umiera. Szybkie wezwanie karetki pogotowia i natychmiastowa interwencja medyczna zwiększają szansę na przeżycie i zmniejszają ryzyko inwalidztwa. Decyduje czas

Udar mózgu jest trzecią co do częstości, po zawałach i urazach, przyczyną śmierci. Bezpośrednim powodem udaru jest niedokrwienie określonego obszaru w mózgu (udar niedokrwienny – 85 proc. przypadków) lub wylew krwi (udar krwotoczny – 15 proc. przypadków). Wylew jest rezultatem pęknięcia ściany tętnicy wewnątrzczaszkowej, a jego przyczyną są najczęściej zmiany w ścianie naczyń, będące konsekwencją wieloletniego nadciśnienia tętniczego albo cukrzycy. Wylew częściej niż udar niedokrwienny staje się przyczyną śmierci chorego.

W momencie udaru człowiek nagle zaczyna mieć problemy z mówieniem – jego mowa staje się niewyraźna, bełkotliwa. Charakterystyczne jest również opadanie kącika ust i drętwienie połowy ciała, czyli niedowład jednej ręki i nogi. To typowe objawy. Gdy się je dostrzeże, należy jak najszybciej wezwać karetkę pogotowia. Od szybkiej pomocy zależy, czy pacjent przeżyje i w jakim stanie zdrowia będzie żył dalej: czy będzie zdrow, czy grozi mu inwalidztwo.

RYZYKO ROŚNIE Z WIEKIEM

W wyniku udaru pojawia się niedotlenienie komórek nerwowych w mó-

zgu, które nagle przestają przekazywać impulsy nerwowe. W efekcie z powodu niedowładu człowiek nie może podnieść szklanki z wodą, zrobić kroku. Zdarzają się mniej charakterystyczne objawy – np. zawroty głowy, nudności, wymioty. Ryzyko udaru wzrasta z wiekiem: po 50. roku życia podwaja się ono wraz z każdą kolejną dekadą życia.

Pacjent z udarem powinien jak najszybciej trafić do szpitala na oddział udarowy. Tam powinien zostać poddany badaniom: tomografia komputerowa umożliwia zweryfikowanie wstępnej diagnozy. W razie potwierdzenia niedokrwiennego udaru mózgu pacjent otrzymuje leki trombolityczne, których zadaniem jest usunięcie bezpośredniej przyczyny udaru – rozpuszczenie skrzepu w niedrożnym naczyniu i przywrócenie zaburzonego przepływu krwi. Drugi sposób leczenia pacjentów z udarem polega na mechanicznym usunięciu skrzepiny za pomocą specjalnego systemu – stentu (mechaniczna trombektomia). Został on pozytywnie zaopiniowany przez Agencję Oceny Technologii Medycznych i Taryfi-

kacji (AOTMiT), jednak z powodu braku refundacji nie wszystkie osoby po udarze mogą być jej poddane.

GROŹNE MIGOTANIE

Udar jest groźny, dlatego jeśli można, to trzeba zrobić wszystko, by mu zapobiec. W niektórych przypadkach jest to możliwe. Aż 30 proc. udarów mózgu jest spowodowanych migotaniem przedsionków – najczęściej występującą arytmia serca. U pacjentów z migotaniem przedsionków ryzyko wystąpienia udaru mózgu zwiększa się pięciokrotnie. Udar w przebiegu tej arytmii jest wyjątkowo groźny: aż 40–50 proc. osób umiera w pierwszym roku po jego wystąpieniu. – Przyczyną migotania przedsionków jest pogorszona funkcja mechaniczna przedsionków serca jako pompy tłoczącej krew, co stwarza warunki sprzyjające powstawaniu w sercu skrzeplin. Taka skrzeplina, zlokalizowana w lewym przedsionku, może wraz z prądem krwi powędrować naczyniami do ośrodkowego układu nerwowego i zamknąć jedno z naczyń mózgowych, czego objawem jest ostre niedokrwienie fragmentu tkanki mózgowej, czyli właśnie udar mózgu – tłumaczy dr hab. Adam Kobayashi z Centrum Interwencyjnego Leczenia Udaru i Chorób Naczyniowych Mózgu i Zakładu Radiologii Instytutu Psychiatrii i Neurologii w Warszawie.

Trzy miliony ludzi na świecie przechodzi udar mózgu spowodowany migotaniem przedsionków. Dlatego tak ważna jest profilaktyka: rozpoznanie migotania i eliminowanie czynników ryzyka, czyli leczenie nadciśnienia, cukrzycy, rzucenie palenia oraz aktywność ruchowa, choćby regularne spacery codziennie po co najmniej 30–45 minut. Często konieczne jest też podawanie leków przeciwkrzepliwych. Obniżają one krzepliwość krwi, co hamuje powstawanie skrzeplin w lewym przedsionku. Zmniejsza to ryzyko udaru mózgu o ok. 70 proc.

Wytyczne Europejskiego Towarzystwa Kardiologicznego określają, jakie grupy leków powinny być ordynowane. Można stosować leki znane już od prawie 70 lat, którymi są antagoniści witaminy K, jednak skuteczniejsze, wygodniejsze dla pacjenta i bezpieczniejsze są tzw. nowe doustne antykoagulanty (choć właściwie nie są one już tak nowe, ponieważ są dostępne od prawie 10 lat). Badania potwierdzają, że lepiej chronią przed udarem, powodują mniej objawów niepożądanych i bardziej wydłużają życie niż leki starszej generacji. Jednym z przykładów bezpiecznej i sku-

Udarowi mózgu pomaga zapobiec:

- zdrowy styl życia, czyli regularna umiarkowana aktywność fizyczna i zdrowa dieta (śródziemnomorska),
- kontrolowanie poziomu cholesterolu, lipidów oraz glukozy.

Czynniki ryzyka udaru mózgu, które można zminimalizować lub wyeliminować:

- migotanie przedsionków,
- nadciśnienie tętnicze,
- palenie tytoniu,
- cukrzyca,
- choroby naczyń,
- zaburzenia gospodarki lipidowej,
- otyłość,
- nadużywanie alkoholu,
- niedoczynność tarczycy,
- zaburzenia krzepnięcia krwi, przebyty udar bądź przemijający atak niedokrwienny,
- przyjmowanie amfetaminy i kokainy.

tecznej antykoagulacji jest dabigatran. Co więcej, dostępny jest też swoisty czynnik odwracający działanie dabigatranu – idarucyzumab. Zwiększa to bezpieczeństwo terapii, gdyż w przypadku konieczności wykonania nagłego zabiegu operacyjnego u pacjenta zażywającego dabigatran lekarze mają do dyspozycji lek, który natychmiast odwróci jego przeciwkrzepliwą działanie i umożliwi przeprowadzenie zabiegu.

Leki to jednak nie wszystko – konieczna jest też rehabilitacja. Najlepiej, jeśli

rozpocznie się ją już w pierwszej dobie po wystąpieniu udaru. Wczesne usprawnianie chorego może zmniejszyć ryzyko powikłań. Przynosi ono znacznie lepsze efekty niż rehabilitacja kilka miesięcy po udarze.

Szybki powrót do zdrowia pacjent może osiągnąć tylko pod okiem wykwalifikowanego personelu medycznego: lekarza specjalisty, fizjoterapeuty, pielęgniarki, neuropsychologa, neurologopedy, terapeuty zajęciowego, dietetyka oraz innych konsultantów (neurochirurg, kardiolog, psychiatra). Niestety, w Polsce z powodu niewystarczającego finansowania tylko ok. 30 proc. osób po udarze ma zapewnioną rehabilitację.

CENNE MINUTY

W przypadku niedokrwinnego udaru mózgu liczą się dosłownie minuty. – Z każdą chwilą niedotleniony obszar mózgu powiększa się i tworzy się martwica, gdyż komórki nerwowe są wyjątkowo wrażliwe na niedotlenienie. Leczenie trombolityczne należy włączyć maksymalnie do 4,5 godziny od momentu wystąpienia udaru, a mechaniczne usunięcie skrzepu powinno być wykonane najlepiej do sześciu godzin od zdarzenia – mówi dr hab. Adam Kobayashi.

Szybka reakcja – wezwanie pogotowia i natychmiastowa pomoc – zwiększa szansę, że skutki udaru będą możliwe najmniejsze. Zbyt późne przewiezienie do szpitala często oznacza trwałe inwalidztwo. To właśnie udary mózgu są najważniejszą przyczyną inwalidztwa wśród osób dorosłych. Najtragiczniejszą konsekwencją jest zgon – dotyka on 18–25 proc. osób po udarze.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

Objawy udaru mózgu:

- nagłe zaburzenia czucia po jednej stronie ciała (niedoczulica połowicza) lub drętwienie połowy ciała,
- wykrzywienie twarzy po jednej stronie, szczególnie widoczne jest opuszczenie kącika ust,
- nagłe osłabienie kończyny lub kończyn po jednej stronie (niedowład połowiczny),
- nagłe zaburzenia mowy (mowa bełkotliwa, utrata zdolności mówienia, trudności w zrozumieniu mowy),
- nagłe zaburzenia widzenia – charakterystyczne jest niedowidzenie na jedno oko lub niedowidzenie połowy pola widzenia,
- nagłe zawroty głowy z towarzyszącymi zaburzeniami równowagi, nagłymi upadkami, czasami z podwójnym widzeniem, kłopotami z orientacją i zaburzeniami świadomości.

W przypadku takich objawów trzeba natychmiast wezwać pogotowie. Każdy udar jest zagrożeniem dla życia, nie wolno czekać, aż objawy ustąpią. Brak szybkiej reakcji może doprowadzić do nieprawności ruchowej, połowiczego zaburzenia czucia, zaburzenia wzroku, mowy (afazja), pamięci (amnezja), połykania (dysfagia) oraz zaburzeń psychicznych.

II EDYCJA KONKURSU,

KTÓRY WYWOŁAŁ OGÓLNOPOLSKĄ, POWSZECHNĄ MODĘ
NA WSZYSTKO CO JEST W 100% POLSKIE!

NAGRADZAMY PRZEDSIĘBIORSTWA,
KTÓRE WYTWARZAJĄ POLSKIE PRODUKTY

100 %

**polski
produkt**

**ZGŁOŚ PRODUKT NA
POLSKI-PRODUKT.DORZECZY.PL**

ORGANIZATOR:



PARTNER MERYTORYCZNY:



PARTNERZY:



asreco



URSUS





JACEK KOMUDA

PODRÓŻE SARMACKIEGO KUCHMISTRZA

Częstowania sejmikowe

Szlacheckie sejmiki już w XVII w. zaczynały być festynem wolności – obowiązkowym punktem ich programu stawały się bankiety i poczęstunki. Wydawane były przez przybywających na sejmik magnatów pragnących zjednać sobie szlachtę, aby drogą przez gardło i żołądek przekonać ją do swych racji.

Od rana pojono szlachtę wódką, a na śniadanie serwowano bochny chleba, masło i pieczenie pokrajane w zrazy

Wjazdy i poczęstunki stawały się coraz kosztowniejsze. Książę Aleksander Dominik Zasławski na sejmiku w Łucku z 1636 r. wydał 2 tys. zł. Krzysztof Opaliński wjeżdżał na sejmik średzki, jak sam pisze, „kupą srogą, jaką ani pan poseł wjechał”.

Sto lat później owe „częstowania” były stałym elementem zjazdów. Jak podaje Jędrzej Kitowicz: „Panowie i można szlachta częstowali się potrawami wybornymi i trunkami dobrymi, najwięcej

winem węgierskim, którego im gdzie więcej i lepszego dawano, tym większa tam była schadzka. Drobna szlachta nie mieszała się z panami, miała swoje osobne stoły po różnych gospodach, a w lecie po sadach i podwórzach pod szalassami, gdzie ich przez ciąg sejmiku karmiono i pojono, przy każdym takowym stole albo raczej garkuchni znajdował się jeden i drugi z ramienia pańskiego sługa albo przyjaciel dowódca do ochoty”.

Garkuchnie nie były wykwentne – przygotowywano mięsa wołowe, wieprzowe, baranie, kury, gęsi, indyki pieczone i warzone pieprzno, słono oraz kwaśno, „aby się lepiej do trunków zaostrzało pragnienie”. Kajetan Koźmian opisuje przedsejmową ucztę, którą pod koniec XVIII w. oglądał na Lubelszczyźnie: „Ujrzelśmy białe namioty – szatry na kijach płachtami okryte, budy z gałęzi, przed nimi gorejące płomieniem ogniska, przy których zarzynano woły i pieczono na rożnach całe ćwierci. W środku to przy stołach, to przy zydlach, to na ziemi w kuczkach siedziały tłumy i pożerały strawę. Inni przy beczkach piwa i miodu, przy kuflach gorzałki ze wrzaskiem

i hałasem, szklankami, garneczkami, dzbankami raczyli się trunekiem i wykrzykiwali wiwaty”.

Od rana pojono szlachtę wódką, a na śniadanie serwowano bochny chleba, masło i pieczenie pokrajane w zrazy, dla spragnionych zaś dawano piwo. „Z resztą od obżarstwa wstrzymywano ich, aby mogli utrzymać się przy zmysłach i władzy do roboty sejmikowej”. Dopiero po zakończeniu obrad „prowadzono te rotty do swoich garkuchniów, gdzie zaczęty obiad stykał się z wieczerzą, a ta ciągnęła się do północy albo i białego dnia; gdy nie mogąc się wszyscy razem pomieścić do stołu, jedni po drugich zasiadali. Ordynaryjnie taką szlachtę pojono winem z gorzałką zmieszanym, dla prędszego zawrotu głowy i piwem dla ochłody pragnienia. Pijąc tedy na przemianę raz owę mieszaninę wina z gorzałką, drugi raz piwo, prędko się i niewielkim kosztem popili”.

Pijaństwo i obżarstwo zaczęło zanikać w czasach stanisławowskich, w dobie reform Sejmu Wielkiego i konstytucji. Ostatnie sejmiki Rzeczypospolitej szlacheckiej na wiosnę 1792 r. przebiegały w znacznie spokojniejszej atmosferze. ©



Bigos hultajski

Kilogram albo dwa kwaśnej kapusty wyciskamy z soku, wkładamy w rondel kawałek świeżego wieprzowego sadła lub dorzucamy smalec przesmażony na patelni. Wrzucamy kapustę, którą podlewamy bulionem wołowym. Dorzucamy kawał świeżej poprzerastanej słoniny, dusimy długo pod pokrywką. Dokładamy mięsa (jakie mamy w domu, czyli kawałki pieczeni wołowej, zwierzyny), pokrojone w kostkę – co tylko zostało nam w kuchni, bo szlachta gołota i tak podniebienia ma jak siermięgi. Kiedy słonina ugotuje się z kapustą, wyjmujemy ją i kroimy w kawałki ze skórą, potem mieszamy wszystko, pieprzymy, dodajemy smalcu pomieszanego z posiekaną, przyrumienioną na patelni cebulą. Dusimy w garnku bigos dopóty, dopóki nie nabierze ciemnego koloru; bez przerwy mieszamy, aby się nie przypalił. Jeśli została nam w domu kiełbasa, to dorzucamy trochę pokrojonej w kostkę. Bigos podajemy sam albo jako dodatek do wspomnianej wcześniej wołowej pieczeni. Dobry jest na przegryzkę i otrzeźwienie, jeśli szlachta clientes zanadto się popije z rana.

RAFAŁ DĘBSKI – PISARZ I DO MIECZA, I DO GARÓW

Przygodę z gotowaniem zacząłem bardzo wcześnie – i tu chwała moim rodzicom, którzy pozwalali mi na eksperymenty, nie bacząc na straty. Od zawsze ciągnęło mnie i do kuchni, i do miecza, i do literatury... To się chyba w ogóle jakoś łączy, wystarczy spojrzeć na felietony kulinarne Jacka Komudy.

Pamiętam za to, kiedy NAUCZYŁEM się gotować. Nastąpiło to w „erze spawacza”, czyli w stanie wojennym, gdy kroczyłem sobie dumnie przez 13. rok życia. Rodzice angażowali się mocno w działalność podziemną, nie mieli zbyt wiele czasu na inne rzeczy. Często zostawałem sam, pichcąc wtedy dla nich i dla siebie. Musiałem sobie radzić, używając produktów, które udało się zdobyć, a kto pamięta tamte czasy, ten wie, że szalu z towarami nie było. Jednak wła-

śnie to nauczyło mnie nie przywiązywać zbyt wielkiej wagi do przepisów, lecz budować jedynie na fundamentach pomysłów, nierzadko tworząc nowe smaki, a nawet nowe potrawy. I tak mi już zostało.

Ciasto francuskie z farszem

Składniki (dla dwóch osób):

- opakowanie ciasta francuskiego
- 25 dag pieczarek
- 15–20 dag szynki konserwowej w plastrach
- 30 dag sera
- dwie nieduże cebule
- dwa jajka

Przygotowanie:

Pieczarki i jedną cebulę pokroić w kostkę, podsmażyć, dodać soli i pieprzu, odstawić do przestygnięcia. Zetrzeć ser, pokroić szynkę w małe kwadraciki, posiekać drugą cebulę, dodać wszystko do pieczarek, przyprawić papryką słodką i ostrą, imbirem, pieprzem, odrobiną gałki muszkatołowej. Wbić jajko, wymieszać dokładnie całość. Oddzielić i roztrzepać żółtko drugiego jajka.

Farsz rozprowadzić na cieście, zawinąć całość i uformować we wrzeciono, zaciskając je na krawędziach, położyć na blachę wyłożoną papierem do pieczenia i posmarować z wierzchu żółtkiem. Piec w temperaturze 190 st. C ok. 25–30 min. Ciasto powinno się zarumienić, a wierzch lekko zbrazować. ©

oprac. raw

Rafał Dębski jest pisarzem, autorem m.in. cykli „Wilkozacy” i „Rubieże Imperium”



JOANNA BOJAŃCZYK

NIEPRAKTYCZNA PANI DOMU

Zupa na Plantach

Na tle przemądrzałości teorii kulinarnych, fantastyki przepisów i ekscesów tematyki jedzeniowej ta inicjatywa jest ujmująco prosta i pożyteczna. „Zupa na Plantach” – akcja wspierająca krakowskich bezdomnych – działa od listopada ubiegłego roku. Jej twórcami są Piotr Żyłka, redaktor naczelny portalu Deon.pl, i Błażej Strzelczyk z „Tygodnika Powszechnego” oraz Magda Żyłka i jej mąż Adam Wrona. Pomysł zrodził się w ŻyWej Pracowni, krakowskim ośrodku edukacyjno-kulturalnym, który tworzy grupa rzemieślników i artystów angażująca się wspólnie w działania kulturalno-społeczno-edukacyjne na styku sztuki, tradycyjnego rzemiosła, designu, architektury i miejskiego ogrodnictwa. Jedzenie przygotowuje się w ŻyWej Pracowni, w kamienicy na Podgórzu, we wtorek i w niedzielę. W niedzielę po gotowaniu wolontariusze udają się bezpośrednio na Planty, zupa z wtorkowego gotowania trafia do bezdomnych w środę. Zawsze o godz. 18.30. Bezdomni otrzymują również ciepłe ubrania.

– Przez te kilka miesięcy wykształciły się dwie ekipy zaangażowane w „Zupę” – mówi „Do Rzeczy” Piotr Żyłka. – Pierwsza to ok. 150 wolontariuszy, którzy regularnie przychodzą gotować zupę i spotykać się z bezdomnymi na Plantach. Druga to kilkanaście osób, które są odpowiedzialne za cały projekt, koordynują go, myślą o kierunkach rozwoju. Ja jestem jedną z tych kilkunastu osób.

Od początku ekipa „Zupy” współpracuje z s. Małgorzatą Chmielewską. Ona dała bodziec do rozpoczęcia akcji i ją wspiera. Bardzo konkretnie: kupiła samochód, dzięki czemu garów z zupą i ubrań nie trzeba już wozić z Pogorza na Planty rowerem. Auto służy również do organizowania wspólnych wyjazdów z lekarzami, przewożenia bezdomnych do szpitali albo przychodni itd.



FOT. BEATA ZAWRZEŁ/REPORTER

Akcja „Zupa” na Krakowie się nie kończy, tam właściwie się zaczyna. Wirus rozprzestrzenia się po Polsce. Działa w Rzeszowie, Sopocie, Poznaniu. Na początku czerwca ruszyła w Zakopanem. Zgłosiła się już Warszawa.

„Jesteśmy w każdą niedzielę o 15.00 w Sopocie na Monciaku, na placu przed kościołem św. Jerzego” – zachęcają na Facebooku „zupowcy” z Sopotu.

Barszcz ukraiński w Sopocie gotują Ola, Kamila, Walentyna, Ania i Stenia. Na 20 l barszczu potrzeba 4 kg buraków, 3 kg ziemniaków, 3 kg mięsa, 1 kg kapusty, 1 kg fasoli, 3 kg włoszczyzny, 0,5 l śmietany i dwa słóiczki koncentratu pomidorowego.

Porcja wydaje się gargantuiczna, ale dla tych, na których w domu nie czeka ciepły obiad, będzie w sam raz. ©



FOT. ARCHIWUM RAFAŁA DĘBSKIEGO

NASZ TEST: HONDA CIVIC 1.5 SPORT PLUS

Wprawdzie nie jest to jeszcze wersja GT, ale już fajnie wygląda i daje sporo frajdy z jazdy. Honda Civic 10. generacji z 1,5-litrowym silnikiem o mocy 182 KM to samochód dla pragmatycznych facetów marzących o aucie, którym da się pobawić w sportową jazdę, ale które w razie potrzeby będzie też w miarę oszczędne.

Decydując się na to auto, warto dużą wagę przyłożyć do wyboru właściwego koloru. Model w wersji np. czerwonej lub niebieskiej wygląda bardzo atrakcyjnie. W testowanej wersji szarej usportowiona Honda sprawiała wrażenie, jakby w fabryce doszło do buntu robotów i auto wyjechało na ulice jeszcze przed lakierowaniem. Z pewnością zwracała jednak na siebie uwagę.

W KABINIE

Wnętrze wykończono jest materiałami zadowalającej jakości, choć w porównaniu np. z Audi A3 szalu nie ma. Nieźle i nowocześnie wyglądają za to wyświetlacze. Tunel środkowy mieści wiele praktycznych schowków, w tym ładowarkę indukcyjną, za pomocą której bezprzewodowo można podładować nowoczesne smartfony i inne urządzenia.

Komfortowe przednie fotele dobrze podtrzymują ciało na zakrętach. Miejsca jest sporo zarówno z przodu, jak i z tyłu, choć pasażerowie podróżujący na kanapie nie mają zbyt wiele przestrzeni nad głową. Kabina jest nieźle wyciszona – przy wyższych prędkościach autostradowych wewnątrz robi się już zbyt głośno.

Bagażnik w wersji Sport Plus jest mniejszy niż w podstawowych wersjach Civica – do dyspozycji mamy tu zaledwie 420 l.

JAZDA

Dynamiczny czterocylindrowy silnik 1.5 VTEC Turbo generuje 182 KM – wystarczająco



dużo, aby zapewnić kierowcy sporą dawkę emocji. Auto od 0 do 100 km/godz. rozpędza się w nieco ponad 8 s. A dzięki obniżonemu środkowi ciężkości Honda znakomicie trzyma się drogi. Precyzyjny układ kierowniczy sprawia z kolei, że usportowiony Civic prowadzi się pewnie i posłusznie wykonuje wszelkie polecenia kierującego. Na pochwałę zasługuje również sześciobiegowa ręczna skrzynia: umożliwia ona szybką i precyzyjną zmianę biegów, co potęguje wrażenia podczas sportowej jazdy. Jednocześnie zawieszenie dobrze radzi sobie z tłumieniem dziur i nierówności.

Honda Civic w usportowionej odmianie potrafi być też oszczędna. Podczas naszego testu średnie

spalanie wyniosło 7,3 l/100 km (według producenta apetyt na paliwo w cyklu mieszanym to 5,8 l/100 km).

BEZPIECZEŃSTWO

Honda Civic w testach zderzeniowych Euro NCAP zdobyła komplet pięciu gwiazdek. Auto jest wyposażone m.in. w system ograniczania skutków kolizji, który m.in. ostrzega kierowcę, jeśli zbyt szybko zbliża się do pojazdu poprzedzającego, a także za pomocą radaru monitoruje ruch poprzeczny na parkingu. W ruchu miejskim samochód potrafi też w razie potrzeby samodzielnie zahamować.

Podczas jazdy na trasie przydają się wskaźniki na lusterkach, które ostrzegają przed samochodami znajdującymi się w martwym polu. Auto potrafi też samodzielnie trzymać się pasa ruchu lub po prostu korygować tor jazdy, jeśli przez przypadek zaczniemy przekraczać linię. W połączeniu z aktywnym tempomatem kierowca na autostradzie może pozwolić sobie na nieco relaksu. Całkiem nieźle sprawdza się też system rozpoznawania znaków drogowych. Widoczność do tyłu jest mocno ograniczona. Aby pewnie poruszać się po parkingach, warto więc zamówić kamerę cofania.

CENA

Honda Civic z silnikiem 1,5 VTEC Turbo kosztuje w wersji Sport 97,5 tys. zł, w testowanej wersji Sport Plus – 106 tys. zł, a w wersji Prestige – co najmniej 111 tys. zł.

KONKURENCI

Audi A3, Ford Focus, Mazda 3, Opel Astra, Seat Leon, Volkswagen Golf ☺☺

Jacek Przybylski





! NOWY PROGRAM
Telewizji Republika

10/04/2010
fakty

każdy
wtorek 20:40



zapraszają Magdalena Groń
i Aleksander Wierzejski

Teraz Telewizja Republika NA ŻYWO i ZA DARMO on-line  www.telewizjarepublika.pl



MATTHEW TYRMAND

ZŁY TYRMAND

Tournée Trumpa

MARCIN MAKOWSKI: Donald Trump wrócił ze swojej pierwszej zagranicznej wizyty. Na trasie znajdowały się: Arabia Saudyjska, Izrael, Belgia, Watykan i Włochy. Prezydent zatweetował, że osiągnął „historyczny sukces”, a w mediach nic tylko gafy, miny, memy.

MATTHEW TYRMAND: W „Der Spiegel” pojawił się nawet artykuł o tym, że Niemcy są tak rozczarowani Trumpem, iż najwyższa pora, aby amerykańskie społeczeństwo usunęło go z urzędu. Gdy „Der Spiegel” jest smutny, od razu robi mi się ciepło na sercu. Szczególnie że tournée Trumpa zakończyło się sukcesem. Osobiście nie wybrałbym Arabii Saudyjskiej na rozpoczęcie podróży ani nie używał tak demagogicznej retoryki, ale rozumiem ideę, która stała za tą decyzją. Szlak śladami największych religii monoteistycznych ze wspólnym przesłaniem mobilizacji przeciw radykalizmowi tzw. Państwa Islamskiego. Oprócz tego oficjalne spotkania na małym szczycie NATO i G7, czyli bezpieczeństwo, kwestia uchodźców i umowy klimatycznej. Pod względem walki z PI Trump zbudował front największych państw regionu oraz pozyskał wsparcie prezydenta Egiptu Abd as-Sisiego, który kilka dni później zbombardował pozycje islamistów w odwecie za atak na Koptów. Na-

stępnie – co jest symboliczne samo w sobie – udał się z Arabii Saudyjskiej do Izraela. Oba te państwa od pewnego czasu współpracują wywiadowczo w celu hamowania potencjału militarnego Iranu, ich wspólnego wroga. Ten styl przychodzi mi na myśl realistyczną dyplomację pingpongową Richarda Nixona z Chinami. Silni gracze, tacy jak Benjamin Netanjahu, potrafią to docenić.

A co z papieżem, który się nie uśmiechnął? Co z Melanią Trump, która odepchnęła dłoń męża na czerwonym dywanie? Co z premierem Czarnogóry, brutalnie przesuniętym na drugi plan zdjęcia w Brukseli?

Nikt nie mówi, że nie było zgrzytów personalnych i pokraczności prezydenta, ale media amerykańskie zupełnie przemilczały np. jego wizytę u dziecka chorego na raka w Izraelu. Gdyby to był Obama, CNN zrobiłaby z niego świętego. Papież Franciszek się nie uśmiechał? Podczas wizyty Justina Trudeau też widziałem jego ponure zdjęcia. Premier Czarnogóry na całym spotkaniu nie dał poznać po sobie urazy. Rozmawiał później z prezydentem USA, który jego zdaniem pracuje nad umocnieniem NATO, a tym samym w interesie ich krajów. Kto był faktycznie zde-

nerwowany i ponury? Globaliści pokroju Merkel, Macrona, Junckera, Tuska. Im niezależność nie pasuje do wizji świata, tak samo jak nie pasują słowa premier Beaty Szydło o chronieniu polskich granic.

Myślisz, że te dwa wydarzenia można ze sobą porównać?

Oczywiście! Dzisiejszy polski rząd jest jednym z najbliższych ideowo Białego Domu od dekad. W słowach Szydło pobrzmiewa ten sam rodzaj logiki suwerenności narodowej, który da się wyczytać z polityki Trumpa. Nie bez powodu przemówienie premier w Sejmie trafiło do mediów w USA, było przetłumaczone na język angielski, pojawiło się m.in. na portalu Breitbart.

Jest jeszcze jedna wiadomość, smutniejsza, która połączyła Polskę i USA. Odszedł Zbigniew Brzeziński, były doradca prezydenta Jimmy'ego Cartera.

Była to również chwila, w której część konserwatywnych mediów w Polsce brzmiała jak „The New York Times”. Przyznać, że Brzeziński był graczem dużego formatu w polityce międzynarodowej, to jedno, pisać peany na jego cześć i uważać za ambasadora polskich interesów – to drugie. Owszem, jego zaangażowanie w upadek komunizmu jest nie do zaprzeczenia, ale metody, którymi ten cel realizował, były zbyt miękkie i na wskroś globalistyczne. Komisja Trójstronna, Grupa Bilderberg, współpraca z Rockefellerem, tworzenie podwalin pod biurokrację brukselską. Nie jest przypadkiem, że po śmierci Brzezińskiego najbardziej ubolewają „Wyborcza” i Radek Sikorski, który jest przecież członkiem instytutu Brzezińskiego w think tanku CSIS. To był ich człowiek i to wiele polskiej prawicy powinno wyjaśnić. ©©

RYSUJE: ANDRZEJ KRAUZE



ROZMAWIAŁ MARCIN MAKOWSKI

DO RZECZY TYGODNIK LIŚCICKIEGO



**PAŁAC
NA
WODZIE**

EMOTIONS & THERMAL SPA

Zainwestuj w Apartament w funkcjonującym hotelu
Zarabiaj już dziś



7%
stopa zwrotu

10 lat
umowa najmu

14 dni
pobyt właścicielski



Baseny termalne



Thermal SPA



Restauracja



Prywatny staw

Pałac Na Wodzie Emotions & Thermal SPA

jedyny aparthotel w Polsce z własnym ujęciem wody termalnej, położony w samym sercu Karkonoszy



22 299 11 44

apartamenty@palacnawodzie.pl

apartamenty.palacnawodzie.pl

Prezentowane informacje nie stanowią oferty w rozumieniu Art. 66 § 1 Kodeksu Cywilnego.

Stopa zwrotu liczona od wartości netto apartamentu, w przypadku korzystania z pobytu właścicielskiego wynosi 6%

eprasa.pl f6d3097c4e



KATARYNA

OKIEM BLOGERKI

13+

Prezydent może skorzystać z prawa łaski w każdej sprawie o przestępstwo i o wykroczenie, również jeszcze przed prawomocnym skazaniem, mimo że praktyka nie zna, jak na razie, wyjątków od ułaskawienia dopiero po uprawomocnieniu się wyroku skazującego; mówiąc inaczej, dopuszczalne jest ułaskawienie w postaci abolicji indywidualnej, skoro konstytucja nie czyni tu żadnych restrykcji.

Tak w swoim podręczniku „Proces karny” pisał prof. Stanisław Waltoś, na długo zanim prezydent Duda postanowił zostać pierwszym

przez konstytucję, nawet jeśli dwa lata później Sąd Najwyższy uznał, że był wtedy w „mylnym błędzie”. Prawo, nawet jeśli są to uchwały samego Sądu Najwyższego, nie działa wstecz, nie można mieć do prezydenta pretensji, że w 2015 r. nie wiedział, jak w sprawie jego prerogatyw wypowie się Sąd Najwyższy dwa lata później.

Gdyby sprawa Mariusza Kamińskiego nie była tak bardzo polityczna, gdyby prezydent postanowił w takim trybie ułaskawić np. staruszkę skazaną za kradzież batonika ze sklepu, nie byłoby żadnej dyskusji, nie byłoby też ubiegłotygodniowej uchwały Sądu Najwyższego, bo nikt by nie miał powodów szukać pretekstów do zakwestionowania ważności prezydenckiej decyzji. Udająca spór prawny awantura o ułaskawienie Mariusza Kamińskiego jest awanturą czysto polityczną, dokładnie tak jak decyzja o ułaskawieniu Mariusza Kamińskiego przed uprawomocnieniem się wyroku była decyzją wyłącznie polityczną, by nie powiedzieć – partyjną. PiS nie chciał sprawdzać, czy potrzebny mu w Sejmie i w rządzie Mariusz Kamiński formalnie zdąży stracić mandat poselski w ciągu tych pięciu minut między uprawomocnieniem

się wyroku a decyzją prezydenta o skorzystaniu wobec niego z prawa łaski, dlatego zdecydowano się nie czekać na uprawomocnienie się wyroku i prezydent wyprzedził je ułaskawieniem. Można i trzeba oceniać tę decyzję pod kątem etycznym i politycznym, ale trudno prezydentowi zarzucać złamanie prawa przy jego ówczesnej wiedzy czerpanej choćby z wykładni prawników takich jak prof. Waltoś.

Wolałabym być skazana z Kamińskim niż uniewinniona z Sawicką – podpisuję się pod taką deklaracją. Dziwię się tylko Kamińskiemu, że wołał być ułaskawiony w takich okolicznościach, samo zaś ułaskawienie w takim specjalnym trybie uważam za polityczny błąd prezydenta, ale jest politykiem i sam najlepiej wie, jaką cenę jest gotów zapłacić. A zapłacił dużą i płaci jeszcze więcej, nie chcąc lub nie umiając osobiście zmierzyć się z ubiegłotygodniową uchwałą Sądu Najwyższego. Brak własnego komentarza, wysyłanie Łopińskiego z dość kuriozalną „listą 13 prawników” w charakterze czwartej instancji bijącej Sąd Najwyższy jest jednak strasznie słabe, a w przypadku formalnego strażnika konstytucji – zabójcze. Nawet jeśli doraźnie wygodne. ☹☹

Dziwię się tylko Kamińskiemu, że wołał być ułaskawiony w takich okolicznościach

prezydentem ułaskawiającym osobę w świetle prawa niewinną. Czytając art. 139 konstytucji („Prezydent Rzeczypospolitej stosuje prawo łaski. Prawa łaski nie stosuje się do osób skazanych przez Trybunał Stanu”) oraz jego wykładnię autorstwa wybitnego profesora prawa, prezydent miał prawo w 2015 r. uważać swoją decyzję o ułaskawieniu Mariusza Kamińskiego za dopuszczalną

PODSŁUCHANE

W skrócie KOD

Cześć, Rysiu.

Cześć. A pan kim jest? My się znamy?

Jak to? No popatrz. Przyjrzyj się.

Ma... Mateusz? Niemożliwe. Gdzie ty masz włosy?

A ściałem. Ale nie wyrzuciłem, dałem artyście zaprzyjaźnionemu, zrobił mi z nich instalację artystyczną, postawiłem w gabinecie.

Okularów nie masz...

Szklą kontaktowe teraz mam.

W ogóle otwieram nowy rozdział, a to wszystko to jest takie, rozumiesz, symboliczne zerwanie z przeszłością.

No, to ciekawe, może mnie zainteresujesz. A co teraz będziesz dla odmiany robił?

W polityce będę działał. Będę o demokrację walczył.

Ale przecież to to samo, co do tej pory robiłeś.

No... nie całkiem. Zresztą inaczej przecież wyglądał i inaczej się to będzie nazywać. Teraz zakładam

Komitet Ocalenia Demokracji, w skrócie KOD.

Ale Mateusz, mam wrażenie, że to jest dokładnie to samo przecież. A już Demokrat z Abwery powiedział...

Kto?

Demokrat z Abwery, taki filozof francuski, że się dwa razy do tej samej rzeki nie wchodzi.

To jeszcze zobaczmy. A na razie masz tu ulotkę z numerem konta, zbieram datki dobrowolne na początek. I nie wymiguj się, czytałem twoje oświadczenie majątkowe. ☹☹
Łukasz Warzecha

OD RZECZY

„Kto z tych tchórzliwych chłoptasiów miał w 2010 roku twardszy kręgosłup i więcej empatii niż Ewa Kopacz? No kto? Kurski? Macierewicz?”

RAFAŁ TRZASKOWSKI, poseł PO, na Twitterze

fot. Jerzy Gumowski



Yesterday

Jakże ten czas nam zasuwa! Wczoraj (4 czerwca) minęło 25 lat, czyli równo ćwierć wieku, od owej nocy, kiedy postębecja uwaliła rząd Jana Olszewskiego. I nie był to jedyny tragiczny 4 czerwca III RP. Pierwszy (trzy lata wcześniejszy) miał kartkami do głosowania pogrzebać upadłą już PRL. Stanisław Żeligowski z PSL, minister środowiska w kilku rządach, wymienił trzy powody upadku PRL: „— *Poprzedni ustrój upadł dlatego, że był społecznie nieakceptowany, moralnie szkodliwy i ekonomicznie niewydolny*”. Przemielzał przyczynę czwartej, decydującej: chętkę rozzuchwalonej rosyjską „*Pieriestrojka*” bezpieczeństwa polskiej (cywilnej i wojskowej), by zacząć kręcenie nowych „*lodów*”, bardziej dochodowych, bo kapitalistycznych w ramach „*transformacyjnego*” nomenklaturowego wszechwładzowania, czyli pasożytnictwa na narodowym majątku. Stąd — zgodnie z mocno zakrapianą kiszczakowsko-michnikowską umową magdalenkową, podręcznikowo zwaną Okrągłym Stołem — w pierwszych „*wolnych*” (35% wolności) wyborach parlamentarnych (4–VI–1989) postkomuniści mieli zagwarantowane 65% mandatów, dzięki czemu rozpoczęła się „*transformacja*” balcerowiczowska/bandycka, uwłaszczająca dawną nomenklaturę, a pauperyzująca miliony Polaków. Jako graficzny symbol tamtego draństwa pozostał sławny plakat „Solidarności” z maszerującym dziarsko pederastą Garym Cooperem (szeryfem) i z napisem: W SAMO POŁUDNIE 4 CZERWCA 1989.

Trzy lata później (1992) w samą północ obalono pierwszy antykomunistyczny rząd III RP (za zlustrowanie dygnitarzy państwowych i parlamentarzystów). Naradę spisowców kontrrządowych utrwalił świetny (klasy pulitrowskiej) film dokumentalny Jacka Kurskiego „*Nocna zmiana*”, z którego patriotom ciągle brzmi echo ohydne-go apelu Donalda Tuska: „— *Panowie, policzmy głosy!*”. Dławiąc rząd premiera Olszewskiego postębecja zadeklarowała jasno, iż nie zezwoli na żadną gruntowną lustrację prominentnych kapusiów. I trwa to do dzisiaj. Jan Piński: „*Do tej pory wszystkie próby przeprowadzenia w Polsce lustracji obarczone były grzechem ochrony części komunistycznej agentury. Przyjęto zasadę, że praca na rzecz służb III RP pozwala kłamać w oświadczeniu lustracyjnym i bezkarnie zaprzeczać współpracy. Skutek jest taki, że wiele osób publicznych przeszło pozytywnie lustrację, a «pilota» do tych wpływowych figur mają zagraniczne służby*” (2016). Pisałem to samo nie raz w ciągu ćwierćwie-

cza, aż doczekałem się, że nawet prezydent RP, pan Duda, wyznaje identyczny pogląd: „— *Przecież jeśli ktoś zlamal się w latach 70. czy 80. i udało mu się ten fakt zataić, to do dziś może być szantażowany czy wręcz sterowany przez bardzo różnych ludzi. To ogromne niebezpieczeństwo dla demokratycznego państwa prawa*” (2016).

Generalnie rzecz biorąc: ogromnym niebezpieczeństwem dla demokratycznego państwa prawa stały się w III RP kolejne kadencje zaesbeczonych salonowych rządów, pełne takich antyojczyźnianych działań jak sprzedaż przez państwo (2014) rewelacyjnie dochodowej spółki Ciech prywatnej spółce Kulczyk Investments za sumę wielkości jednorocznych zysków Ciecha netto! Wszelkie podobne przekręty (autostrady budowane trzykrotnie drożej niż u sąsiadów, itp.) są właśnie pokłosiem 4 czerwca roku 1992. Grozę musi budzić fakt, iż Platforma Obywatelska, bękart tamtego gniazda żmij, ma dzisiaj tak dużo wyznawców. Przysłowio- wą „*wodę z mózgu*” robią tym rzesom należące do Niemców gazety („*Newsweek*”, „*Fakt*”, etc.), a skalę zdżiczenia salonow-

Tradycja bezpieczniackiego obalania rządu

ców (KOD-u, PO, TVN, itp.) pokazało ich ujadanie nawet na zakup przez pisowskie państwo fenomenalnej Kolekcji Czartoryskich. Gdyby Kaczyński wymyślił skuteczne antyrakowe lekarstwo — opluliby je też. Wymierzona w PiS propaganda PO nierzadko osiąga poziom groteski (model „*ad absurdum*”): „*Inicjatywę 500+ PiS wymierzyło budżetowi, przedsiębiorczyści Polaków i w ogóle ojczyźnie wielką krzywdę, lecz my po dojściu do władzy rozszerzymy ten program, wdrażając dodatkowe 500+ dla pierwszego dziecka. Głosujcie więc na nas!*”. Żeby znowu „*było tak jak było*”, czyli żeby postębeckie znowu rządziło — wystarczy przetrwać. Stąd ultralewackie „*Forum*” złożyło rodakom życzenia noworoczne 2017 cytując salonowca Wojciecha Młynarskiego: „*Przetrwania złych czasów*”, a wtórowały mu „*Polityka*”, „*Angora*” i reszta różowych.

Szefem puczu, który 4 czerwca 1992 wyautował rząd Jana Olszewskiego, był rzecz prosta główny zagrożony, kapuś nr 1, Lech Wałęsa. Prostacki typek, który zrazu tańczył przez kilka lat jako konfident SB, a później przez kilkanaście lat jako marionetka WSI, i który swą szczerzą wąsatą facjatą sprytnego chłopka-roztropka-przyglupka firmował miękkie ładowanie rodzimych komuchów po „*Pieriestrojce*” — robi dziś na całym globie za herosa i za personalne godło Polski, co jest jednym ze wstrętniejszych antypol-

skich żartów Historii w całej historii Sarmatów. Pytanie: o czym roją skonfrontowani z dokumentacją salonowcy, kiedy na złość Kaczyńskiemu prowokują hagiografują TW „*Bolka*”? Czy o tym, że wspomniany niegasnący wszechświatowy rozgłos sprawy, iż po latach (po 50 latach, po 100 latach) nowe generacje historyków inaczej interpretują te dokumenty (oraz całą wałęsowską prezydenturę) i oczyszczą „*donoszyka*” ze zdrady? Nie ma takiej możliwości, głupole, „*lasciate ogni speranza*” — może się jedynie powtórzyć casus Rosenbergów:

A. D. 1953 jankeski sąd skazał małżeństwo Rosenbergów na karę śmierci za szpiegostwo atomowe dla Kremla. Amerykańska lewica dostała wówczas szału i wznieciła masowe demonstracje, krzycząc, że jest to „*rażąca niesprawiedliwość, barbarzyński akt antysemityzmu*”, ponieważ „*Julius i Ethel Rosenbergowie są całkowicie niewinni*”. Oburzenie „*bostońskich liberalów*” błyskawicznie przeskoczyło Atlantyk, żeby lewacki Paryż mógł zapłonąć wielotysięcznymi manifestami pełnymi dramatycznych transparentów: „*Sauvons les Rosenberg! Empêchons le crime!*” (Ratujmy Rosenbergów! Nie dopuśćmy do zbrodni!). Wkrótce rozjażyły się tak samo stolice reszty zachodnioeuropejskich państw, później metropolie pozaeuropejskie, i przez kilka miesięcy lewicujący glob dawał uliczny wyraz swej furii, czołówki gazet miały codziennie jeden temat. Egzekucje Rosenbergów (na krześle elektrycznym) tylko wzmogły gniew — miały dekadę, a „*sprawa Rosenbergów*” nie wyparowywała z salonowych mediów, zyskując wszechświatowy status symbolu „*po-myłki sądowej*” (łagodniejsza wersja opinio-twórcza) lub „*zbrodni sądowej*”, czyli „*zimnowojennej hańby USA, które przesładują bojowników o pokój między narodami*”. Wywodzący się z komunistycznej rodziny ultralewak Ronald Radosh postanowił scjentycznie udowodnić niewinność Rosenbergów. Przeorał archiwę, przeczytał wszystkie dokumenty, i... zrozumiał, że Rosenbergów słusznie skazano. Jego książkę (2001) o ich winie poparł wkrótce (2008) współpracownik Rosenbergów Morton Sobell, wyznając, że razem przekazali NKWD nie tylko sekrety atomowego „*Projektu Manhattan*”, lecz i dane techniczne amerykańskich radarów oraz sonarów wojennych (Sowieci wykorzystali to skutecznie w wojnach koreańskiej i wietnamskiej). Przypominam rzecz całą dlatego, że nie mam wątpliwości, iż każdy historyk, który za sto lat, pragnąc oczyścić Wałęsę, udowodnił jego niewinność, zechce przebadать każdy dokument dotyczący organizatora puczu, co 4 czerwca obalił lustracyjny rząd mecenasa Olszewskiego — dozna szoku, widząc, tak jak Ronald Radosh, przytłaczającą prawdę.

Salonowcy: obstawiacie złego konia historycznego (mendę, która awansowała z kapusia na wodzusia, z delatora na konduktora), tak jak i źle obstawiacie całą swoją aktualną stajnię polityczną. ©©

Waldemar Łysiak



KARTA OTWARTA NA ŚWIAT



Bank Polski

Nowa karta wielowalutowa do kont w ramach oferty Bankowości Osobistej pozwala wypłacać gotówkę oraz płacić w kraju i za granicą, także przez internet, bez prowizji za przewalutowanie.

- jedna karta do 4 kont, w tym PLN i 3 walutowych: EUR, USD i GBP
- brak opłat za kartę